

STRACH

METODĄ RZĄDZENIA

**DRONY
KŁAMSTWA
TROLLE**



LISTY SYCYLIJSKIE

PRAWDZIWA HISTORIA
OSTATNIEGO
OJCA CHRZESTNEGO
SYCYLIJSKIEJ MAFII



W ROLACH
GŁÓWNYCH

TONI
SERVILLO

ELIO
GERMANO



MOSTRA INTERNAZIONALE
D'ARTE CINEMATOGRAFICA
LA BIENNALE DI VENEZIA 2024

Konkurs Główny
Najlepsza muzyka
Nagroda Lizzani
Nagroda La Pellicola d'Oro
Nagroda Pasinetti

W KINACH OD 19 WRZEŚNIA





Robert Walenciak MÓJ PRZEGLĄD

Aktorzy prowincjonalni

Jest groźnie czy nie jest? Do Polski wleciało ok. 20 rosyjskich dronów. A my, patrząc na polityków, analizując ich słowa, miny, a nawet ubiór, próbujemy odpowiedzieć sobie na najprostsze pytanie: czy już trzeba się bać?

Prezydent Donald Trump wystąpił w roli Pytii. „To mogła być pomyłka”, odparł, pytany o rosyjskie drony. O! Polski premier i prezydent jednym głosem (!) mówią, że mają pewność: drony były rosyjskie i wystrzelono je celowo. A Trump – że mogło być inaczej. Bardzo nas, Polaków, tymi słowami pokrzepił. Nasz wielki sojusznik, gwarant naszego bezpieczeństwa, nasza opoka i co tam jeszcze polska prawica wymyśliła, rzekł: Rosjanie się pomylili, więc sprawy nie ma.

A jeszcze kilka godzin wcześniej rozmawiał z nim o tych dronach prezydent Karol Nawrocki. Relacjonował mu, jak było. I nie przekonał Trumpa? O czym więc rozmawiali? Marcin Przydacz, prezydencki minister, próbował ratować sytuację i wygłosił przypuszczenie, że słowa amerykańskiego prezydenta o możliwej pomyłce to „strategia negocjacyjna”. Dobrze, możemy te słowa wziąć za dobrą monetę, wiadomo – trzeba negocjować, rozwinąć na Alasce czerwony dywan, zaprosić do limuzyny prezydenckiej... Potem przedstawić jakieś propozycje. Otwarte pozostaje jedynie pytanie: jesteśmy już w menu czy jeszcze nie?

Karol Nawrocki, sądząc po tym, co mówi, takich pytań sobie nie zadaje. Zalicza. Oświadczył mediom,

że odbywa cykl międzynarodowych konsultacji. W sprawie dronów. Strachu więc nie ma.

To bardzo ciekawe, bo w Polsce, w obecnym systemie prawnym, za sprawy armii odpowiada rząd i minister obrony, za sprawy polityki zagranicznej – rząd i minister spraw zagranicznych, a za sprawę granicy – Straż Graniczna, czyli szef MSWiA. Nawrocki żadnemu z tych ministrów nie może wydawać poleceń i każdy decydent za granicą to wie. O czym więc prowadził rozmowy?

Premier Donald Tusk też poczuł to złoto. Zawodowiec. Przetrenował podobne sytuacje wielokrotnie, choćby podczas powodzi w Kotlinie Kłodzkiej. Jeździ więc po Polsce, nie w garniturze i w białej koszuli, ale w ciemnej, prawie jak w uniformie Zełenskiego, i przekonuje, że jesteśmy silni, zvarci i gotowi. I że wydamy kolejne miliardy.

W Łasku mówił pilotom: jesteście bohaterami. Wizytował zakłady w Nowej Dębie produkujące pociski artyleryjskie – deklarował, że ich produkcja będzie jeszcze większa. Zapowiedział też kolejne konsultacje z przedstawicielami państw NATO, z Europą.

Polityka to z jednej strony konkretne działania, z drugiej – spektakl. Politycy grają swoje role, mieliśmy więc i posiedzenie Sejmu, i Radę Bezpieczeństwa Narodowego, i dziesiątki wypowiedzi dla mediów. Grają, jak potrafią. Z rozbrajającą przesadą. Aktorzy prowincjonalni.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Strach jako metoda rządzenia**
– rozmowa z dr. hab. Michałem Wenzlem
- 11 Po pierwsze, nie mamy dronów**
Znów jesteśmy zapóźnieni
- 16 Macher prezesa**
Szara eminencja Adam Bielan
- 20 Rządowy bankomat**
Znów głośno o przekrętach w RARS
- 24 W cieniu wielkiej wody**
Po powodzi trzeba też odbudować ludzi
- 28 Co dalej z lex Kamilek**
Ustawa potrzebna, ale z poprawkami
- 32 Walka o ciszę**
Smog akustyczny w Polsce

KULTURA

- 34 Katarzyna Figura z Nagrodą im. Ireny Solskiej**
- 52 Piosenka fajna, ale smutna**
– rozmowa z Tomaszem Ladą
- 55 Kulturalia**
- 56 Historia kultury to historia kolekcji**
– rozmowa z dr. hab. Renatą Tańczuk
- 66 Krystyna Piotrowska. Prosto w oczy**

OPINIE

- 36 Grzegorz W. Kołodko**
Jak wyjść z sytuacji bez wyjścia
- 40 Krzysztof Teodor Toeplitz**
Godność?

ZAGRANICA

- 42 Gambit królowej**
Korespondencja z USA
- 46 Nadzieja na zmianę czy groźba chaosu?**
Korespondencja z Francji
- 48 Namibia jest kobietą**
Rządy prezydent Netumbo Nandi-Ndaitwah

SPORT

- 50 Minimaliści i rekordziści**
Nasza kadra za łatwo odpuszcza

ZWIERZĘTA

- 61 Wyspa kotów**
Kociarze pielgrzymują na Aoshimę

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Robert Walenciak**
Aktorzy prowincjonalni
- 15 Roman Kurkiewicz**
Lecą, lecą drony, warch jak i one
- 19 Jan Widacki**
Wystrzegajmy się tych, którzy mają zawsze rację
- 23 Andrzej Romanowski**
Paraliż państwa
- 31 Stanisław Filipowicz**
Kraj odrealniony
- 35 Andrzej Szahaj**
Krezusy lizusy
- 39 Tomasz Jastrun**
Pogadanka o nieśmiertelności
- 59 Wojciech Kuczok**
Lękowy pęd owczy

28 KRAJ



CO DALEJ Z LEX KAMILEK

Ustawa potrzebna, ale poprawki też

42 ZAGRANICA



GAMBIT KRÓLOWEJ

Korespondencja z USA



WYSPA KOTÓW

Kociarze pielgrzymują na Aoshimę

61 ZWIERZĘTA



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

✉ Człowiek Trumpa w Unii

Komentarz redaktora naczelnego w części dotyczącej przymi-
lania się Polski Amerykanom przypominał mi pewną rzecz. Kilka-
naście lat temu (strzelam, bo czas tak szybko leci) Polska w za-
mian za tzw. offset zobowiązała się kupić myśliwce. Wcale mnie nie zaskoczyło, że
w ramach przymi-
lania się do Amerykanów
wybrała F-16, które okazały się nieto-
łami, czyli dostaliśmy sprzęt do naprawy (!).



Kolejna rzecz: ówczesna Polska dołączyła

niedawno do Unii Europejskiej i uczciwie byliby dać zarobić pro-
ducentom samolotów ze Szwecji lub Francji (którzy, jeśli dobrze
pamiętam, również stawali do przetargu). I ostatnia sprawa –
aby zadowolić Amerykanów, do tego offsetu zaliczono ich po-
przednie inwestycje w Polsce, np. fabrykę Opla w Gliwicach!

PS Pamiętam ministra Sikorskiego jako zawsze usłużnego wo-
bec USA. A raz został potajemnie nagrany i mówił wtedy, że za
bardzo „przymilamy się” do Amerykanów. Czy to nie jest obłuda?

Marek Kania



f Diabelska alternatywa

Tusk i jego przybocznicy zbyt dużo
obiecali podczas kampanii wyborczej.
Nie wiem, czy Koalicja Obywatelska
tryskala optymizmem, czy kierowała się

wyłącznie politycznym wyrachowaniem, ale źle na tym wyszła.
Niezadowolonych jest coraz więcej, zapowiadane są protesty.
Propozycja podniesienia o 3% nauczycielskich pensji rozłożyła – i słusznie – oświatowe i naukowe związki zawodowe. Czy
rząd nie przesadza z poziomem pomocy dla Ukrainy? Co powie
nauczycielom i pracownikom uczelni? Że tak wyszło, bo teraz
priorytetem jest Ukraina?

Damian Paweł Strączyk

✉ Dlaczego polska prawica tak kocha Trumpa?

Otoczenie prezydenta i pisowcy twierdzą, że polski rząd
ma złe stosunki z USA, bo premier Tusk i minister Sikorski
kilka lat temu ogłosili parę krytycznych uwag o prezydencji
Trumpie, a on im to pamięta. Chcę przypomnieć, że obecny wi-
ceprezydent J.D. Vance nazwał kiedyś Trumpa
amerykańskim Hitlerem. Nie przeszkodziło mu
to zostać wiceprezydentem.

Piotr Gordon



Nie tylko prawica uwierzyła w to, że pol-
ską racją stanu jest zadowalanie Jankesów.
Pozwolę sobie przypomnieć rządy SLD i ich słu-
żalność wobec USA w postaci uwikłania kraju
w wojny na Bliskim Wschodzie, budowy tajnych więzień CIA
na terenie Polski czy ustawianych przetargów na uzbrojenie
polskiej armii. Niestety, taka postawa powoduje, że od przeszło
20 lat jesteśmy jankeskim koniem trojańskim w strukturach
Unii Europejskiej. A co do Trumpa, to jego populistyczne hasła
w stylu „wywrócimy ten stół!” i otoczka warchola nic so-
bie nierobiącego z norm współżycia społecznego są w praw-
cowej Polsce uznawane za coś, do czego należy aspirować.

Wydaje się więc, że u źródeł poparcia polskiej prawicy dla
Donalda Trumpa nie leży ani bezpieczeństwo kraju, ani troska
o rozwój gospodarczy, ani tym bardziej chęć odbudowania re-
lacji euroatlantyckich. Nowego prezydenta warto popierać, bo
w czasie jego urzędowania nie trzeba będzie walczyć z zagro-
żeniami dla liberalnej demokracji, rasizmem ani antysemity-
zmem, a osoby homoseksualne ze swoimi żądaniami równego
traktowania w magiczny sposób znikną z Polski. Trump to po-
 prostu uosobienie prawicowych fobii i marzeń o wielkim kraju
dla jednej nacji, która ma być lepsza niż reszta świata.

Michał Czarnowski



ZDJĘCIA TYGODNIA



W Państwowym Instytucie Medycznym
MSWiA przeprowadzono pierwsze
w Europie zabiegi telechirurgiczne
pomiędzy dwoma krajami. Dyrektor
prof. dr hab. n. med. Piotr Suwalski,
kardiochirurg, oraz dr n. med. Paweł Wisz,
urolog, przebywając w Belgii, zoperowali
dwóch pacjentów znajdujących się w PIM
MSWiA w Warszawie.

Szacuje się, że w Polsce rocznie marnujemy leki o wartości **4 mld zł i 200 mln opakowań**. 10 tys. ton odpadów farmaceutycznych pochodzi tylko z prywatnych zasobów. 68% Polaków wyrzuca leki do odpadów komunalnych lub splukuje w toalecie („Polityka”).

W Puźnikach w obwodzie tarnopolskim pochowano szczątki 42 ofiar UPA wydobytych z jednej ze zbiorowych mogił. W lutym 1945 r. sotnia UPA pod dowództwem Petra Chamczuka napadła na Puźniki i wymordowała ok. 100 osób. Pogrzeb części z nich to efekt pierwszej ekshumacji na Ukrainie od 2017 r. W Czartkowie, 50 km od miejsca zbrodni, Ukraińcy postawili pomnik Chamczukowi.

Ponad **60 tys. uczniów** kształcą się w systemie edukacji domowej, a ok. **260 tys., czyli 6%**, pobiera naukę w edukacji niepaństwowej, w społecznych oraz prywatnych podstawówkach i liceach.

Ponad **200 tys. dzieci z Ukrainy** uczą się w polskich szkołach.

Pięcioro wolontariuszy niosących pomoc na granicy polsko-białoruskiej w marcu 2022 r. zostało uniewinnionych przez sąd. Wyrok jest nieprawomocny, Prokuratura Rejonowa w Hajnówce zapowiedziała odwołanie.

Polska jest na szóstym miejscu w Unii, jeśli chodzi o wydatki publiczne, i na 18.-19. miejscu pod względem dochodów z podatków, opłat, składek itp. Mamy ogromne wydatki, jak Szwecja, i niskie podatki, jak w Irlandii. Jak długo taki model może wytrzymać?

Do frakcji liberalno-konserwatywnej Konferencji Episkopatu Polski należą **kard. Grzegorz Ryś** z Łodzi, **abp Adrian Galbas** z Warszawy, **bp Damian Muskus** z Krakowa, **prymas Wojciech Polak**, **abp Józef Kupny** z Wrocławia i **bp Artur Ważny** z Sosnowca.

Ewa Siedlecka, dziennikarka „Polityki”, zdaniem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka została podczas demonstracji w 2017 r. zatrzymana z naruszeniem art. 5 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i Podstawowych Wolności. Sąd nakazał wypłacenie jej 3 tys. euro odszkodowania („Press”).

Noblistka **Olga Tokarczuk** została wiceprezeską międzynarodowego stowarzyszenia pisarzy PEN International.

8,3 mln euro kary musi zapłacić Polska za opóźnienie wdrożenia dyrektywy o prawach autorskich na jednolitym rynku cyfrowym.

Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Wprost”, wydawca portalu Wprost.pl i e-tygodnika „Wprost”, zakończyła 2024 r. strata netto w wysokości 4,85 mln zł („Press”).

169 rowerzystów zginęło na polskich drogach w ubiegłym roku. Rowerzyści w tym czasie uczestniczyli w 3765 wypadkach drogowych.

Półowa kobiet w Polsce spożywa alkohol w czasie ciąży (**Instytut Matki i Dziecka**).

413 mln ton plastiku rocznie produkuje się obecnie na świecie. Tylko 9% jest poddawane recyklingowi.

PRZEBŁYSKI

Lefebrysta nikogo nie obroni

Sławomir Cenckiewicz, ulubieniec Karola Nawrockiego, jako szef BBN budzi coraz większy popłoch, zwłaszcza na obszarach, które są atakowane przez drony. Tam nikt nie wierzy, że dyletant prezydent pod rękę z Cenckiewiczem mogą ich obronić.

Ten specjalista od grzebania w życiorysach ciągle patrzy do tyłu. Maszeruje też do tyłu. Od lat 90., kiedy był redaktorem naczelnym pisma Bractwa Kapłańskiego Świętego Piusa X „Zawsze Wierni”. Bractwo to lefebryści, ultrakonserwatyści, zwolennicy tzw. mszy trydenckiej prowadzonej po łacinie i tyłem do wiernych. Bractwo ekskomuniką objął nie kto inny jak papież Jan Paweł II. O którym przełożony bractwa w Polsce ks. Karl Stehlin powiedział, że „czyny ekumeniczne papieża Jana Pawła II były bardzo zgubne dla katolików”. Jak te oceny może aprobować Cenckiewicz? A Nawrocki? Ale musi mu się podobać to, co lefebryści głoszą: zakaz aborcji, rozwodów, religia katolicka religią państwową, prawo państwowe zgodne z przykazaniami bożymi. I wiele podobnych mądrości.

Nie płacą, bo mogą

Takiej gromady z Polski nie przywiózł jeszcze do papieża żaden prezydent. Nawrocki zapowiadał, że zaraz po wyborze poleci do Trumpa, a później będzie międzylądowanie w Watykanie. Niestety, państwo kościelne nie zdążyło wybudować



mu lotniska. Wylądował w Rzymie i z całą wycieczką zwolenników darmochoy pojawili się u Leona XIV. Mina papieża beczenna. A od 10 mln wyborców Trzaskowskiego słyszymy pytania: kto za tę eskapadę zapłacił i czy już można się zapisać na darmowe loty z Nawrockim?

Instrukcja Wildsteina

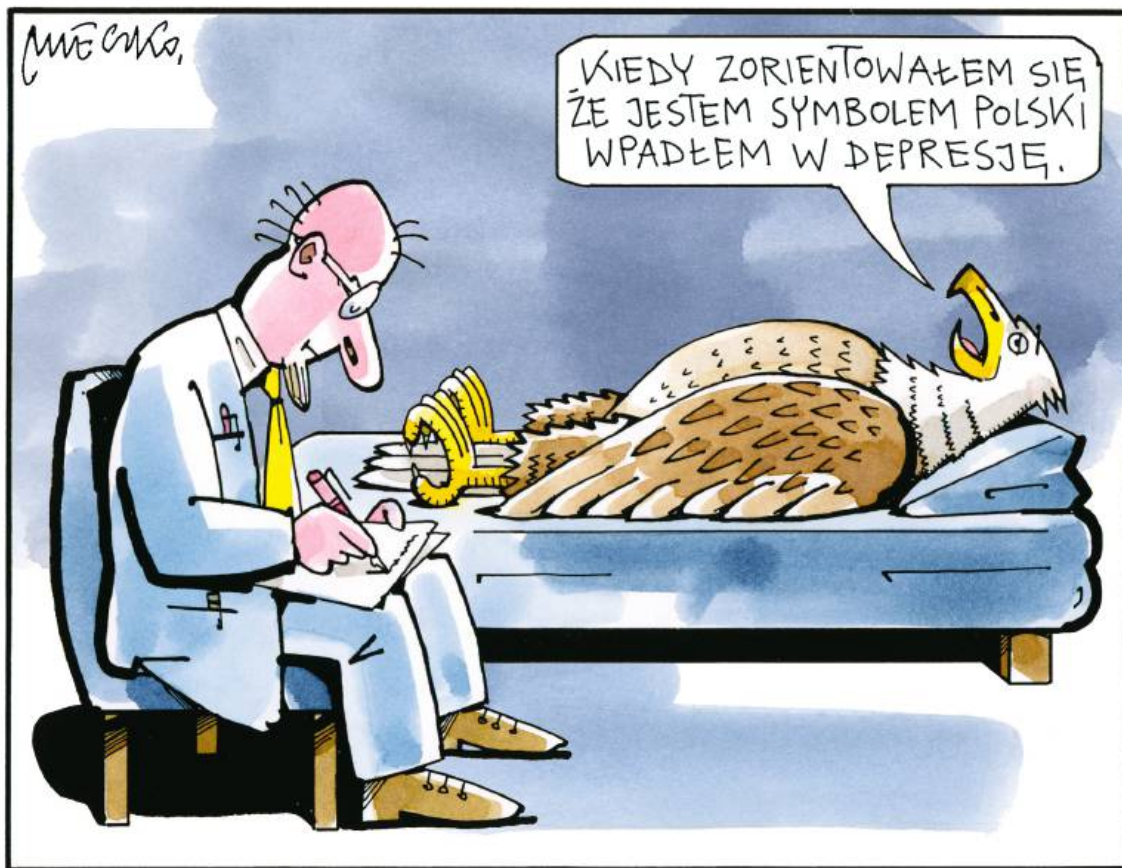
PiS straszy na potęgę. Jawnie i coraz bezczelniej. Zapowiada, co robi z tymi, którzy ścigają przestępców z doinej zmiany. Z prokuratorami, sędziami i urzędnikami, którzy do-



bierają się im do skóry. Instrukcję postępowania z nimi opisał Bronisław Wildstein („Sieci”). Tych, którzy przetrzymywali w więzieniu ks. Olszewskiego, Pawła Szopę, Annę Wójcik i Dominika B., trzeba postawić przed sądem. Wysokości oczekiwanego wyroku jeszcze nie podał. Według

Wildsteina w aresztach siedzą sami niewinni. Ofiary reżimu. Areszt tymczasowy powinien być stosowany w wyjątkowych okolicznościach. I tu zgoda z Wildsteinem. Bo skoro złodziejstwo za rządów PiS było absolutnie wyjątkowe, to tak też trzeba walczyć z tą przestępczą machiną.





PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego Kościół zwalcza edukację zdrowotną?

PROF. STANISŁAW OBIREK,

teolog, antropolog, Uniwersytet Warszawski

Gwałtowny sprzeciw biskupów wobec edukacji zdrowotnej budzi zrozumiałe zaciekawienie obserwatorów życia publicznego, zdumionych agresją i jawną manipulacją, a nawet licznymi przekłamaniami. Jedno z możliwych wyjaśnień to brak znajomości podstawy programowej. Ale to za mało. O wiele słuszniejsze wydaje się dostrzeżenie w tym ataku na minister Barbarę Nowacką projekcji własnych fantazji seksualnych i lęku przed utratą kontroli nad dziećmi i młodzieżą. Uświadomiona młodzież nie będzie bezkrytycznie przyjmować tępej indoktrynacji i skutecznie będzie się bronić przed agresją duchownych pedofilów.

DOROTA WÓJCIK,

prezesa zarządu Fundacji Wolność od Religii

Największym błędem MEN w sprawie edukacji zdrowotnej było pozwolenie politykom koalicji (głównie ludziom z PSL i Polski 2050) na zdecydowanie, że będzie to przedmiot nieobowiązkowy. Reakcję Kościoła można było przewidzieć od początku. Kościół od tysięcy lat jest instytucją bardzo konserwatywną i sprzeciwiającą się wszelkim dobrom nowoczesności. Szczególnie w sprawach dotyczących seksualności czy moralności człowieka. Należy zauważyć, że to tylko niewielki wycinek obszernego programu edukacji zdrowotnej. Jednak, jeśli coś tylko trochę dotyczy seksualności, to wiadomo, że Kościół

będzie się tym interesował, bo instynktami najłatwiej manipulować. Szczególnie za pomocą definicji grzechu, którą nie tylko wpędza się w poczucie winy, ale też można za jej pomocą wyciągnąć pieniądze.

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI,

pedagog, seksuolog, Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Zielonogórski

Episkopat przede wszystkim nie przeczytał dokładnie programu edukacji zdrowotnej. Często się zdarza, że Kościół z zasady potępia wszystko, co pojawia się w obszarze zdrowia seksualnego. Być może są to również jakieś nieuzasadnione fantazje seksualne członków episkopatu co do treści tego przedmiotu. Edukacja zdrowotna ma znacznie szerszy zakres tematyczny niż wychowanie do życia w rodzinie – to 10 różnego typu działań. Niedobrze, że przedmiot wchodzi w momencie przepychanek między MEN a episkopatem w sprawie lekcji religii – to musiało mieć wpływ na postawę Kościoła. Absurdalne są też argumenty, że przedmiot wpłynie negatywnie na dzietność. Jeśli WDZ było takie efektywne w kwestiach prokreacyjnych, to dlaczego mamy najniższy wskaźnik demograficzny w historii? Do tego jeszcze kryzys w psychiatrii, nasilająca się cyberprzemoc i narastające problemy z otyłością. Kościół powinien więc zachować zdrowy rozsądek i nie występować przeciwko zdrowiu społeczeństwa.

STRACH JAKO METODA RZĄDZENIA

Żeby kłamstwo było skuteczne,
musi zawierać trzy czwarte prawdy

Robert Walenciak

Po tym jak kilkanaście rosyjskich dronów wleciało do Polski, premier Donald Tusk, wzywając do jedności, mówił, że Polacy są jak jedna pięść. Poczucie zagrożenia sprawia, że się jednoczymy?

– Najpierw powiedzmy, że nie wiemy, jakie jest to zagrożenie, do jakiego stopnia rzeczywiste, a do jakiego wyobrażone.

Brak tej wiedzy politykom jednak nie przeszkadza. Bardzo ochoczo nas straszą. Wzywają do jedności i skupienia się pod flagą. Widzę w tym przesadę, ale tłumaczę to też tym, że zorientowali się, jak łatwo grać w taką grę, że to przynosi efekty.

– W socjologii jest takie pojęcie jak panika moralna. To reakcja na zagrożenie egzystencjalne dla społeczności. Powoduje ona, że pojawia się przyzwolenie na zawieszenie codziennych zasad i codziennych wolności w życiu społecznym. Określenie panika moralna zawiera w sobie przeświadczenie, że jest to nadmierna reakcja, większa niż rzeczywiste zagrożenie. Pytanie tylko, kiedy się kończy uprawniona reakcja na zagrożenie, a kiedy zaczyna się ta przesadzona, nieuprawniona.

Raczej nie da się tego jednoznacznie określić.

– To jest, po pierwsze, kwestia podatności na ryzyko czy akceptację ryzyka. Niektóre jednostki czy społeczeństwa akceptują większy poziom ryzyka, inne mniejszy. Po



DR HAB. MICHAŁ WENZEL

– socjolog, profesor Uniwersytetu SWPS. Zajmuje się metodami badań społecznych i postawami politycznymi, a także socjologicznymi aspektami mediów. Autor m.in. pracy „Deinformacja w czasach kryzysu”.

drugie, chodzi o to, do jakiego stopnia zagrożenie jest realne. A dzisiaj tego nie wiemy. Bo nie wiemy tak naprawdę, co Rosjanie planują. Może więc reagujemy właściwie, ale możliwe, że przesadzamy i – jak to się mówi – robimy z igły widły. Tak zresztą uważa część komentatorów po prawej stronie, dodając, że mamy w ogóle do czynienia z jakąś zagrywką władz ukraińskich, które chcą nas wciągnąć w wojnę.

Jednocześnie często ci sami komentatorzy wołają, że Niemcy podrzucają nam imigrantów, przetrzucają ich przez granicę i to jest

prawdziwe zagrożenie dla Polski. Czyli straszenie staje się niejako sposobem na bycie w przestrzeni publicznej. Kto nie straszy, ten nie istnieje.

– Cofnijmy się półtora roku, do protestów rolników. Tam również pojawił się wątek paniki moralnej i rosyjskiego zagrożenia. Otóż, przypomnijmy, rolnicy wyszli na drogi i przejścia graniczne blokować import ukraińskich towarów rolnych, choć pojawiły się też inne żądania. Jeden z rolników, słownie jeden, umieścił na traktorze wezwanie do Putina, żeby się rozprawił z polskimi

władzami i Unią Europejską. I ten jeden rolnik stał się chyba najczęściej prezentowanym rolnikiem w historii polskiego rolnictwa, pomijając osoby publiczne. Stał się tematem materiałów prasowych, w których generalizowano, że to dowód na wpływy rosyjskie w Polsce. Budowano z tego piętrowe konstrukcje, że protesty rolników są formą rosyjskiej prowokacji. Są oni zatem pionkami Rosji, ergo trzeba przyjmować rację brukselską i pomagać Ukraińcom za wszelką cenę. Straszanie, pokazywanie wroga to narzędzie zarządzania opinią publiczną i prowadzenia polityki.

Ale dlaczego to narzędzie jest tak skuteczne? Wcześniej chyba tak powszechnie nie funkcjonowało. Teraz to się nasila i przynosi rezultaty.

– Dlatego jest skuteczne, że jest rzeczywiste. Wojna jest rzeczywistym zagrożeniem, a drony rzeczywiście wleciały. Opinia publiczna reaguje więc adekwatnie. Tylko pojawia się moment zarządzania tym zagrożeniem. To znaczy, po pierwsze, komu przypiszemy winę, a po drugie, jakie wnioski wniesiemy.

Proszę zwrócić uwagę, w jaki sposób reagują na to zagrożenie władze Polski czy Unii Europejskiej. Tworzą blokadę informacyjną wobec mediów rosyjskich. W dyskursie mediów głównego nurtu widzimy więc taką reakcję, że gdy ktoś przytacza argumenty zbliżone do podawanych np. przez władze Rosji, Węgier czy Słowacji, to mówi się o nim, że prawdopodobnie jest świadomym lub nieświadomym agentem wpływu rosyjskiego.

Słusznie?

– W Polsce i w Unii Europejskiej w ogóle toczy się dyskusja, do jakiego stopnia walka z dezinformacją może oznaczać ograniczenie wolności słowa. Bo są dwie wartości, czyli prawo do wypowiedzania niezależnych sądów oraz to, że informacja musi być prawdziwa, sprawdzona itd.

I?

– Naukowo zajmuję się walką z dezinformacją. Badamy ją głównie w odniesieniu do wpływów rosyjskich. I oczywiście jest wiele dowodów wpływów rosyjskich na

Jeśli władze ze Wschodu coś w Polsce robią, jest to dezinformacja, jeśli z Zachodu – dyplomacja publiczna. A jeżeli prywatne organizacje z Zachodu – to jest działalność społeczeństwa obywatelskiego.

infosferę. Prawdę mówiąc, nie tylko rosyjskich. W ostatnich wyborach w Polsce również stwierdzono wpływy z zewnątrz, np. organizacji powiązanych ze Stanami Zjednoczonymi, z demokratami. Także Komisja Europejska prowadzi różne kampanie społeczne w Polsce. I jeśli władze ze Wschodu coś w Polsce robią, jest to dezinformacja, jeśli z Zachodu – to dyplomacja publiczna. A jeżeli prywatne organizacje z Zachodu – to jest działalność społeczeństwa obywatelskiego.

Wojna jest rzeczywistym zagrożeniem, a drony rzeczywiście wleciały.

A jeżeli prowadzi to Polska, mówimy o polityce historycznej.

– Oczywiście nie można powiedzieć, że nie ma rosyjskich trolli, bo są i byli. Jewgienij Prigożyn pod Petersburgiem miał ich całą farmę, którą następnie przejęły władze rosyjskie. Są zatem rosyjskie trolle, są martwe konta itd. I są lansowane tezy.

Kłamstwa?

– Jest takie powiedzenie: żeby kłamstwo, propaganda były skuteczne, muszą zawierać trzy czwarte prawdy.

Czyli w tej propagandowej pigułce musi być dużo prawdy, muszą być rzeczy chwytliwe, które społeczeństwo kupuje. Czy po tym, jakie rzeczy są chwytliwe, można rozpoznać, z jakim społeczeństwem mamy do czynienia?

– Tak się dzieje. Zilustruję to swoimi badaniami empirycznymi. Otóż prowadziliśmy w ramach projektu naukowego badania dotyczące tego, jaki jest zakres recepcji społeczeństw na tezy lansowane przez Rosję po wybuchu wojny w Ukrainie. Tezy typu, że rząd w Kijowie to reżim nazistowski, że to są odwieczne rosyjskie ziemie itd. Znamy te argumenty.

Okazało się, że w Polsce odbiór tych tez miał znacznie słabszy zakres niż w Słowacji i Czechach. Mimo że we wszystkich tych krajach, jak stwierdziliśmy, stosowane były bardzo podobne taktyki.

Dlaczego więc efekt był tak różny?

– Dlatego, że społeczeństwo polskie ma zupełnie inne podejście i inną postawę wobec Rosji niż społeczeństwo czeskie czy słowackie. Ma po prostu całkowicie inne doświadczenia historyczne. Ani Czechy, ani Słowacja nigdy nie były częścią Rosji. Częścią bloku radzieckiego – tak, natomiast nigdy nie były częścią Rosji jako takiej. Mają zatem zakodowany społecznie zupełnie inny

stosunek do niej. W mniejszym stopniu dostrzegają zagrożenie ze strony Rosji. A my jesteśmy impregnowani na rosyjskie argumenty albo, mówiąc metaforycznie, zaszczepieni. Mamy inny rodzaj recepcji. Aby fałszywy komunikat, gdzieś tam zniekształcony, zawierający nieprawdę, został zaakceptowany, musi być generalnie zgodny z oczekiwaniami społecznymi. Ze spójnym światopoglądem społeczności, do której jest skierowany.

Z jej kulturą i historią. A gdy Jarosław Kaczyński mówi, że zagrożenia dla Polski płyną zarówno ze Wschodu, jak i z Zachodu, że Niemcy są nadal podstępni, Europa jest niemiecka, a Tusk to Niemiec – jest to pusty atak czy uderza w jakieś struny?

– Bardziej pusty, niżby chciał. Dlatego, że nasze społeczeństwo jest bardzo prounijne i proeuropejskie. To w ogóle różni nas np. od Czechów, którzy rzeczywiście są antyniemieccy i antyunijni. W Czechach jest jeden z najniższych poziomów poparcia dla Unii Europejskiej, a u nas jeden z najwyższych w skali całej Wspólnoty. Dzieje się tak, mimo że różne rzeczy nam się nie podobają, ▶

► chociażby Zielony Ład. Ale i tak zdecydowana większość Polaków, w tym zwolenników Prawa i Sprawiedliwości, popiera nasze członkostwo w Unii.

A straszenie zagrożeniem wewnętrznym? To ci, którzy sprzedali się Brukseli, to LGBT, imigranci, Ukraińcy, wrogowie demokracji... Wymieniam te najczęściej powtarzające się kategorie. Czy to trafia do ludzi, te wszystkie kategorie wrogów?

– Wydaje mi się, że na razie nie. Ale w którymś momencie może się udać. Jak zawsze musi być trzy czwarte prawdy, żeby trafiało. Co więc może trafić? Na przykład jakieś rzeczywiste poczucie zagrożenia mogą wywołać zdemobilizowani żołnierze ukraińscy. Wojna się skończy i oni mogą się pojawić. Starsi jeszcze pamiętają sytuację z lat 90., po demobilizacji żołnierzy radzieckich z Afganistanu.

Wielu z nich zasililo różne mafie.

– Jeżeli mówimy o wrogu wewnętrznym, myślę, że to pierwszy kandydat. Ale znowu – żeby bać się wroga, on najpierw musi realnie istnieć. Nie tylko w telewizji, ale i na ulicy. Bo co to za wróg z telewizji, skoro można go wyłączyć? Można wyłączyć internet i social media, wyłączyć telewizję i go nie ma. Jeżeli jednak będzie on realnie, to zupełnie inna sytuacja.

Ani Czechy, ani Słowacja nigdy nie były częścią Rosji.

Mają zatem zakodowany społecznie zupełnie inny stosunek do niej.

Może są w takim razie lepsze sposoby docierania do ludzi niż straszenie? Może trzeba im mówić o lepszej przyszłości? O tym, co się dla nich zrobi?

– Jedno i drugie dociera. Ale w psychologii społecznej znana jest zasada, że szybciej i skuteczniej docierają emocje związane ze strachem. Zawsze pierwszy dotrze sygnał związany z zagrożeniem.

Tylko że daną sytuację można opisać i jako zagrożenie, i jako szansę. Przez lata słyszałem, że Polska należy do cywilizacji łacińskiej, że właściwie jesteśmy częścią Euro-

py, i to od stuleci. Nagle ci sami ludzie, którzy tak mówili jeszcze 30 lat temu, zaczęli przekonywać, że Europa to coś groźnego i obcego. A Wschód? Mówiło się, że Polska, Ukraina, Kresy to przecież było jedno państwo. Wspólna kultura. A teraz słyszę, że to zagrożenie. Może więc wszystko jest kwestią opisu?

– Jak te opisy wyglądały 20-30 lat temu, a jak wyglądają teraz? Ile ich jest? Wtedy była Telewizja Polska, która wszystko opisywała, i dwa-trzy

Nie wiemy, co Rosjanie planują. Może więc reagujemy właściwie, a może przesadzamy.

tytuły prasowe. Teraz mamy setki, a nawet tysiące opisujących, prezentujących różne perspektywy. Każdy sobie wybiera z tych setek nadawców takiego, który przedstawia rzeczywistość w sposób najbliższy jego poglądom. Czyli nie jest tak jak 30 lat temu, że musiał słuchać wiadomości o 19.30, bo nie było innych. Teraz przełącza się na inną stację lub inny kanał internetowy.

Społeczeństwo może funkcjonować w takich nastrojach? Jak współpracować w tak skłóconym świecie?

– Jestem z wykształcenia son-dażystą, więc ze swojej praktyki

powiem panu, że generalnie ludzie poprawnie rozpoznają rzeczywistość, o tyle, o ile ma ona związek z ich życiem. To znaczy, mogą mieć jakieś bzdurne wyobrażenia o dalekich krajach albo ludziach, z którymi nigdy nie będą mieć do czynienia. Ale tam, gdzie jest ich własny interes i mają coś do zyskania i do stracenia, dobrze rozpoznają rzeczywistość. Nawet ludzie bardzo słabo wykształceni, nieznający podstaw matematyki nie mylą się, jeśli chodzi o resztę w sklepie, a na wyższym poziomie nie mylą się w kwestii tego, za ile sprzedać mieszkanie czy

kawałek gruntu. Różne rzeczy można zatem niewykształconym ludziom wmówić, np. na temat Australii czy Papui, ale na temat tego, co ich dotyczy, już nie. Wydaje mi się w związku z tym, że chaos informacyjny wcale nie oznacza, że ludzie nie orientują się w rzeczywistości. W tej sprawie jestem optymistą, uważam, że to chaos trochę pozorny.

Czyli mamy chaos, teatr polityczny, a obok toczy się normalne życie. Ludzie potrafią odróżnić zagrożenia realne od tych kreowanych.

– Dlatego mówienie o zagrożeniu z Zachodu jest puste. Oczywiście istnieją różnego rodzaju zagrożenia dla jakichś sektorów i producentów, ze względu na odmienne polityki unijne. Ale poza tym Polacy jeżdżą do państw Europy, pracują tam, przesyłają pieniądze. Bardzo wiele drobnych i większych firm świadczy tam usługi. Młodzi ludzie uczą się, studiują, znają tamten świat. Gdy wstępowaliśmy do Unii, dominował plakatuowy stosunek do niej, była wyidealizowanym organizmem. Dziś ludzie widzą jej dobre i złe strony. Jednak te dobre przeważają.

W takim razie cały ten teatr polityczny, to prężenie się, jest funta kłaków warte, bo ludzie i tak stąpają twardo po ziemi.

– Tylko że gdy mamy sytuację kryzysową, taką jak teraz, to od dwóch decyzji może zależeć, czy jesteśmy na wojnie, czy na wojnie nie jesteśmy. Każdy to wie. Nie do końca zatem jest tak, że polityka swoje, a ludzie swoje. Wszyscy mówią jednym głosem: nie podoba nam się wojna u bram. Nie podoba się pacyfistom, nie podoba się euroatlantystom, jakkolwiek człowiek by określił swoje poglądy, nikt nie chce wojować z Rosją. Choć ludzie wyciągają z tego różne wnioski. Jedni mówią, że nie należy się dać Ukraińcom wciągnąć, drudzy, że trzeba pomagać Ukraińcom, bo są barierą przed Rosją. To strach czasem przesadzony, ale – wszyscy z tym się zgodzimy – ma racjonalne podstawy.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

„Jesteśmy dzisiaj w dużej mierze bezbronni”, oświadczył europoseł PiS Michał Dworczyk w rozmowie z Marcinem Fijołkiem na antenie Polsat News, komentując nocny nalot 21 rosyjskich dronów, który miał miejsce z 9 na 10 września. Dodał, że Wojsko Polskie „nie jest gotowe do nowej wojny”, i zdradził, że gdyby zaczęły się ataki z taką siłą jak na Ukrainę, to pewnie byśmy sobie nie poradzili. Trudno o bardziej dosadne stwierdzenia z ust prominentnego polityka PiS, który od marca do grudnia 2017 r. był sekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Były dowódca amerykańskich sił lądowych w Europie gen. Ben Hodges powiedział, że wtargnięcie rosyjskich aparatów w naszą przestrzeń powietrzną było nie wypadkiem, ale „sondowaniem ze strony Rosjan”. Oceniał, że NATO wciąż nie jest przygotowane na takie działania. To zdarzenie po raz kolejny dowiodło, jak istotną rolę we współczesnych konfliktach zbrojnych odgrywają bezzałogowce.

Drony zmieniły reguły gry

Działania na froncie w Ukrainie bardzo już się różnią od tych prowadzonych w pierwszych miesiącach wojny w 2022 r. Obie strony zrezygnowały z ataków kolumn czołgów i transporterów opancerzonych, gdyż stały się one łatwym celem dla dronów, artylerii i wyrzutni kierowanych pocisków przeciwpancernych. Rosjanie boleśnie przekonali się o tym pod Kijowem wiosną 2022 r., a Ukraińcy w czasie słynnej kontrofensywy na froncie zaporoskim w czerwcu 2023 r. Dziś artyleria, lotnictwo, broń pancerna i broń strzelecka odpowiadają za 30% strat na froncie. Drony powodują 70-80% strat.

Damian Duda, medyk pola walki, założyciel Fundacji W międzyczasie, który ratuje walczących żołnierzy ukraińskich, w jednym z wywiadów udzielonych Piotrowi Zychowiczowi na kanale Historia Realna mówił, że pracuje w podziemnym szpitalu wielkości polskiego szpitala

Po pierwsze, nie mamy dronów

DZIEJE SIĘ WIELE, ALE ZA WOLNO I ZA PÓŻNO



Dron FPV.

powiatowego. Ukraińcy zbudowali go, by chronić się przed rosyjskimi dronami. Armia ukraińska w Donbasie dosłownie zeszała pod ziemię. Tak samo zrobili Rosjanie. W tej wojnie coraz rzadsze są rany postrzałowe, większość to obrażenia spowodowane atakami dronów. Nasycenie pola walki bezzałogowcami sprawiło, że ewakuacja rannych stała się skrajnie niebezpieczna. Zdarza się, że na pomoc muszą oni czekać nawet dwa dni. Ich rany są brudne. To sprawia, że śmiertelność dramatycznie wzrosła. W tych warunkach przeżywa zaledwie 10% rannych. W przeszłości obie strony zabierały swoich poległych – obecnie zdarza się to rzadziej. Ryzyko jest zbyt duże. Ma to ogromny wpływ na morale żołnierzy ukraińskich.

Drony radykalnie zmieniły taktykę walki piechoty. Nikt nie atakuje

w tyralierach, do ataku ruszają dwu, trzysobowe grupy szturmowe, często na motocyklach terenowych. Trudniej bowiem trafić szybko poruszające się cele. Gdy uda się zająć okop lub budynek, stara się tam dotrzeć kolejna niewielka grupa. Ukrytych w głębokich okopach i ostoniętych siatkami maskującymi dział samobieżnych strzegą wyposażeni w myśliwskie strzelby śrutowe żołnierze, których zadaniem jest strącanie dronów. Na pierwszej linii rzadko też pojawiają się czołgi. Amerykanie już dawno poprosili Ukraińców, by wycofali z frontu Abramsy. Zbyt wiele z nich padło ofiarą dronów.

Rosjanie z kolei zaczęli obudowywać swoje czołgi żelaznymi płytami – przypominały przez to jeżdżące stodoły. Przez jakiś czas było to rozwiązanie skuteczne, ale ukraińscy żołnierze i z tym sobie poradzili. Czołgi ▶



Zajęcia pokazowe w Centrum Szkolenia WOT. Nz. polska amunicja krążąca Warmate WB Electronics.



► Mangał – tak nazywali je Rosjanie – także zostały wycofane. Rosjanie na swoich nowo wyprodukowanych czołgach i transporterach opancerzonych instalują także urządzenia zagłuszające elektronikę dronów. Nie mają ich zbyt wiele, bo to kosztowna i nie do końca pewna technologia.

Czy nasze czołgi przeżyją?

Polska armia nie ma podobnych rozwiązań, dlatego nasze najnowsze Abramsy, Leopardy i koreańskie czołgi K2 Black Panther nie miałyby dziś wielkich szans w starciu z rosyjskimi dronami.

Wojsko Polskie dysponuje czterema systemami antydronowymi o nazwie SKYctrl produkowanymi przez spółkę Advanced Protection Systems (APS) z Gdyni. To krajowy lider w wytwarzaniu tego rodzaju uzbrojenia. Przedstawiciele ukraińskich sił zbrojnych mieli o tym systemie powiedzieć, że był „najlepszy, jakiego używali”. Obecnie urządzenia gdyńskiej spółki chronią obiekty w 24 krajach, w tym w Arabii Saudyjskiej, Wielkiej Brytanii, Norwegii, Czechach i Finlandii.

Problem w tym, że zwalczają one głównie małe drony, a maksymalna odległość, na jaką są skuteczne, wynosi 8 km. Spółka APS nawiązała strategiczne partnerstwo z norweską firmą Kongsberg w zakresie systemów C-UAS. Norwegowie planują uruchomienie ich produkcji w Polsce.

Z kolei spółka Hertz New Technologies z Zielonej Góry produkuje zaawansowany system antydronowy o nazwie HAWK. Chroni on już Port Lotniczy Zielona Góra-Babimost – w ciągu pierwszych dwóch miesięcy po instalacji wykrył ok. 150 dronów.

Zakłady Mechaniczne Tarnów zbudowały system antydronowy nazwany przez media „potworem z Tarnowa”. To wielolufowy karabin maszynowy kalibru 12,7 mm, oddający 3,6 tys. strzałów na minutę. Ta broń jest w stanie efektywnie neutralizować drony na dystansie do 2 km. Czy Wojsko Polskie kupi tarnowskiego „potwora”? Nie wiadomo.

Naukowcy z Politechniki Gdańskiej pozyskali prawie 21,8 mln zł z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju na stworzenie systemu antydronowego o nazwie Stratus, który za pomocą impulsów elektromagnetycznych będzie zwalczal drony zagrożające m.in. obiektom strategicznym w Polsce.

Jeśli chodzi o systemy antydronowe, to z pewnością w Polsce dzieje się dużo. Ale za wolno i za późno.

Kwity i lobbyści

A co się dzieje w Polsce, jeśli chodzi o drony? O problemach związanych z wyposażeniem Wojska Polskiego w drony rozpoznawcze i bojowe piszemy na łamach „Przeglądu” od 10 lat. W lipcu 2015 r. w tekście „Dronowisko” przedstawiliśmy plany ówczesnego

rządu dotyczące wydatkowania niemal 6 mld zł na projektowanie, budowę i zakup dronów. Opisał, jak NCBR realizowało za środki unijne program sektorowy INNOLOT, którego częścią miało być opracowanie technologii produkcji systemów bezzałogowych z myślą o wyposażeniu Wojska Polskiego.

Pieniądze wydano, lecz armia żadnych dronów nie otrzymała. Szczegóły realizacji tego programu można znaleźć w wystąpieniu pokontrolnym NIK o sygnaturze R/20/005 – „Realizacja wybranych programów sektorowych przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju” z czerwca 2021 r. Działania dotyczące programu INNOLOT pracownicy NIK ocenili jako „nierzetelne”.

Ponad dekadę temu naszą generalicję interesował zakup dużych dronów rozpoznawczych i bojowych typu MQ-1 Predator, produkowanych przez amerykańską spółkę General Atomics Aeronautical Systems. Były to duże drony, o ogromnym zasięgu, wyposażone w nowoczesny sprzęt obserwacyjny, zdolne do ataków rakietami z wysokości 8-10 tys. m. Oczywiście nie mogło się obejść bez skandalu. W lutym 2010 r. zawarto kontrakt na kwotę 88 mln zł z izraelską spółką Aeronautics Defense Systems w sprawie dostawy bezzałogowych aparatów latających Aerostar. Ponieważ jednak nie spełniały one oczekiwań wojskowych, a terminy dostaw przesuwano w nieskończoność, w październiku 2012 r.

Ukraiński żołnierz podczas
wystrzeliwania polskiego
drona rozpoznawczego
FlyEye firmy WB Electronics.
Obwód kijowski,
2 sierpnia 2022 r.



System HAWK, który
wykrywa i śledzi lot dronów,
może też przejmować
nad nimi kontrolę.

ówczesny wiceminister obrony narodowej gen. Waldemar Skrzypczak, odpowiedzialny za zakupy uzbrojenia, zerwał niefortunną umowę.

Rok później na łamach „Gazety Wyborczej” ukazał się artykuł „Kwit na generała”. Opublikowano w nim list Skrzypczaka, którego adresatem był izraelski generał Shmaya Avieli, dyrektor SIBAT – rządowej agencji zajmującej się m.in. eksportem uzbrojenia. Wiceminister, delikatnie mówiąc, promował w nim drony produkowane przez izraelską spółkę Elbit w toczącym się wówczas przetargu na dostawę bezzałogowców dla Wojska Polskiego. Gen. Skrzypczak musiał odejść, a wart 1 mld zł przetarg na drony zakończył się niczym.

Cztery zestawy

Jedyny porządny kontrakt na dostawę bezzałogowców w tamtym czasie wojsko zawarło w 2010 r. z ożarowską spółką WB Electronics. Chodziło o imponującą dostawę... czterech zestawów aparatów obserwacyjnych FlyEye o zasięgu 30 km. Warto podkreślić, że rodzima konstrukcja przewyższała technologicznie produkty zagranicznych firm. Trzy lata później Wojsko Polskie kupiło 12 takich zestawów. W latach 2019-2022 WB Electronics dostarczyła armii dziesiątki kolejnych aparatów. Na koniec 2023 r. na wyposażeniu Wojska Polskiego było aż 170 zestawów FlyEye.

Po ataku Rosji na Ukrainę Kijów zaczął masowo kupować nasze drony obserwacyjne na wyposażenie swojej armii i dziś ma ich ponad 400. Na początku tego roku spółka WB Electronics uruchomiła na terenie Ukrainy fabrykę produkującą FlyEye. Z oczywistych względów nie ujawniono, gdzie ona się znajduje. Można jedynie domniemywać, że ożarowska spółka produkuje w niej także amunicję krążącą Warmate, wysoko cenioną przez ukraińskich żołnierzy.

W maju br. rząd podpisał z WB Electronics umowę na dostawę, do końca 2035 r., prawie 1 tys. zestawów Warmate, wraz z 10 tys. dronów kamikadze, które mają zdolność niszczenia pojazdów opancerzonych. Szacuje się, że wartość tego kontraktu to ponad 1 mld zł.

Ożarowska spółka jest dziś największym polskim prywatnym producentem uzbrojenia, zatrudniającym ponad 1,8 tys. pracowników. Wraz ze spółkami zależnymi, m.in. gliwicką Flytronic, oferuje elektronikę oraz najwyższej klasy wojskowe systemy łączności, w tym cyfrowe systemy komunikacji, dowodzenia i zarządzania polem walki, przeznaczone dla wozów bojowych, artylerii oraz dowództwa szczebla taktycznego.

Plany, plany...

Produkcją dronów, części do nich i oprogramowania zajmuje się w Polsce ok. 50 firm. Około 30 należy do Polskiej Izby Systemów

Bezzałogowych, reprezentującej interesy branży wobec rządu. Do najciekawszych podmiotów należy gliwicka spółka Prodron, która w 2024 r. wyposażała Jednostkę Wojskową Komandosów w 90 sztuk rozpoznawczych bezzałogowych statków powietrznych (BSP) klasy mikro. Były to systemy Ogar, z unikatową funkcją wodowania. Wartość dwóch zrealizowanych kontraktów wynosiła 15 mln zł.

Działająca w Warszawie spółka Under Ant projektuje i buduje bezzałogowce, które mają dostarczać ładunki na duże odległości oraz przeznaczone do długich lotów poszukiwawczo-ratowniczych i rozpoznawczych. Drony te można łatwo przystosować do potrzeb militarnych.

Ciekawą propozycję ma poznańska spółka TKH, która zaprojektowała rodzinę dronów o napędzie turboodrzurowym i zasięgu do 1000 km. Jej dron oznaczony symbolem MTJD 100 (Modular Turbo Jet Drone – modułowy dron turboodrzurowy) ma osiągać prędkość ok. 2440 km/godz., mieć udźwigną ponad 100 kg i być zdolny do rażenia celów położonych w okolicach Moskwy.

Władze spółki chcą produkować te aparaty w tysiącach sztuk rocznie. Mają plany budowy własnej fabryki. Podkreślają, że zaletą dronów jest budowa modułowa, co oznacza, że mają być łatwe do modyfikacji i serwisowania. Oficjalnie projekt drona MTJD został zaprezentowany w trakcie tegorocznego Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach i otrzymał Nagrodę Defender.

Z dostępnych informacji wynika, że o współpracę z polskim resortem obrony, jeśli chodzi o produkcję dronów, zabiegają podmioty skupione wokół państwowego koncernu Ukroboronprom oraz producenci FPV i amunicji krążącej, którzy już przenieśli część produkcji lub know-how do Polski. W trakcie tegorocznego kieleckiego salonu przemysłu obronnego Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia prezentował drony FPV oparte na ukraińskich projektach, ale produkowane w Polsce. Były to modele VPL-7, VPL-10, VPL-15 – różniące się udźwigniem (1,1-5 kg) i zasięgiem, przystosowane ▶

► do przenoszenia polskich głowic bojowych GX-1 i GX-100, jak również miniaturowy dron rozpoznawczy do działań w terenie zurbanizowanym o nazwie Pchła.

5 mln dronów rocznie

Takie są plany na przyszłość, o tym się mówi. Ale w realu, tu i teraz, według danych, które przytacza portal Wirtualny Nowy Przemysł, nasza armia ma nie więcej niż 300 sztuk bezzałogowców powietrznych. To liczba komiczna wobec wymagań współczesnego pola walki. Według zachodnich danych armia ukraińska „zużywa” dziennie na froncie 12-15 tys. dronów wszystkich typów. Kijów chciałby produkować rocznie 5 mln dronów.

Produkcją dronów, części do nich i oprogramowania zajmuje się w Polsce ok. 50 firm.

Z kolei według ministra obrony Federacji Rosyjskiej Andrieja Biełousowa walczące w Ukrainie oddziały rosyjskie potrzebują dziennie ok. 4 tys. małych dronów FPV (First Person View).

Do tego należy doliczyć drony wabiki Gerbera (to te, które naruszyły polską przestrzeń powietrzną), irańskie drony Shahed i ich rosyjskie odpowiedniki Gerań oraz bomby szybujące FAB i KAB. Są też drony rozpoznawcze i służące do ataków na czołgi, działa samobieżne i transportery opancerzone czy produkowane przez koncern Kałasznikow drony Lancet. Rosjanie coraz szerzej stosują drony sterowane za pośrednictwem światłowodów. Są one niezwykle niebezpieczne, gdyż nie można zakłócić ich działania środkami walki radioelektronicznej. Ich skuteczność sięga 80%.

Według raportu amerykańskiego Instytutu Badań nad Wojną (ISW) z września br. produkcja takich dronów ma się podwoić – obecnie to ok. 50 tys. sztuk miesięcznie. Ukraiński wywiad we wrześniu br. ocenił, że Rosja produkuje rocznie 1,5-2 mln dronów różnych typów. Inne dane wskazują, że produkcja tylko małych

dronów taktycznych (FPV) może sięgać 2 mln sztuk rocznie.

Nie ma takiego słowa, które trafnie opisałoby dystans dzielący dziś Polskę od Rosji i Ukrainy, jeśli chodzi o możliwości produkcji dronów. Sprzęt, który dziś posiadamy, starczyłby na godzinę walki z armią rosyjską.

Ale plany mamy ambitne. Od 1 stycznia 2025 r. funkcjonuje Inspektorat Wojsk Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia pod dowództwem gen. bryg. Mirosława Bodnara. To nowa struktura odpowiedzialna za integrację systemów dronowych we wszystkich rodzajach sił zbrojnych. Tylko trzeba jeszcze mieć co „integrować”. W polskiej armii, jak wspominałem, jest obecnie

ok. 300 dronów wszystkich typów, co drastycznie kontrastuje ze zgłaszanymi przez polityków i wojskowych ambicjami do zdolności budowy „milionów dronów” i wyposażenia wojska „w setki tysięcy” bezzałogowców. Zwłaszcza że dziś rocznie możemy wyprodukować zaledwie kilka tysięcy dronów, i to głównie dzięki ożarówskiej spółce WB Electronics oraz jej spółce zależnej Flytronic.

Musimy też pamiętać, że ostatecznie możliwości produkcyjne rosyjskich, ukraińskich i polskich fabryk dronów będą zależne od możliwości produkcyjnych fabryk chińskich. Z Chin pochodzi większość podzespołów używanych do produkcji bezzałogowców przez wszystkie strony konfliktu w Ukrainie.

Kompromitujące odpowiedzi

Kto odpowiada za to, że Wojsko Polskie nie jest dziś gotowe na wojnę z masowym użyciem dronów? Przeprowadzone w lutym 2021 r. ćwiczenia sztabowe „Zima-20”, w których wzięło udział kilka tysięcy oficerów, pokazały, że już w czwartej dobie wojska nieprzyjaciela ze Wschodu okrążyłyby Warszawę, zablokowały

lub zajęły nasze strategiczne porty, a lotnictwo i Marynarka Wojenna mimo wsparcia NATO przestałyby istnieć. Stacjonujące we wschodniej części kraju jednostki podczas symulacji zostały rozgromione, tracąc 60-80% zasobów.

W ćwiczeniach tych założono, że Wojsko Polskie dysponuje zestawami przeciwlotniczymi Patriot, artylerią raketową HIMARS i wielozadaniowymi samolotami F-35! Oznacza to, że nawet kosztowna zachodnia technika by nie pomogła. Nikt jednak nie zdaje sobie sprawy z tego, że klęska byłaby większa i nastąpiłaby szybciej niż we wrześniu 1939 r.

Więcej niż pewne jest zatem, że nasi generałowie nie przewidzieli konsekwencji, jakie niósł szybki rozwój nowoczesnych technologii.

Dziś żaden dziennikarz nie pyta ani ich, ani polityków, ile wojsko ma dronów, ile z 21 rosyjskich dronów zostało strąconych, a ile spadło, bo skończyło się im paliwo. Odpowiedzi byłyby kompromitujące.

Premier Donald Tusk powiedział, że straciliśmy trzy, może cztery drony, co oznacza, że skuteczność naszej obrony wynosi 20%. Ukraińcy strącają 80-90% rosyjskich bezzałogowców atakujących ich miasta. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Kreml wysłał na nasz kraj 1 tys. uzbrojonych dronów. 800 dosięgłoby swoich celów.

Politycy także mają udział w tym, że dziś jesteśmy właściwie bezbronni. Wiedzą, że Wojsko Polskie to dla wyższych rangą oficerów bardzo przyjemne miejsce. Wysokie pensje, miła praca biurowa, polowania i równie szczodra wczesna emerytura. Kto będzie ryzykował jakieś zmiany? Mówił o tym w wywiadzie eurodeputowany PiS Michał Dworczyk.

Poza wszystkim przylot rosyjskich dronów wywołał efekt, na który nikt nie zwrócił uwagi. Polska natychmiast zaapelowała do sojuszników o pilne wzmocnienie obrony przeciwlotniczej. Odpowiedź była pozytywna. A to oznacza, że Kijów otrzyma mniej rakiet, mniej systemów Patriot i innych. Rosjanom łatwiej teraz będzie atakować ukraińskie miasta. Może o to Putinowi chodziło?

Marek Czarkowski

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Wojna czy jeszcze nie? Wlot, przelot, wtargnięcie, atak, symulacja, prowokacja, testy, crash testy, błędy czy świadome działanie udające przypadkowe? Krzywdy realne i urojone. Nie ma dachu, kartofle zaatakowane. Operacja czy aberracja, koordynacja czy fiksacja, a strach polskich myszy polnych, których dobytek, nieruchomości na kartoflisku zostały naruszone?

Tyle pytań, obaw i lęków, a odpowiedzi nie ma. NATO wie, do Trumpa zadzwonił Karol, najjaśniej nam prezydentujący. Generałowie strzelali, czyli wydali rozkaz strzelania do dronów nieznanego pochodzenia, acz niedrogich, drogimi raketami wiadomego pochodzenia. Gdyby tego droniarskiego nalotu nie było, trzeba by go wymyślić. Panny sznurem za dronów pogromem. Odparliśmy. Państwo, które nie działa, zadziało, działa dały czadu. Działa czy inne bojowe latające potwory, jeden z Włoch, drugi z Holandii. Ważną rolę odegrały radary znajdujących się w Polsce niemieckich patriotów. Co za międzynarodówka, jak

wykrzyczymy, bo śpiewać już też nie umiemy. Niech nas prowadzą biskupi, wcześniej pokropiwszy niemieckie czołgi, amerykańskie rakiety, koreańskie haubice i inne helikoptery czy drony. I nazwy wymyślamy dla naszych lotniczych arsenałów: same orły, sokoły, jastrzębie, nie daj boże jakieś kukułki czy jaskółki. Musi być groźniej, niż jest groźnie.

Wojna, która zabija, jednoczy jak nic innego. Naród jest wtedy jednością, mózgiem, armią, wolą nacjonalizmu. A tych, którzy zapytają, jak się mają uszkodzenia po zestrzeleniu drona, co spadł na chałupę, do zniszczeń po powodzi – trzeba utemperować, odosobnić najlepiej i na dłużej. Takie zrobić im oflagi – nie więzienia, coś między karcerem a psychiatrykiem. Przećwiczyliśmy to, tworząc Krajowy Ośrodek Zapobiegania Zachowaniom Dysocjalnym w Gostyninie, wbrew prawu i konstytucji, bo okoliczności tego wymagały. Teraz także wymagają, tylko bardziej. Poza tym Bereza to też nie obóz pozbawiony sensu, wtedy groził Stalin, dziś – wiadomo kto.

Lecą, lecą drony, warcz jak i one

ze snów o wygranej III wojnie światowej. Jak blisko wymarzona wojna, adekwatna reakcja, zdecydowana odpowiedź w języku siły, bo tylko ten język rozumie agresor.

Wicenaczelnym „Wyborczej” bije w mediowy dzwon Zygmunt: „Data 10 września zapisze się w historii Europy”. Doprawdy? I mocniej: „Czy mamy wyznaczone cele, w które uderzymy w odwecie?”. Uderzyć w pola kukurydzy czy od razu w kremłowskie kuranty? Może należy przeprowadzić ankietę i zapytać Polaków, w jakie cele w Rosji uderzyć w retorsyjnym geście? Wybierz trzy z 15 propozycji. Cena SMS-a 2,99 + VAT. I kupi Polska kolejne ponaddwukrotnie widły na to paskudztwo nadlatujące ze wschodu. Najlepiej u Janeków – od lat robią takie widły, żeby prowadzić swoje wojny, lecz pamiętaj, że to wojny dobre i sprawiedliwe w obronie „wolnego świata i cywilizacji”. Wolny świat to taki, gdzie USA sprzedają za setki miliardów swoją broń (45% światowego handlu bronią to USA), a wydatki na edukację, zdrowie, opiekę społeczną lecą na łeb na szyję. To nasz świat. Po co mącić? Przynależność do tego „projektu” musi kosztować, to chyba jasne, takie są święte prawa ekonomii, których de facto nie ma. Ale o tym cicho sza. Na co ci to wiedzieć?

A może wszyscy w Polsce powinniśmy założyć mundury? To ich (jego) przestraszy i zreflektuje. Ale czy mamy wybranego króla i wykonawcę, który nie jest z Bangladeszu, tylko jakiegoś polskiego przedsiębiorcę, który wykorzystuje siłę roboczą tu, na miejscu, w ojczyźnie? Niech szyją: na miarę, bez miary, duże, bo rośniemy w siłę bezprzytomnie, w końcu jedna z 20 największych gospodarek świata – to my, Polacy, z naszym PKB na piersiach. I okrzyk wnieśmy razem, i pieśń religijną

Nie czas na pytania, gdy cierpią kartofle. Czas pytań za nami, nadchodzi czas rozkazów i ich wykonywania. Pełen posłuch, żadnych defetyzmów i pacyfistycznych rojeń, które wszystkie od ruskich trolli hybrydowych są. I niech każdy patrzy na niebo, stamtąd nadleca. Cały naród wypatruje wrogich dronów.

Nad okolicami Dworca Zachodniego w Warszawie przelatują wojskowe black hawki. Płk Mariusz Łapeta z Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych zapewnia: „Nie są to puste przeloty, piloci muszą się szkolić”. Pamiętajmy też, żeby nie podważać bohaterstwa jednego z najlepszych polskich pilotów F-16, który podczas pokazów, nieatakowany przez drony ani samoloty, przeszarżował na śmierć. Mówiąc brutalnie, ofiar więcej na pokazach niż podczas tych bezprecedensowych ataków, ale to był nieszczęśliwy wypadek, co na pewno wyjaśni odpowiednia komisja. I o to chodzi, żeby wyjaśniać, tłumaczyć, edukować do wojny i walki. Polska dla Polaków.

Zaśpiewajmy razem:

*Nie ma takiej wioski, nie ma takiej chatki,
Gdzie by nie kochały ułana mężatki.
Hej, hej, ułani, malowane dzieci,
Niejedna panienka za wami poleci.
Niejedna panienka i niejedna wdowa
Zobaczy ułana, kochać by gotowa.
Babcia umierała, jeszcze się pytała:
Czy na tamtym świecie, ułani, będziecie?*

Do boju, do grobu.

Macher prezesa

Gdyby w Polsce istniał urząd wiceprezydenta, drugą osobą w państwie byłby Adam Bielan

Andrzej Sikorski

Trzeba przyznać, że w wymiarze PR-owym Karol Nawrocki miał imponujący początek prezydentury: telekonferencja z prezydentem USA i szefami europejskich rządów w sprawie Ukrainy i otrąbiona na wszystkie strony wizyta w Białym Domu. Polski prezydent został przyjęty przez Donalda Trumpa niczym przywódca supermocarstwa. A przecież jedyne, co miał do powiedzenia prezydentowi USA, to to, że „nie ufa Władimirowi Putinowi”, a w rozmowach z nim „trzeba używać twardego języka”.

Amerykańskie kontakty

Tydzień przed wyprawą Nawrockiego do USA za ocean udał się Adam Bielan. „Nie jestem urzędnikiem Kancelarii Prezydenta RP, chociaż oczywiście jestem w kontakcie i z panem prezydentem, i z jego ministrami. Ale nas interesują przede wszystkim relacje bilateralne w stosunkach z Amerykanami”, powiedział europoseł PiS na antenie Programu I Polskiego Radia.

Według nieoficjalnych informacji to Bielan dogadywał z administracją Trumpa szczegóły wizyty polskiej delegacji, do której został oficjalnie włączony. Bielan kilkakrotnie w ostatnich miesiącach był w USA. Między innymi w grudniu 2024 r., gdy ze współpracownikami Trumpa naradzał się, jak skutecznie poprowadzić kampanię Nawrockiego. „Adam dogrywa tematy w kontekście kampanii prezydenckiej w Polsce i tego, jak poprowadzić do zwycięstwa Karola Nawrockiego. Podpatruje, radzi się w otoczeniu Trumpa i speców od kampanii”, mówi „Super Expressowi” informator przedstawiony jako „polityk PiS”.



To Bielan dogadywał z administracją Trumpa szczegóły wizyty polskiej delegacji.

Rzeczywiście kampania Nawrockiego była kalką kampanii Trumpa. Ta sama narracja, te same hasła i zwroty, nawet ubiór, sposób poruszania się i gestykulację Nawrocki przejął od amerykańskiego protektora. Na tym nie kończą się zasługi Bielana, który zorganizował majową wizytę w USA, gdzie „obywatelski kandydat na prezydenta” spotkał się w Gabinetcie Ovalnym z Trumpem. Co prawda, rozmowa trwała kilka minut, ale Trump udzielił wsparcia Nawrockiemu, co było złamaniem niepisanej reguły nieangażowania się w kampanię wyborczą za granicą.

Wreszcie to właśnie Bielan ściągnął do Rzeszowa na zjazd prawicy z całego świata, tuż przed drugą turą wyborów, amerykańską sekretarz bezpieczeństwa krajowego Kristi Noem (w zastępstwie wiceprezydenta J.D. Vance’a), która udzieliła poparcia Nawrockiemu.

„To ma znaczenie, kto jest u władzy. Przez lata widziałam, jak rządzili socjaliści i liberałowie, którzy tak jak

prezydent Warszawy są beznadziejnymi liderami i zniszczyli nasze kraje (...), ponieważ rządzili przy pomocy strachu. Donald Trump jest silnym liderem dla nas, ale wy macie możliwość mieć równie silnego lidera, jeśli zrobicie z Karola przywódcę tego kraju”, powiedziała Noem, co zacytowały wszystkie media.

Polskie podwórko

Okazuje się, że przebiegły Bielan gra na kilku frontach, zabiegając o stworzenie nowej koalicji. Sprawa się ryła, gdy „Fakt” opublikował zdjęcia z nocnej schadzki w mieszkaniu europośła, w której brali udział Michał Kamiński, Szymon Hołownia i Jarosław Kaczyński.

Hołownia zarzekł się, że knucie z PiS było jedynie wypełnianiem jego obowiązków marszałkowskich, ale podobno obiecał Kaczyńskiemu, że nie będzie robił Nawrockiemu problemów z zaprzysiężeniem. Liderzy partyjni dyskutowali też o przyszłej współpracy, a nawet o podziale



Spotkanie Karola Nawrockiego z Donaldem Trumpem 3 września w Waszyngtonie. Uczestniczyli w nim (od lewej) Adam Bielan, Sławomir Cenckiewicz i Marcin Przydacz.

stanowisk, gdyby Polska 2050 i PSL zdecydowały się zdradzić Tuska. Propisowski publicysta Stanisław Jannecki ujawnił, że Hołownia od dawna spiskuje z Bielanem, „rozważając wariant zrobienia Donalda Tuska na szaro po prostu, czyli zbudowania większości w oparciu o PiS, Polskę 2050 i PSL”.

Według moich informacji to Bielan namówił Hołownię do uknucia intrygi przeciwko premierowi. Według wersji lansowanej przez środowisko PiS Donald Tusk miał naciskać na marszałka Sejmu, aby przesunął termin złożenia przysięgi przez Karola Nawrockiego. „Wiemy, że Tusk przy pomocy usługujących prawników planował rozpoczęcie Zgromadzenia Narodowego i ogłoszenie natychmiast przerwy, tak żeby uniemożliwić wybranemu w demokratycznych wyborach prezydentowi objęcie urzędu. To jest ciężkie przestępstwo, zamach stanu, złamanie Konstytucji. Tusk podlegał do tego marszałka Sejmu”, mówił Bielan Interii 18 lipca. Kilka dni później Hołownia wpisał się w tę narrację i przyznał, że był namawiany do „zamachu stanu” przez ludzi, którym „nie podobał się wynik wyborów prezydenckich”.

Teraz Bielan wyszedł z cienia i przystąpił do kontrataku, uderzając w czołowych polityków rządu, m.in. Radosława Sikorskiego i jego żonę

Anne Applebaum. „Nie było pary w polskiej historii w ciągu ostatnich 30 lat, która zaszkodziła bardziej wizerunkowi naszego kraju niż Sikorski i Applebaum. Są setki artykułów, które ta para sprofundowała w międzynarodowej prasie, wykorzystując swoje dobre relacje towarzyskie, począwszy od lewicowego »Guardiana« w Wielkiej Brytanii, skończywszy na »Washington Post«. W dziesiątkach, setkach artykułów widać odciski palców Sikorskiego i Applebaum, w czasie kiedy rządziła Zjednoczona Prawica”, pisał.

Dostało się też szefowi rządu. „Donald Tusk jest persona non grata, wie to każdy polityk w Waszyngtonie. Tuska nie będzie w Białym Domu za prezydentury Trumpa”, deklarował Bielan, pijąc do słów Tuska, który jeszcze jako lider opozycji na spotkaniu z mieszkańcami Bytomia w marcu 2023 r. mówił, że „zależność Donalda Trumpa od rosyjskich służb nie podlega dyskusji” (Tusk nawiązał w ten sposób do raportu prokuratora specjalnego Roberta Muellera w sprawie domniemyanych związków Trumpa i jego współpracowników z Rosją). Prezydent USA pewnie nigdy nie dowiedziałby się, co Tusk powiedział w Bytomiu, ale Bielan zadbał o to, żeby zohydzić polskiego premiera, wykorzystując do tego zaburzenia psychiczne

Trumpa. Zgodnie z tym, co orzekli amerykańscy psycholodzy, Trump jest niezdolny do bycia prezydentem. „Jego powszechnie widoczne objawy niestabilności psychicznej – w tym megalomania, impulsywność, nadwrażliwość na zniewagi lub krytykę i oczywista niezdolność do odróżniania fantazji od rzeczywistości – doprowadziły nas do kwestionowania jego kandydatury na ten ogromnie odpowiedzialny urząd”, stwierdzili badacze ze Szkoły Medycznej Harvardu oraz Uniwersytetu Kalifornijskiego.

Jesienią 2024 r. po wygranych przez Trumpa wyborach Dominik Tarczyński i Adam Bielan dostarczyli współpracownikom prezydenta elekta donos na Tuska i innych polityków PO. „Mogę ujawnić, że sztab Donalda Trumpa otrzymał wszystkie materiały z negatywnymi wypowiedziami na jego temat. Donald Trump jest świadomy, co pisała na jego temat żona Radosława Sikorskiego, co mówili o nim polscy politycy, w tym Donald Tusk”, mówił Tarczyński portalowi wPolityce.pl. Trzeba przyznać, że było to zagranie genialne. Wyeliminowanie przez konkurentów politycznych będących w opozycji urzędującego premiera i ministra spraw zagranicznych z bezpośrednich relacji z największym mocarstwem świata jeszcze nikomu się nie udało. ▶

► Polityczny rozbójnik

Jan Krzysztof Bielecki zachowanie Bielana wobec Tuska i Sikorskiego nazwał skandalem i publicznie poradził Karolowi Nawrockiemu, aby „jak najdalej trzymał się” od swojego nieformalnego doradcy, który „jest znany z tego, że lubi szkodzić”. Były premier miał na myśli rozbójniczą działalność europośła w 2021 r., gdy ten doprowadził do upadku Porozumienie Jarosława Gowina, współkoalicjanta PiS.

„Kiedy w lutym ub.r. Adam Bielan podjął próbę pozbawienia mnie funkcji prezesa Porozumienia, poszedłem do Kaczyńskiego i usłyszałem: »Chyba nie sądziłeś, że puszczyć ci płazem to, co zrobisz rok temu«. Chodziło oczywiście o wybory kopertowe. To był początek akcji niszczenia naszego środowiska. Kaczyński nie był w stanie znieść, że ktoś wyznaczył granice jego władzy. Wyprowadzało go z równowagi, gdy Porozumienie przeciwstawiało się jego polityce”, napisał Gowin na Facebooku w styczniu 2022 r.

Przebiegły Bielan grał na kilku frontach, zabiegając o stworzenie nowej koalicji.

Wybory kopertowe to był pomysł Bielana. Wiosną 2020 r., obawiając się spadku poparcia dla Andrzeja Dudy mającego związek z wprowadzonymi restrykcjami antycovidowymi, PiS postanowiło przeprowadzić wybory prezydenckie mimo trwającej pandemii. Organizatorem miała być Poczta Polska, a nie PKW, co było nie tylko skandalem, ale i złamaniem prawa. Ostatecznie głosowanie przeprowadzono w czerwcu w normalnym trybie, lecz jedynie dlatego, że wyborom kopertowym sprzeciwił się Gowin. Bielan nie tylko rozbił Porozumienie, ale też miał stać za skoordynowanymi, wielomiesięcznymi atakami na wicepremiera. Według doniesień medialnych część posłów, która początkowo wspierała Gowina, szantażem została zmuszona do przejścia na stronę PiS. Jesienią 2021 r. Gowin doznał załamania nerwowego

i trafił do szpitala psychiatrycznego, gdzie spędził kilka tygodni. Nie wystartował w wyborach w 2023 r. i wycofał się z polityki.

Przy okazji afery z rozbiciem Porozumienia postanka Joanna Kluzik-Rostkowska przypominała, jak z Bielaniem budowała partię Polska Jest Najważniejsza, gdy w 2010 r. opuścili szeregi PiS. „Bielan pracuje dla Kaczyńskiego, zawsze, w każdej sytuacji”, podkreśliła polityczka w rozmowie z „Faktem”, dodając, że wyrzuciła Bielana z partii, kiedy się dowiedziała, że chce wyciągnąć z klubu kilku posłów: „Gdybym tego nie zrobiła, krótka historia PJN byłaby jeszcze krótsza. Nie byłoby czego zbierać”.

Projekty sponsora

Sterowanie prezydentem Polski i potajemne budowanie nowej większości parlamentarnej to niejedyne sprawy, które zaprzatają głowę Adama Bielana. W marcu br. Parlament Europejski uchylił mu immunitet. Sprawa ma związek z prywatnym oskarżeniem, które przeciwko Bielnowi skierował poseł Konfederacji Przemysław Wipler. Eurodeputowany PiS miał mówić, że firma, której współwłaścicielem jest Wipler, była zamieszana w aferę korupcyjną w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, skąd wyprowadzono kilkadziesiąt milionów złotych do podstawionych spółek.

Choć NCBR podlegało Ministerstwu Funduszy i Polityki Regionalnej, na czele którego stał poseł PiS Grzegorz Puda, to w wyniku podziału politycznych łupów nadzór nad państwową agencją przypadł partii Republikanie, którą Bielan stworzył po rozbiciu Porozumienia Jarosława Gowina. Gdy wybuchła afera w NCBR, wiceminister Jacek Żalek podał się do dymisji i oświadczył, że choć formalnie nadzorował NCBR, to nie miał nic do powiedzenia, gdyż kontrolę nad tą instytucją przejął Adam Bielan, który wiedział o przekrętach. „Kojarzy mi się to ze zorganizowaną grupą przestępczą, która działa w oparciu o nieformalne

zależności, a nie w oparciu o strukturę statutową NCBR i ustawowe zależności wynikające z nadzoru ministerstwa”, przyznał Żalek.

Z zabezpieczonych przez CBA i prokuraturę materiałów (m.in. nagrań) wynika, że o kontrolę nad NCBR walczyły dwa stronnictwa skupione wokół Bielana i Żalka. Zwaśnione frakcje w walce o wpływy i pieniądze kopały pod sobą dołki. Na nagraniach jest mowa o zabezpieczeniu interesów finansowych członków partii na wypadek przegranej w wyborach. Uczestnicy rozmów mieli mówić o „priorytetowych projektach do realizacji”, które są nazywane „projektami sponsora”. Tym sponsorem miał być Adam Bielan. Jacka Żalka uczestnicy nagranych rozmów określali mianem „Wielki Żal”. W rozmowach tych szefowie NCBR wspomnieli też o „czarnym węglu”. Według zeznań Żalka złożonych w prokuraturze miała to „być akcja polegająca na dogadywaniu się z ludźmi, którzy w spółkach skarbu państwa mają przetrwać ewentualną zmianę władzy i współpraca z nimi ma gwarantować zabezpieczenie środków dla Partii Republikańskiej”.

Gdy rozkręciła się afera, Bielan, aby zmyć z siebie podejrzenia, powiedział, że grupa cwaniaków chciała wyciągnąć grube miliony, a były dyrektor NCBR to zablokował i spotkał go za to hejt. Europoseł stwierdził też, że kluczowa dla zrozumienia sytuacji w NCBR jest działalność firmy FiveRand, zwanej w branży „rzeźnikami z Nowogrodzkiej”. Kierują nią Przemysław Wipler i Michał Krzymowski (były dziennikarz „Newsweeka”), a znana jest „z czarnego PR i lobbingu” i „w tej sprawie są połączeni ze wszystkimi aktorami, którzy się wyświetlają w tej aferze”, lobbując na rzecz aferzystów.

Wipler z Krzymowskim nie zostali dłużni i zapowiedzieli, że pozwą Bielana za rozpowszechnianie kłamstw, co też się stało. Bielan twierdzi, że w sprawie NCBR „ma czyste sumienie”, żadna złotówka nie wypłynęła do aferzystów, z którymi ani on, ani Partia Republikańska nie mają nic wspólnego.

Andrzej Sikorski

Z Galicji



Jan Widacki

Wystrzegajmy się tych, którzy mają zawsze rację

Na jednej z czerwonych bejsbolówek, w których lubi paradować prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, widnieje skromny napis. Informuje, że Trump, czyli człowiek w tej czapeczce, ma zawsze we wszystkim rację („Trump was right about everything” – „Trump miał we wszystkim rację” – przyp. red.). Byłoby to nawet dość zabawne, gdyby nie fakt, że takie przekonanie o sobie ma, i jeszcze z tym się obnosi, prezydent supermocarstwa, człowiek, który – tym razem już bez odrobiny przesady – ma istotny wpływ na losy świata.

Nie chcę odbierać chleba psychologom i diagnozować, jakie cechy osobowości demonstrowa tym sposobem prezydent Trump. Mniejsza o to. Jest prezydentem supermocarstwa, a urząd objął w wyniku zwycięstwa w demokratycznych wyborach. Samo jego błaznowanie to jeszcze nic szkodliwego. Tylko że to błaznowanie wpisuje się w szerszy nieco kontekst. Trump jest nieprzewidywalny. Plecie co mu ślina na język przyniesie, kolejnego dnia sobie zaprzecza, dziwi się, że przypomina mu się, co powiedział wczoraj, a nawet jest zdumiony, że powiedział to, co powiedział.

Obiecywał, że wojnę w Ukrainie zakończy w jeden dzień. Jak widać, zeszło mu trochę dłużej – wojna zaś trwa i końca jej nie widać. Spotkał się z Putinem, nawet bił mu brawo, gdy ten pokazał się na lotnisku w Anchorage, ścisnął mu dłoń, prowadził po czerwonym dywanie, a później zaproponował Ukrainie przyjęcie warunków Putina, czyli de facto bezwzględną kapitulację. Dziwił się potem, że Zełenski nie wyraża zachwytu tą propozycją. Do Waszyngtonu musieli polecieć przywódcy państw europejskich i przekonywać Trumpa, że taka kapitulacja przed Putinem byłaby kapitulacją nie tylko Ukrainy, ale także zachodniego świata ze Stanami Zjednoczonymi na czele.

Teraz Trump mówi, że jest trochę zniechęcony i zdemotywany postępowaniem Putina – ale to zdemotowanie i zniechęcenie jakoś się nie przekłada na czyny. Odgrażał się Putinowi nowymi sankcjami, ale już przestał o nich wspominać. Tyle że wspiera Ukrainę sprzętem wojennym, za który każe płacić swoim europejskim sojusznikom – czyli, mówiąc krótko, zarabia na tym. Zapowiada za to, że spotka się z kolejnym, jeszcze bardziej egzotycznym od Putina dyktatorem, Kim Dzong Unem. Nie bardzo wiadomo po co. Zresztą z tą kreaturą spotykał się już w czasie swojej pierwszej kadencji i też nic z tego spotkania nie wyszło. Chyba wojna w Ukrainie przestała

mieć dla Trumpa pierwszorzędne znaczenie. Ważniejsze są Azja i Pacyfik.

Polska, ale również cała europejska polityka zagraniczna, ma poważny problem. Stany Zjednoczone są najpotężniejszym pod względem gospodarczym i militarnym członkiem NATO. Mając to na względzie, europejskie państwa sojuszu z jednej strony robią dobrą minę do złej gry i udają, że wszystko jest po staremu. Z drugiej – świadome przewrotności i nieprzewidywalności Trumpa, jak i tego, że nie Europa, lecz Azja i Pacyfik są dla niego najistotniejsze – jednoczą się we współpracy, rozbudowują swój potencjał gospodarczy i militarny, chcą być gotowe na to, że w chwili próby wielki zaatlantyczny sojusznik może zawieść.

Polska, która, mając de facto dwie polityki zagraniczne, nie ma tak naprawdę żadnej, znalazła się w trudnej sytuacji. Rząd, co wydaje się słuszne i w tych warunkach jedyne, chce być solidarny z Europą. Prezydent, który

Polska, która, mając de facto dwie polityki zagraniczne, nie ma tak naprawdę żadnej, znalazła się w trudnej sytuacji.

jak całe jego środowisko nie cierpi Europy i jest zakochany w Trumpie, z którym oprócz upodobania do zetemesowskiego krawata łączy go populizm i cięgoty autorytarne, stawia na stosunki dwustronne z USA i w nich widzi jedyne gwarancje bezpieczeństwa dla Polski. Sojusze europejskie ma za nic, a w Niemczech wciąż widzi nie europejskiego lidera, ale wroga. Gdyby panowie Nawrocki i Tusk zgodnie i świadomie podzielnili swoje role, mogłyby te polityki jakoś logicznie, z pożytkiem dla bezpieczeństwa kraju, się uzupełniać. Rzecz w tym, że panowie nie działają zgodnie. Prezydentowi i jego obozowi politycznemu nie przeszkadza to, że Trump pokazał na Alasce swoją nielojalność albo – najdelikatniej rzecz ujmując – gotowość do nielojalności wobec Ukrainy i gdyby nie europejska interwencja w Waszyngtonie, kto wie, jak to by się skończyło.

Nawrocki i PiS biorą na serio, jak się zdaje, i głęboko wierzą w napis na czapeczce amerykańskiego prezydenta. Może warto im przytoczyć mądrość starego Żyda z Podkarpacia, która jako motto otwiera „Zniewolony umysł” Czesława Miłosza: „Taki, co mówi, że ma 100 procent racji, to paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak”.

RZĄDOWY BANKOMAT

Wiceprezes Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych umówił się z sąsiadem. Stosunki sąsiedzkie zbadała NIK

Mateusz Cieślak

Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych znów znalazła się na czołówkach mediów. 1 września Onet opublikował artykuł o kolejnych wątkach badanych przez prokuraturę. Na ile się one potwierdzą, dopiero zobaczymy. Jednak te nowe doniesienia każą powrócić do wątku dobrze już zbadanego. Ustalenia Najwyższej Izby Kontroli nie pozostawiają cienia wątpliwości: RARS za rządów PiS była niczym bankomat do wypłaty ogromnych pieniędzy. Gdzie te pieniądze trafiały? Na przykład do znajomych.

Łapówki za umowy

Zanim przejdziemy do ustaleń, krótko o tym, czego Onet nie napisał. W artykule portal informuje, że trwa dochodzenie w sprawie łapówek wręczanych za intratne umowy z RARS. Prowadzi je Śląski Wydział Zamiejscowy Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej z siedzibą w Katowicach. To śląskie śledztwo ma też kilka wątków. Jeden dotyczy węgla importowanego przez RARS z Kazachstanu, Australii i Kolumbii. Śledczy przypuszczają, że w istocie mógł on być sprowadzany z innych krajów (dajmy na to z Rosji). Ale kolejnym wątkiem są kontrakty na dostawy materiałów ochronnych dla szpitali. Według Onetu istnieje podejrzenie, że za tymi dostawami kryły się łapówki. Śledztwo najpierw miało się toczyć w Szczecinie, potem zostało przeniesione do Katowic.

Zatrzymajmy się przy tej drugiej sprawie. Jest ona niezmiernie ciekawa. Nazwy firmy nie podamy, gdyż nie wiadomo, jakie ostatecznie



Michał Kuczmierowski oczekuje na rozprawę w sprawie ekstradycji w Wielkiej Brytanii. Nz. jako prezes RARS na briefingu prasowym w siedzibie Caritas Polska w Warszawie, 21 grudnia 2021 r.

będą ustalenia śledczych ani jakie dowody zostaną zgromadzone. Nie przesądzając zatem, czy doszło do wręczania łapówek, czy nie, przypomnieć trzeba jeden ważny fakt. W pierwszych miesiącach pandemii substancje do dezynfekcji oraz środki ochrony osobistej były na wagę złota. Brakowało ich wszędzie, nie tylko w naszym kraju. Największy ich producent to oczywiście Chin, zarówno wtedy, jak i teraz. Na sprzedaży maseczek ochronnych zarabiał się więc krocie. Taka maseczka przed pandemią kosztowała kilkadziesiąt groszy, a w jej trakcie cena potrafiła sięgnąć nawet 20 zł.

Brak środków ochrony osobistej odczuwały również same Chiny.

Na wiele tygodni zablokowały więc możliwość ich wysyłki poza granice kraju. Ten zakaz obowiązywał i rodzimych producentów, i przedsiębiorstwa zagraniczne mające fabryki w Chinach. Jedną z takich firm to właśnie bohaterka śledztwa opisanego przez Onet.

14 kwietnia 2020 r. rząd PiS otarł wielki sukces. Polska ma wreszcie maseczki i inne środki ochrony osobistej dla szpitali. O tym sukcesie informował osobiście premier Mateusz Morawiecki podczas briefingu zorganizowanego na pasie startowym Lotniska Chopina na warszawskim Okęcu, a za jego plecami stał największy samolot transportowy świata, słynna Mrija.

7 mln maseczek

Ten samolot już nie istnieje. An-225 Mrija powstał tylko w jednym egzemplarzu, który został zniszczony przez wojska rosyjskie podczas ataku na lotnisko w Hostomelu koło Kijowa, na początku inwazji na Ukrainę w lutym 2022 r. Wtedy jednak przyleciał do Warszawy wycarterowany przez wspomnianą firmę. Za plecami premiera ustawiono palety z maseczkami i skafandrami jednorazowego użytku.

Polska Agencja Prasowa pisała na ten temat: „Premier Mateusz Morawiecki poinformował we wtorek, że do Polski trafiło ok. 80 ton towarów do walki z koronawirusem. To bezprecedensowy transport. (...) Na warszawskim Lotnisku Chopina wylądował we wtorek rano największy transportowy samolot świata, który przywiózł z Chin do Polski ładunek z niezbędnymi środkami do walki z koronawirusem. Na pokładzie samolotu znajdowało się m.in. 7 mln maseczek i kilkaset tysięcy kombinizonów ochronnych. Transport na zlecenie KPRM przygotowały spółki KGHM Polska Miedź i Lotos. (...) Premier na briefing na warszawskim lotnisku podkreślił, że środki ochrony medycznej mają zabezpieczyć przede wszystkim polskich lekarzy i pracowników medycznych”.

Ta informacja nie była całkiem prawdziwa. KGHM Polska Miedź i Lotos sprowadziły znikomą część towaru znajdującego się na pokładzie gigantycznego samolotu. Dwie trzecie ładunku, który przywozła Mrija, należało właśnie do firmy przewijającej się w śledztwie Prokuratury Krajowej, a na pakunkach ułożonych na paletach za plecami premiera była właśnie jej nazwa. Warto o tym pamiętać, szczególnie że zastrzeżeń co do jakości tych maseczek nie było. A jak wyglądała kwestia jakości maseczek sprowadzanych przez KGHM Polska Miedź, pamiętamy. „Gazeta Wyborcza” pisała: „KGHM wydał miliony publicznych pieniędzy na chińskie maseczki z podrobionymi certyfikatami. Maseczki, które przyleciały antonowem z Chin, mają lewy certyfikat. Nie wiadomo, czy chronią”.

Warto też pamiętać, że wszystko to działo się w czasie skrajnego niedoboru środków ochrony osobistej, gdy dochodziło do ogromnej spekulacji takimi produktami.

Świetnie udokumentowana jest natomiast inna afra dotycząca działalności RARS w końcowym okresie pandemii. Chodziło o lipiec 2022 r. Dokładnie 5 lipca ówczesny prezes RARS podpisał umowę na zakup dziewięciu ciągników siodłowych i naczep oraz dwóch chłodzi. Wartość umowy to 5,7 mln zł brutto. Pojazdy te i chłodzi kupiono od firmy z Sulejówka. Co ważne w tej sprawie, sąsiadem firmy był Marcin Wasilewski. Pan ten w lipcu 2022 r. piastował funkcję dyrektora Biura Operacyjnego RARS, a następnie został nawet wiceprezesem tej agencji.

Z ustaleń Najwyższej Izby Kontroli wynika, że umowa, a finalnie nawet kilka umów było niekorzystnych dla RARS. Chodziło o niebagatelną kwotę, w sumie ponad 14 mln zł. Mogły one być „wydatkami niegospodarnymi”. NIK w protokole kontroli

danego zagrożenia” (źródło: oficjalna strona internetowa RARS).

A kto daje i odbiera...

Jeszcze ciekawsze jest to, że już po zakupie samochodów i chłodzi RARS podpisała z tą firmą umowę najmu kupionych pojazdów. Nie, to nie jest pomyłka. Ustalenia NIK są szokujące: „9 listopada 2022 r. ówczesny dyrektor Biura Operacyjnego i ówczesna dyrektor Biura Finansowo-Księgowego zawarli ze spółką z siedzibą w Sulejówku dwie umowy, tj. umowę najmu zakupionych wcześniej od niej ww. pojazdów oraz umowę ramową o współpracy w zakresie świadczenia usług transportowych”.

Wyobraźmy sobie, że kupujemy od kogoś samochód. I już po jego kupnie oddajemy go z powrotem sprzedającemu, spisując z nim umowę najmu tego samego samochodu. Ten ktoś wynajmuje od nas auto po to, by nas nim wozić. Dosyć to absurdałne.

RARS za rządów PiS była niczym maszyna do wypłaty ogromnych sum. Gdzie one trafiały? Na przykład do znajomych.

pisała: „Osobą odpowiedzialną za ww. nieprawidłowość był ówczesny dyrektor Biura Operacyjnego, który prowadził negocjacje, zatwierdził wnioski z postępowania uproszczonego na świadczenie usług transportowych, jak również podpisał umowę najmu pojazdów i umowę świadczenia usług transportowych, a następnie aneksy do nich”.

Co ciekawe, firma z Sulejówka nie jest dealerem samochodowym. To przedsiębiorstwo transportowe, samochodami przewozi towary. RARS kupiła więc od niej pojazdy używane. Nie bardzo wiadomo po co, skoro miała własną flotę samochodów ciężarowych. Do zadań RARS należy przecież „organizowanie usług, w tym usług transportowo-logistycznych, na własną rzecz oraz na rzecz uprawnionych innych organów lub podmiotów, w celu niezbędnym do przeciwdziałania lub zwalczania

W przypadku rządowej agencji, zatrudniającej cały sztab prawników, ta absurdałna sytuacja miała trwać od 9 listopada do 31 grudnia 2022 r. Trwała jednak znacznie dłużej, ponieważ umowę tę przedłużano kolejnymi sześcioma aneksami. Zakończyła się dopiero 30 czerwca ub.r.

I po co to wszystko? Po to, by wozić ładunki na zlecenie agencji. Umowa ramowa o współpracy w zakresie usług transportowych została podpisana wraz z umową wynajmu ciężarówek. Przypomnijmy, że za ich kupno RARS zapłaciła 5,7 mln zł. Za ich wynajmowanie od agencji firma przekazała 1,4 mln zł. Z kolei za korzystanie z usług transportowych RARS dała firmie dalsze 5,7 mln zł.

Nie były to wszystkie wydatki, jakie agencja poniosła na skutek zawarcia umowy z sąsiadem wiceprezesa. Dodać do tego trzeba jeszcze 2,8 mln zł za paliwo do ciężarówek. ▶

► Z umowy z sąsiadem wynikało bowiem, że za to paliwo płacić będzie RARS.

Oczywiście nikt nie odmawia i nie odmawiał agencji prawa do zawierania umów na usługi transportowe z różnymi firmami. To normalna praktyka i NIK nie miała o to do RARS pretensji. Chciała natomiast wiedzieć, czy przed podpisaniem tych kuriozalnych umów ogłoszono jakiś przetarg, czy przeprowadzono rozeznanie rynku, czy szukano innych oferentów.

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że dla firm transportowych był to wyjątkowo trudny czas. Polska przed pandemią była potęgą transportową. Nasze firmy zdominowały rynek przewozów towarowych w Unii Europejskiej. Były też mocno zakotwiczone w Rosji. Pandemia to zrujnowała. Wszyscy zapewne pamiętamy, jak wielkie problemy miały firmy transportowe w tamtym okresie. Przestały płacić za leasing ciężarówek, nie mając pieniędzy na raty. W efekcie padały jak muchy. Wiele

firm pozbywało się samochodów za grosze, byle tylko nabywca zobowiązał się do przejścia umowy leasingu.

Dlatego należy sądzić, że oferta RARS mogła się cieszyć sporym zainteresowaniem. Tym bardziej że chodziło o podmiot państwowy, co gwarantowało pewność wypłat i dobrego zarobku. Wiceprezes RARS

Były prezes RARS Michał Kuczmierowski „nadal jest wśród głównych podejrzanych”.

Marcin Wasilewski tłumaczył kontrolerom NIK, że jako dyrektor Biura Operacyjnego RARS przeprowadził rozeznanie rynku, a przed podpisaniem umów – negocjacje. Próbowano odszukać dokumenty potwierdzające słowa wiceprezesa, jednak ich nie znaleziono.

Co więcej, NIK zauważyła, że takimi czynnościami powinien się zajmować Dział Logistyki agencji: „Ówczesny dyrektor Biura Operacyjnego w postępowaniu na świadczenie usług transportowych, w wyniku

którego zawarł umowę ze spółką z siedzibą w Sulejówku, przeprowadził rozeznanie rynku/negocjacje, a nie Dział Logistyki, który był do tego właściwy. Rozeznania rynku nie udokumentował. Dodatkowo zatwierdził wniosek z ww. postępowania. Działania ówczesnego Dyrektora Biura Operacyjnego nie były transparentne”.

Gdy ta zadziwiająca współpraca miała miejsce, prezesem Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych był Michał Kuczmierowski. W sierpniu

ub.r. Prokuratura Krajowa wydała za nim list gończy. Miesiąc później poinformowano o sporządzeniu europejskiego nakazu aresztowania. Jak twierdzi w niedawnej publikacji Onet, Kuczmierowski „nadal jest wśród głównych podejrzanych” i w Wielkiej Brytanii „oczekuje na kolejną rozprawę w sprawie swojej ekstradycji”.

Ma nadzieję dotrzeć tam do kolejnych wyborów parlamentarnych, które wygra PiS. Liczy na to, że wtedy zostanie oczyszczony z zarzutów.

Mateusz Cieślak



W bieżącym numerze także:

- **Hugues Le Paige**
- **Giorgia Meloni, ideolożka pragmatyczna**
- **Margaux Solinas**
- **Mozambik w objęciach dżihadystów**
- **Sonia Combe**
- **Emigrantka i uciekinier**
- **Susan Ferguson**
- **Mary Wollstonecraft a feminizm równości**
- **Iwona Kurz**
- **Ciała Festiwalu '55**

Do nabycia w salonach prasowych empiu
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Paraliż państwa

Gdy 3 września, po półgodzinnym oczekiwaniu, Karol Nawrocki uściśnął wreszcie dłoń Donalda Trumpa, spotkał się z zapytaniem, czy Trump dobrze wymawia jego nazwisko: „Nouroki?”. „Bardzo dobrze”, odpowiedział przytylnie Nouroki.

Ta wizyta wywołała triumfalny ryk polskiej prawicy i pokorną akceptację mediów liberalnych. Ale co właściwie przyniosła? Wszak dalszą obecność żołnierzy amerykańskich Trump zadeklarował sam z siebie, po pytaniu dziennikarza. A o zaproszenie Polski na przyszłoroczny szczyt G-20 wicepremier Radosław Sikorski zwrócił się do władz USA dzień wcześniej.

O czym więc rozmawiano przez całe trzy godziny? Tego nie wiemy: spotkanie było utajnione – nie tylko przed opinią publiczną, lecz i przed polskim rządem. Czyż jednak człowiek, który nie miał śmiałości upomnieć się o brzmienie swego nazwiska, miałby śmiałość prosić o coś Trumpa? Podziękował mu tylko – ale za co? Za wsparcie w kampanii wyborczej! A to znaczy, że bezprecedensowa ingerencja w wewnętrzne sprawy Polski doczekała się oficjalnej pochwały – z najwyższego szczebla. Pisałem już w tej rubryce, że Nawrocki może zagrażać polskiej niepodległości. No i stało się: Polska jest wasalem zamorskiego mocarstwa. I to mocarstwa skłóconego z naszymi sojusznikami z Unii Europejskiej.

Polski prezydent zwalcza polski rząd! *Cui bono?* Po uporczywym nazywaniu Donalda Tuska „najgorszym premierem po roku 1989”, po bombardowaniu rządu kolejnymi wetami, po antyrządowych atakach na Radzie Gabinetowej nastąpiła w przeddzień wizyty faza niespotykanej brutalnej konfrontacji. Próby jakiegoś skoordynowania działań obu, rządowego i prezydenckiego, ośrodków władzy zostały przez kancelarię prezydencką (czyli przez prezydenta) potraktowane jak zniewaga, przesłane przez rząd materiały – zignorowane, poufna notatka z MSZ – ujawniona i wyszydzona. Temu wszystkiemu towarzyszył huragan nieprawdopodobnych wręcz komentarzy urzędników prezydenckich (i samego prezydenta), wśród których „Tusku, przeproś” był jednym z uprzejmniejszych. A przecież prezydent, debiutujący na arenie międzynarodowej, powinien sam poprosić o obecność w delegacji kogoś z MSZ. Jednak nawet gotowość ministra Sikorskiego do uczestnictwa w delegacji pozostała bez odpowiedzi.

Zamach stanu? Rząd, który ma rządzić, jest przez głowę państwa traktowany *per non est*. Przy powitaniu polskiego prezydenta, tak w Waszyngtonie, jak zaraz potem

w Rzymie, nie było kierowników polskich ambasad. W przypadku Bogdana Klicha otoczenie Nawrockiego poprosiło o jego nieobecność (*sic!*), więc w przypadku Ryszarda Schnepfa przyczyna musiała być ta sama. „Klich jest w USA *persona non grata*”, oznajmił urzędnik prezydencki. „Tusk jest w Białym Domu *persona non grata*”, przelicytował go urzędnik inny. Naprawdę, panowie? Nigdy tego nie twierdziła strona amerykańska, czy zatem jej rzecznikami jesteście teraz wy? Ale najważniejszy pozostaje i tak fakt bojkotu przez głowę państwa instytucji tego państwa. Przypomina się wiek XVIII: Rzeczpospolita z królem i antykrólem.

Notatki o przebiegu wizyty w Waszyngtonie nie otrzymał Tusk jeszcze nazajutrz, na spotkaniu „koalicji chętnych” w Paryżu. Natomiast taką relację polski prezydent wcześniej niż polskiemu premierowi złożył premierce

Nawrocki lekceważy polski porządek prawny, a konstytucję gwałci z zapalem godnym dr. Dudy.

Włoch Giorgii Meloni. Pokrewieństwo ideowe szło, jak zawsze u pisowców, ponad racją stanu, ponad elementarnym patriotyzmem. Dodajmy, że notatkę o swym spotkaniu z Markiem Rubiem przesłał Sikorski Nawrockiemu natychmiast.

Kwestie obecności w Polsce wojsk amerykańskich będzie prowadził szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenckiewicz. Ma on odebrany dostęp do informacji niejawnych, a prokuratura skierowała przeciw niemu akt oskarżenia. Co z tego? Nawrocki lekceważy polski porządek prawny, a konstytucję gwałci z zapalem godnym dr. Dudy. Jednak przypadek Cenckiewicza jest mimo wszystko nowością: w rękach człowieka niedającego gwarancji utrzymania poufności mają być tajemnice nie tylko już polskie, lecz amerykańskie i natowskie?

Przy tylu więc aktach antyrządowej agresji, przy tylu dziwnych koincydencjach, wolno się zastanawiać, co właściwie było prawdziwym celem spotkania w Białym Domu. Rozumiem, że Nawrocki chciał błysnąć. Ale Trump? Czyżby uznał Nawrockiego za narzędzie do dezintegracji Unii Europejskiej? Czyżby uzgadniał z nim plan obalenia Tuska? W erze Trumpa wszystko jest możliwe, a weryfikować tego i tak nie sposób, bo rozmowy były tajne. Ale cośmy ujrzeli, tośmy ujrzeli. Widzieliśmy wyprzedzić niepodległości i paraliż państwa.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

W cieniu wielkiej wody

Rok po powodzi sołtysi z gminy Głuchołazy mówią, że zostali rzućeni na głęboką wodę

Beata Dżon-Ozimek

Mija rok od straszliwej powodzi z połowy września 2024 r. Trudno zapomnieć obrazy z Głuchołazów, miasta po katastrofie – zniszczonego, tonącego w mule, pozbawionego mostów. Pamiętamy Łądek-Zdrój, Stronie Śląskie, Kłodzko. I dziesiątki zalanych sołectw nad małymi ciekami czy rzeczułkami, które bezlitośnie rozrosły się i wypęzły z nieoczyszczanych rowów.

Na Opolszczyźnie straty poniosły 123 miejscowości. Powódź zniszczyła 80% dróg gminnych, uszkodziła lokalne. Ucierpiało 40% budynków mieszkalnych. Woda była bezlitosna dla mostów i infrastruktury. Trwają prace Wód Polskich nad zabezpieczaniem rzek Biała Głuchołaska czy Złoty Potok, chwilowo niegroźne ciekły wróciły do zarośniętych, zamulonych koryt. Głosy sołtysów, domagających się ich systematycznego oczyszczania i udrażniania, słabo dochodzą do decydentów. Każda rozmowa o powodzi uruchamia emocje. Łzy płyną i nie kłamią. Nie zajęto się stanem emocjonalnym mieszkańców, a powódź w nich tkwi. Te emocje nie znalazły bezpiecznego ujścia. Ludzi także trzeba odbudować, jak mosty i drogi.

Sołtysi nie unikają sformułowania, że zostali wtedy rzućeni na głęboką wodę. Zaczynali pięcioletnią kadencję 1 lipca 2024 r., niektórzy po raz pierwszy.

Agnieszka, Bodzanów

Jedno z najbardziej zniszczonych sołectw – Bodzanów. Świeżo upieczoną sołtyską była rok temu Agnieszka Stępień, mama trojga dzieci, podczas powodzi

w siódmym miesiącu ciąży. Patryk urodził się dwa tygodnie po terminie. Twarda Ślązaczka z Zabrza po 15 latach w Szkocji wróciła z najbliższymi do Polski, do rodzinnej miejscowości męża.

W sobotę 14 września w nocy z mężem, który w ostatniej chwili pełen niepokoju o rodzinę przyjechał ze Szkocji, sprawdzali stan wody Białej Głuchołaskiej. Opadała. Spali na parterze, żeby monitorować sytuację, około szóstej rano w niedzielę jeszcze wszystko było w porządku. Potok Bodzanowski wzbierał po opadach. – O siódmej dzwoni pani, że już po wszystkim, woda płynie. Nigdy nie przeżyliśmy powodzi, woda szybko wdzierała się na nasz ogród z dwóch stron. Nasz pies nie lubił kota, ale kiedy zabraliśmy je do domu, zaczęły się bawić i przytulać, wyczuły zagrożenie. Ratowaliśmy nasze pawie, kury – opowiada sołtyska.

Powódź rozciąła długą wieś na dwie części. Jedna, tam gdzie szkoła, przedszkole i kościół, była jak po wojnie – w mule, bez prądu. Drugą, wzdłuż asfaltówki, powódź dotknęła dużo mniej. Dziś płot szkóły jak wielobarwny kredki jest najradośniejszym punktem we wsi. Dzieci mają mieć ładnie.

Dzień po przejściu największej wody sołtyska otworzyła swoje podwórce i stodołę dla ludzi i na napływające od wtorku dary. Rozstawiono namioty. – Siedzieliśmy tu od rana do wieczora. Jak kładliśmy się spać, nie mieliśmy czasu myśleć, nie chcieliśmy nawet myśleć, co będzie. Mieliśmy dużo wolontariuszy, bardzo dużo wojska, każdy tu dostał pomoc – wspomina sołtyska. Gmina Głuchołazy współpracowała na bieżąco.

Agnieszka marzyła o chwili spokoju, wstawiała wcześniej, żeby wypić w ciszy kawę w odremontowanej

stodole, ale tam już było pełno ludzi, często nieznanych. – Tam był dostęp do prądu, czajników, pili kawę, rozkładali dary; zamieszanie, głośno. Nie czuliśmy się u siebie. Nie miałam już siły odbierać telefonów, poprosiliśmy panią, żeby odbierała, ale i tak ze mną chciano rozmawiać. Do dziś mam 250 połączeń nieodebranych i wiadomości z czasów powodzi, których nie byłam w stanie odczytać – przyznaje sołtyska. Zdarzało się, że ktoś brał żywność, ale nie chciał np. takiego makaronu, puszek, pytał o szynkę albo wodę mniej gazowaną, lepszy proszek. Nadmiarem rzeczy, które jeszcze długo nadchodziły, Bodzanów dzielił się z domami dziecka.

Sołtyska przyjmowała wolontariuszy czasem i nad ranem. U niej działał sztab kryzysowy. Przyjeżdżał wojskowy, proboszcz, wolontariusze, Dobra Fabryka, ustalali, co zostało zrobione, co jest potrzebne. – Mieliśmy zeszyt z pracami, z potrzebami, np. AGD. Dużo osób przyjeżdżało ze sprzętem, kierowałam ich pod konkretne adresy. Zgłosiła się firma z food truckiem; w Rudawie, dalszej części wsi, koło gospodyń, wojsko, ksiądz w klasztorze wydawali ciepłe posiłki. Nasze córki (wtedy 11 i 12 lat) dziennie wydawały po 200 kaw – mówi sołtyska i dumna mama. Jako rodzina dawali z siebie 100%, spali po trzy-cztery godziny, a w domu mieli dzieci i sami byli zalani.

Po co mi to było

Hejt? Oczywiście. – Spotkał naszą ochotniczą straż pożarną, że tu nie pomagała, a od początku była w Głuchołazach. Nie mieli kiedy swojego dobytku ratować. Ludzie są troszkę niesprawiedliwi. Miałam niemiłe sytuacje, ale ta była wyjątkowa:



Naprawa koryta Złotego Potoku w Jarnołtówku ma się skończyć w listopadzie.

Zapora nas uratowała – uśmiecha się Lidia Wieloch, sołtyśka Jarnołtówka.

policja przyjechała na sygnale, dostali zgłoszenie, żeby sprawdzić mój punkt humanitarny. Słyszałam, że dają „swoim”, np. 30 paczek, które rozdałam, albo że nie informowałam o jakimś zasiłku. Nieprzyjemne artykuły, szkoda słów – wzdycha Agnieszka Stępień.

Doliczyła się trzech osób ze wsi, które przyszły podziękować za pracę podczas powodzi. Zdziwiła się, kiedy została zaproszona do Libiąża, skąd płynęła pomoc do Bodzanowa. – Dostałam podziękowania i prezent od burmistrza. Boże, obcy ludzie mi dziękują za coś, co robiłam dla moich mieszkańców. Dostałam podziękowania od wojska w ramach operacji „Feniks” – teraz się uśmiecha.

Jeszcze media – jedni zachowywali się odpowiednio do sytuacji, ale drudzy wdzierali się bez pytania z kamerami, filmowali osoby bez ich zgody, żądali od sołtyśki jako osoby publicznej wypowiedzi tu i teraz.

– Czasami myślę: po co mi to wszystko było. Były dni radosne i momenty załamania, bo ludzie potrafią być niesprawiedliwi, dziś bym się tak nie angażowała. Pytałam, kiedy to się skończy, chciałam spokoju. Myślę, że dlatego poród nie



odbył się o czasie, przenosiłam małego. Byłam dwa tygodnie w szpitalu w Głubczycach, opieka naprawdę cudowna, podawali mi leki, kroplówkę – i nic. Wreszcie poprosiłam o cesarkę. W nocy zaczęło się coś dziać, okazało się, że rodzę, wyprzedziłam cesarkę. To był 9 grudnia, a Patryk miał się urodzić 28 listopada. Przez tydzień musieliśmy być w szpitalu – Agnieszka Stępień bierze synka na ręce. Uśmiechnięty chłopczyk, który przeżył z mamą powódź.

Najważniejsze teraz dla Bodzanowa to zrobić drogi, we wsi jest np. dziecko na wózku, mama pcha

wózek drogą gminną bez chodnika, pełną kamieni, a żyje tu ok. 1,5 tys. osób. Trzeba potok w końcu wyczyścić, nie ma przepływu, są chwasty, których nie da się wykosić. Agnieszka podkreśla: – To priorytetowa sprawa. Ta rzeczka była zaniedbana, odkąd tu mieszkam. Rocznicą powodzi, a stanęło w miejscu.

Lidia, Jarnołtówek

Na stoliku kubek z kawą, na nim napis: „Kochaj to, co robisz, a nigdy nie będziesz w pracy”. To ulubiony kubek Lidii Wieloch, sołtyśki Jarnołtówka. Miejscowość, graniczna z Czechami, ma ok. 770 mieszkańców; nieoficjalny, stary herb wsi – w XIV w. Arnoldi Villa – zdobi podobizna jednorożca. W takiej górskiej wsi (bo Góry Opawskie są najmniejszymi polskimi górami, Biskupia Kopa ma 890 m n.p.m.) są miejsca, gdzie komórki głucho, stary, dobry telefon analogowy okazuje się niezawodny. Sołtyśka ma wciąż numer stacjonarny i telefon z tarczą przydał się podczas powodzi.

– Bycie sołtyśką sprawia mi frajdę. Po dwóch miesiącach od wyboru zostałam jednak dosłownie rzucona na głęboką wodę. Najgorszy był 15 września, niedziela, musiałam rano się ewakuować, mąż, strażak, został. Na sygnał, że wały przeciwpowodziowe są zagrożone pęknięciem, opuścił dom – oczy Lidii wilgotnieją. ▶

► A tży niełatwo powstrzymać, wspomnienie powodzi sprzed roku wydobywa wciąż silne emocje. Trudno do nich wracać, np. do rozważań, co zabrać ze sobą, opuszczając dom. – Te najważniejsze dokumenty, pieniądze, parę ubrań. Nie było czasu na zabieranie pamiątek. Przepraszam, to jest wszystko świeże, to wzruszenie chyba ze mną pozostanie – opowiada, a tży napływają, nie pytają o pozwolenie.

Miejscowi strażacy z OSP ewakuowali, dawali poczucie bezpieczeństwa. W poniedziałek po południu wszyscy w Jarnołtówku mogli wrócić

Rok temu Agnieszka Stępień była świeżo upieczoną sołtyską Bodzanowa.

Wojny nie trzeba, wystarczy, że nas matka natura nie oszczędza – mówi sołtys Piotr Pawlikowski z Markowic.



do domów. – W przedszkolu został zalany piec, z pomocą dobrych ludzi udało się kupić nowy. Szkoła po tygodniu przyjęła z powrotem uczniów, przed zimą również dzięki dobrym ludziom zakupiono nowy piec. Nie zapomnę walki strażaków i lokalnych przedsiębiorców, właścicieli ciężkiego sprzętu, o utrzymanie brzegu przy szkole. Dzięki nim i miejscowej kopalni Dewon, która dostarczyła ciężkich kamieni, udało się uratować boisko szkolne i szkołę. To było bardzo niebezpieczne zadanie, nad ich głowami rwały się linie energetyczne. Jarnołtówek nie ucierpiał tak jak w 1997 r. Mieszkańcy ucierpieli na skutek wód gruntowych, które zaczęły spływać z lasów, z gór; zostały podtopione kotłownie, piwnice. No i droga główna i drogi dojazdowe do domów, ale u nas woda nie płynęła drogą, jak w Głuchotazach, tam była tragedia – wylicza sołtyska.

Pamięta bezsilność, kiedy dowiedziała się od strażaków, że w centrum wsi zostały dwie starsze panie, jedna schorowana; nie chciały opuścić domu. Podobnie dwóch braci z domu przy korycie rzeki odmówiło ewakuacji. – Czułam odpowiedzialność za tych ludzi, choć sami podjęli decyzję, żeby zostać w swoich domostwach, ale z tyłu głowy miałam, co się stanie, kiedy wały pękną. Wtedy nie ma ratunku. Noc z 15 na 16 września była najgorsza, nieprzespana. Na szczęście nikt nie ucierpiał.

Rok temu, 14 września, sobota. – Byłam cały dzień w OSP, dwa razy na zaporze, nazywamy ją tu tamą, widok był przerażający. Ten szum wody dotąd słyszę; pamiętam lęk, czy woda nie przejdzie górą. W niedzielę doszło do niewralgicznego momentu, kiedy przelewała się koroną tamy. Zaporze nie groziło pęknięcie,

ale zaczęły przeciekać wały przeciwpowodziowe. To był moment obawy, co się stanie, i modlitwa do Boga, żeby wały nie puściły, żeby zaporą po raz kolejny uratowała Jarnołtówek, Pokrzywną, Moszczankę i Prudnik. Cesarzowa Augusta Wiktoria dobrze wiedziała, co robi, że nam tę tamę ufundowała po strasnej powodzi w 1903 r. Zaporą nas uratowała – uśmiecha się Lidia Wieloch.

We wtorek i środę zaczęły napływać dary z całej Polski. – To było wspaniałe. Jestem ogromnie wdzięczna za każdą okazaną pomoc, część została przekierowana na Głuchotazy, Bodzanów i Markowice, tam, gdzie była potrzebna.

Koryto górskiego Złotego Potoku płynącego z Czech jest naprawiane przez Wody Polskie, widać sprzęt, robotników, głązy, kamienie, rury. Termin zakończenia robót to listopad. Deszcze już się zaczynają.

Lidię na sołtysowanie namówił mąż. Na 100 oddanych głosów dostała 67. – Jestem nauczona pracy z ludźmi, nie boję się kontaktów z człowiekiem twarzą w twarz. Po powodzi miałam chwile zwątpienia, chciałam to rzucić, ale mąż i pewna kobieta przekonali mnie, żebym wytrzymała. Zresztą wywróżono mi, że będę sołtyską do końca życia – śmieje się.

Największym sukcesem Lidii Wieloch po akcji powodziowej jest stworzenie koła gospodyń wiejskich. – Mamy 17 kobiet w różnym wieku, od 30+ do 65+, chciałam, żeby były wszystkie pokolenia, mieszanka młodości z doświadczeniem. Powódź

notabene wpłynęła na plus, społeczeństwo w Jarnołtówku się zintegrowało. Datę 15 września 2024 r. będę pamiętała. Nie było wielu zniszczeń, ale był duży strach. Tego się nie da zapomnieć. Nie wiem, czy będziemy powódź jakoś wspominać, ale na pewno nie zapomnimy.

Mieszkańcy nie zwracali się o pomoc psychologiczną. Oferowano także wsparcie psychologiczne dzieciom, ale nie było zgłoszeń.

Piotr, Markowice

Mówi się „most w Markowicach”, choć jest w Polskim Świątowie. Był dłuższy niż ten główny, utracony w Głucholazach. Biała Głucholaska też go zabrała i odcięła Markowice. Domy i pola zalała woda z lokalnego niemrawego potoku, Młynówki. – Przejąłem funkcję po tragicznie zmarłym poprzednim sołtysie, byłem przewodniczącym rady sołectkiej, pełniącym obowiązki do czasu wyborów, potem mnie wybrano. Chciałbym zrealizować kilka rzeczy dla wsi – Piotr Pawlikowski jest nie tylko sołtysiem, ale i prezesem OSP w liczącym ok. 190 mieszkańców sołectwie Markowice. Ledwie wrócił z żoną i dzieckiem ze Szklarskiej Poręby, z urlopu; dzień później powódź odcięłaby ich od domu. – Zostaliśmy rzućni na głęboką wodę. Wojny nie trzeba, wystarczy, że nas matka natura nie oszczędza.

Od piątku, 13 września, byli z druhami OSP na służbie, obserwowali sytuację, workowali brzegi, zabezpieczali, co mogli, umacniali wały. – Dzięki pobliskiemu rolnikowi ustawiliśmy tzw. zapory betonowe, żeby worki dociążyć, potem jechaliśmy do pompowania wody w Głucholazach. Po południu w sobotę zamknęliśmy drogę, mimo starań rzeczka Młynówka zaczęła wychodzić z rowu. W niedzielę nad ranem przyszła dość duża fala, około dziesiątej-jedenastej była kulminacja. Najgorzej było w pobliżu wiejskiej świetlicy, świeżo wyremontowanej w czerwcu zeszłego roku; sąsiad miał u siebie 2,60 m wody.

Od soboty dzwoniły telefony, gmina dowoziła piasek, worki. – Pomoc gościła od niedzieli, nie było do nas dojazdu, mostu. Zaczęły się

kradzieże worków, ludzie nie garnęli się do pomocy, tak to powiem. 13 domów zostało zalanych, łącznie ze świetlicą. Mieszkańcy domu, gdzie woda podmyła fundamenty i groziło zawalenie, niestety jako jedyni zostali wysiedleni.

Dziewczyny z koła gospodyń wiejskich karmiły druhów i pomagających. Sołtys tylko jednego dnia odebrał 163 telefony, pomoc płynęła z każdej strony Polski, ale Markowice były odcięte od świata. – Potem dojechali cywile, służby celno-skarbowe z Nysy, żołnierze polscy i niemieccy. Pomagali mieszkańcom wywozić muł, udrażniać przepusty, sprzątać koło domów. Nasze chłopaki też wiele dni walczyły u osób prywatnych. Wszystkim dziękujemy – dodaje.

Piotr Pawlikowski, postawny, młody mężczyzna, członek rady parafialnej, przyznaje, że miał niemiłe myśli. – Byłem wyczerpany fizycznie i psychicznie, wróciłem do domu zobaczyć, jak żona z dzieckiem się czują, bo zostawiłem ich samych. Spaliśmy w autach, w remizie, stawialiśmy się

na każdy alarm. Będąc może twarzym facetem na zewnątrz, zmiękłem i zacząłem płakać, powiedziałem żonie, że mam tego dość, padam psychicznie. Mówiłem jej, że miałem myśli, żeby skoczyć, niech mnie woda zabierze. To niestety zaczęło przetrastać człowieka. Nie mogłem sobie poradzić ze znieczulicą u ludzi tu, na miejscu, kiedy jest sytuacja kryzysowa, komuś krzywdą się dzieje – przyznaje otwarcie. Piotra wspierała rodzina. Myślał o dwuletnim synku. Niedawno urodziła mu się córeczka.

Zaczęła się budowa mostu tymczasowego w Markowicach. Rowy z Młynówką wciąż czekają na pogłębienie i oczyszczenie. Podczas badań okresowych młody sołtys usłyszał: „Pan jest jakiś rozkojarzony, proszę mi powiedzieć, co pana gryzie?”. – Myślałem, że może mam jakieś problemy, ale psycholożka powiedziała: „Panie Piotrze, za dużo”. Za dużo niestety.

Rok po powodzi trzeba zająć się ludźmi. Zacząć ich odbudowywać.

Beata Dżon-Ozimek



„Przegląd” był patronem medialnym XVII Kongresu Kobiet, który odbył się 6-7 września w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach. Przy naszym stoliku dyżurowała wolontariuszka, studentka Uniwersytetu Śląskiego Agata Zapiór (z lewej, rz. z Helą Jakubowską). Na uczestniczki kongresu czekały darmowe egzemplarze naszego tygodnika. „Fajnie, że gazeta jest tu za darmo, teraz nawet mała gazetka kosztuje 10 zł”, mówiły kobiety odwiedzające stoisko. I podkreślały, że „lubią papier, taka gazeta daje chwilę oddechu i inną jakość”. Wolontariuszce Agacie zapadła w pamięć pani, która wzięła kilka egzemplarzy do szpitala, żeby pacjenci mieli co czytać, bo „dostęp do niezależnej gazety jest ważny”. *(bdo)*

Co dalej z lex Kamilek

Ustawa jest konieczna, ale po niezbędnych korektach



Beata Igielska

Na początku był chaos. I później był chaos. Teraz wszyscy się przyzwyczaili, co nie znaczy, że są szczęśliwi. Wiele mówi się o ustawie w instytucjach edukacyjnych, ale w mediach społecznościowych można też znaleźć krytyczne dyskusje choćby pilotów wycieczek.

Lex Kamilek to potoczna nazwa Ustawy z 28 lipca 2023 r. o zmianie ustawy – Kodeks rodzinny i opiekuńczy oraz niektórych innych ustaw, która weszła w życie 15 lutego 2024 r. Przepisy poszły w dwóch kierunkach: przeciwdziałania przemocy domowej oraz przeciwdziałania pedofilii – te zapisy dotyczą instytucji.

Naiwnością byłoby myślenie, że jeśli uchwali się ustawę, ludzie przestaną zabijać dzieci. Tak nie zdarzyło się nigdzie na świecie. Doświadczenia niemieckie, hiszpańskie czy austriackie pokazują, że gdy zaczyna się luzować pewne przepisy, dzieje się farsa, jak w Polsce z alimenciarzami. Raz ich

przyciśnięto i powsadzano do więzień, więc zaczęli płacić. Ale trwało to pół roku. Po poluzowaniu wróciliśmy do punktu wyjścia.

Niemniej jednak wypadałoby czegoś oczekiwać od ustawy, która skutecznie utrudniła życie społeczne w szkołach i placówkach oświatowych. Odpowiadał za nią ówczesny wiceminister sprawiedliwości dr Marcin Romanowski, ten sam, który znalazł bezpieczne schronienie na Węgrzech. Obecna rzecznik praw dziecka Monika Horna-Cieślak była jej współtwórczynią. Weto prezydenta Nawrockiego przyjęła z zadowoleniem. Wskazała, że nowela ustawy „obniża standard ochrony dzieci w Polsce przed nadużyciami, zwłaszcza seksualnymi (...) poprzez wprowadzenie nieuzasadnionych wyjątków umożliwiających całkowite odstąpienie od realizacji obowiązków weryfikacji karalności bądź obowiązków, w sposób nieuzasadniony, łagodzi”. Zdaniem rzeczniczki tego typu zmiany mogłyby realnie zwiększyć ryzyko dla dzieci w placówkach oświatowych

i sportowych, osłabiając dotychczasowe mechanizmy ich ochrony.

Czy rzeczywiście była taka groźba?

Boimy się bliskości z dzieckiem

– Relacje w szkole legły w gruzach. Boimy się bliskości z dzieckiem. Rozmawiamy wyłącznie przy drzwiach otwartych, nie przytulamy, choć młodsze dzieci bardzo tego potrzebują. Nie rozumiem, że to „dla ich dobra”. Czują się odrzucone. Usztynili się szczególnie młodzi nauczyciele. Boją się. Szczytem upokorzenia naszego środowiska były niektóre zapisy w standardach ochrony małoletnich przygotowanych przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę. Nauczyciel ma nie spać z dzieckiem na wycieczce. Naprawdę? Przez 35 lat mojej pracy w szkole nie marzyłam o niczym innym jak spaniu z uczniem w jednym łóżku – mówi, prawie płacząc, nauczycielka, która nazwiska nie podaje. Taki mamy klimat. Dodaje tylko, że w szkołach umierają inicjatywy społeczne.

Przywołany przez nauczycielkę zapis literalnie brzmi: „Niedozwolone jest pozostawianie dzieci samych na noc w pokoju pracowników (z wyjątkiem członków rodziny – za zgodą opiekuna dziecka), spanie z dzieckiem w jednym pokoju (z wyjątkiem zbiorowych sal) lub w jednym łóżku”.

Na przeregulowanie wspomnianych standardów ochrony małoletnich i jego skutki zwraca uwagę portal Prawo.pl: „Ustawa, która miała wzmocnić ochronę małoletnich, spariżowała rynek pracy. Pracodawcy nie chcą przyjmować uczniów na praktyki albo wycofują się z tego zamiaru. Powodem jest konieczność wprowadzenia rozbudowanych standardów ochrony małoletnich, w tym przyjęcia odpowiednich dokumentów wewnętrznych i wymóg sprawdzania pracowników, którzy będą opiekunami tych praktyk. Zdaniem prawników przepisy wymagają pilnej korekty, jeżeli chcemy wspierać szkolnictwo zawodowe”.

Z drugiej zaś strony nie można nie zauważyć, że po wejściu w życie standardów przedstawiciele oświaty zaczęli mniej więcej dwuipółkrotnie częściej niż do tej pory uruchamiać niebieskie karty. Ale to i tak zbyt rzadko. Obecnie zbliżamy się do ok. 70 tys. dzieci doznających przemocy domowej, objętych procedurą niebieskich kart. To by oznaczało, że skoro dzieci w Polsce jest 7 mln, zaledwie 1% doznaje przemocy domowej. Nie ma drugiego takiego państwa na świecie.

Według danych Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę przemocy domowej doznaje aż jedna trzecia dzieci. Czyli ok. 2,4 mln, a nie 70 tys.

Każdy dorosły to potencjalny wróg

Wydaje się, że aby uniknąć totalnego chaosu w oświacie, wystarczyło wcześniej robić akcje uświadamiające: rodzicu, wolontariuszu, działaczowi oświatowemu, weryfikacja nie znaczy podejrzenie. Bo np. prawnicy też są sprawdzani. Należało taką akcję informacyjną przeprowadzić nawet kosztem tysięcy złotych z budżetu państwa. Może wtedy jedna czy druga matka idąca z dziećmi na basen, by

suszyć dziewczynkom włosy w szatni, nie poczułaby się jak domniemana pedofilka? Bo wiele mam tak się poczuło.

Jarosław Pytlak, dyrektor Zespołu Szkół STO na warszawskim Bemowie, działacz edukacyjny i harcerz, przyznaje, że zapisy w noweli zawetowanej przez prezydenta Nawrockiego miały charakter zdroworozsądkowy. Efektem lex Kamilek w praktyce szkolnej było bowiem to, że przestano zapraszać rodziców na wycieczki – zapraszać i jeszcze kazać przynieść płatne zaświadczenie o niekaralności zakrawało przecież na kpinę. W wersji papierowej opłata wynosi 30 zł, w wersji elektronicznej 20 zł.

– Jeżeli państwo wymaga takich zaświadczeń obligatoryjnie od paruset tysięcy ludzi, to trochę głupio wprowadzać za to takse, a szczególnie od wolontariuszy. Nowela proponowała zniesienie opłat. Poza tym żądanie takich zaświadczeń np. od policjantów przechodzących na zajęcia do szkoły jest bzdurą. Oni z założenia muszą być nieskazitelni. Pytanie, ilu pedofilów złapano dzięki temu chaosowi. Podejrzewam, że żadnego – mówi Jarosław Pytlak.

Sprawdzam więc. Piszę do Ministerstwa Sprawiedliwości, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji i do Komendy Głównej Policji w sprawie statystyk. Do czasu napisania tego artykułu statystyk nie otrzymuję.

Pytam też, ile zaświadczeń o niekaralności wydano, bo wtedy łatwo sprawdzić, ile z tego tytułu wpłynęło do budżetu państwa. Pytam, ile mniej dzieci zginęło wskutek działania lex Kamilek. Przed ustawą w cierpieniach zadawanych w domach rodzinnych z rąk najbliższych ginęło ok. 30 dzieci rocznie, w tym maluszków do trzeciego roku życia. Znajduję jedynie, że od lutego do lipca 2024 r., gdy ustawa weszła już w życie, zakałowano 17 dzieci. Oznaczałoby to, że do końca 2024 r. było ok. 34 takich śmierci. Cierpliwie poczekam na oficjalne statystyki.

Zwolennicy ustawy w jej obecnym brzmieniu powtarzają, że system

ochrony małoletnich nie zaczyna działać od razu. W Wielkiej Brytanii budowano go 20 lat. Znowu sprawdzam, jak jest tam z zaświadczeniami. Otóż weryfikację Disclosure and Barring Service (DBS) musi mieć rodzic, jeśli wycieczka jest z noclegiem. Na wycieczce jednodniowej nie musi. Posłaliśmy zatem o krok dalej.

Dyrektor Pytlak: – Liczyłem na to, że nowelizacja przejdzie. Jeżeli ktoś wchodzi do nauczyciela na zajęcia i one odbywają się w jego obecności, nie widzę sensu, by gość musiał przyjść z zaświadczeniem. Jeżeli dziadek weteran przyjdzie na żywą lekcję historii i oświadczy pod groźbą kary, że nie jest pedofilem, i towarzyszy mu nauczyciel, to za mało? Rodzice i wolontariusze przynoszą

Komu przysłużyło się prezydenckie weto? Czy na pewno dobru dzieci?

nam zaświadczenia nie z rejestru przestępców seksualnych, tylko z rejestru skazanych. Coś zrobiono w totalnie urzędniczym stylu, z głęboką wiarą, że wystarczy stworzyć wspaniałe prawo i wszystko będzie dobrze. Przy okazji konsekwencjami obciążono szkoły. Tymczasem to nie w szkołach dzieje się dzieciom najwięcej krzywdy. Krzywdą Kamilka była w rodzinie. To powodowało pytania o działanie opieki społecznej, a nie szkoły. Lex Kamilek jest potrzebna, ale niech nie utrudnia życia w imię iluzorycznej ochrony dzieci tam, gdzie nie dzieje się im krzywda. Przy jej okazji dzieci dowiedziały się, że każdy dorosły to ich potencjalny krzywdziciel. To porażka nas, dorosłych. Po wecie nadal w szkołach będziemy się z tym zmagać, siedzieć schowani za paragrafami i traktować wszystkich ludzi zzewnątrz jako potencjalnych wrogów.

Wojenka na grafiki

Po prezydenckim wecie Ministerstwo Sprawiedliwości wypuściło swoją grafikę pokazującą, co przepadło, Kancelaria Prezydenta swoją z przekazem: prezydent Nawrocki ochronił dzieci przed pedofilami. ▶

► A prawda leży pośrodku. Polska jest pionierem w e-receptach i innych e-sprawach. Na przykład jeśli kierowca porusza się po drodze, możemy sprawdzić, czy zapłacił mandat, czy ma prawo jazdy i ubezpieczenie. I nie ma z tym problemu. Samochodów jest w Polsce 22 mln, a dzieci 7 mln. Ministerstwo Sprawiedliwości twierdzi, że nie da się na podobnej zasadzie stworzyć systemu sprawdzania niekaralności. Obecnie jednak resorty cyfryzacji i sprawiedliwości rozważają udostępnienie zaświadczeń w aplikacji mObywatel.

Dr Grzegorz Wrona, adwokat oraz certyfikowany specjalista i superwizor przeciwdziałania przemocy domowej, tłumaczy, że idea weta jest taka, żeby wszystkie osoby, które mają kontakt z dziećmi, mogły zostać zweryfikowane pod względem karalności. Osoby najbliższe z rodziny dziecka: rodzice, dziadkowie, dopuszczają się czynów pedofilnych.

– Zarówno Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, rzeczniczka praw dziecka, jak i ja bardzo byśmy chcieli wywrzeć nacisk na Ministerstwo Sprawiedliwości, żeby chociaż podjąć próbę dostępu elektronicznego do rejestru skazanych. Tak, żeby można było w ciągu pięciu sekund sprawdzić. Chcielibyśmy nie obniżać poziomu

bezpieczeństwa dzieci. Kiedy wchodzimy do samolotu i sprawdzają, czy mamy bombę, czy to oznacza, że jesteśmy terrorystami? – pyta prawnik.

Jego zdaniem trzeba było przed wypuszczeniem noweli ustalić różne sprawy i dogadać się ponad podziałami. – Bez noweli, która była proponowana, ustawa Kamilkowa ma wiele mankamentów, wątpliwości interpretacyjnych, brakuje odpowiednich

Małe wyjaśnienie: obecnie funkcjonują trzy rejestry pedofilskie oraz KRK, który zawetowana nowela poszerzała o rozdział XXVI Kodeksu karnego – wcześniej były rozdziały XIX i XXV). Pedofilskie to: pierwszy – dla najcięższych przestępstw i recydyw, drugi – dla podmiotów uprawnionych, np. organizacji pozarządowych po uprzednim złożeniu odpowiedniego wniosku na stronie Ministerstwa

Lex Kamilek jest potrzebna, ale niech nie utrudnia życia w imię iluzorycznej ochrony dzieci tam, gdzie nie dzieje się im krzywda.

definicji. Ministerstwo Sprawiedliwości musiało odpowiadać na tysiące pytań przesyłanych przez szkoły i inne instytucje i te wątpliwości w noweli zostały uwzględnione. Takie sprawy na pewno trzeba uzupełnić, byle szybko. Szkoda, że w Polsce jest bardzo częste myślenie: ponieważ to nie działa, zlikwidujemy – ubolewa.

Nie wiemy, ile faktycznie dzieci w Polsce jest krzywdzonych. Oficjalne statystyki pokazują promil zjawiska. Procedura niebieskiej karty powinna być uruchamiana co najmniej dziesięciokrotnie częściej, żebyśmy zaczęli się zbliżać do realnej liczby. Co gorsza, często ta procedura jest uruchamiana nie w tych sprawach, w których trzeba.

Sprawiedliwości. Weryfikacja jest długa, trwa około czterech miesięcy. Trzeci – rejestr komisji ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich – publiczny, z nieograniczonym dostępem, w którym sprawcy widnieją dożywotnio. Do tej pory komisja dokonała trzech wpisów.

Zdaniem Konrada Ciesiołkiewicza, jeśli nowelizacja nie była doskonała, śmiało można było poprawiać stan rzeczy na późniejszym etapie. Tymczasem zostajemy z tym, co było. Nowe prace, choćby wykonywane szybko, potrważą. Standardy ochrony małoletnich są nam bardzo potrzebne. Tak samo potrzebna jest ich funkcjonalność i wsparcie społeczne w ich stosowaniu.

Wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha tak skomentował nowelę (podaje za biurem prasowym MS): „Nowe rozwiązania miały zdjąć z rodziców biurokratyczny obowiązek składania oświadczeń, który od początku budził wiele wątpliwości i generował niepotrzebne trudności (...). Jednocześnie chcieliśmy wzmocnić ochronę dzieci, rozszerzając katalog przestępstw, popełnienie których definitywnie zamyka drogę do sprawowania opieki nad najmłodszymi. (...) Dotychczasowe mechanizmy kontroli miały pozostać zachowane – w tym obowiązek weryfikacji w rejestrach oraz nadzór nad osobami pracującymi z dziećmi. Ustawa przewidywała także surowe sankcje karne za składanie fałszywych oświadczeń, co skutecznie przeciwdziała nadużyciom”.

Beata Igzielska



Zostajemy z tym, co było

Konrad Ciesiołkiewicz, członek Państwowej Komisji ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej lat 15, uważa, że nowela uwzględniała głos strony społecznej. Do projektu wprowadzono ulepszenia, zwłaszcza te dotyczące sprawdzania osób w rejestrze karnym (KRK) przez dyrektorów placówek oświatowych. Ulepszała także zapisy o ochronie danych osobowych dzieci, w tym o ochronie ich wizerunku.

– Projekt w ogóle nie dotyczył rejestrów, nazywanych przez niektórych pedofilskimi, czyli trzech rejestrów osób skazanych za przestępstwa seksualne. Weryfikacja miała być prowadzona dokładnie tak samo, jak jest dzisiaj – uzupełnia Konrad Ciesiołkiewicz.

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Kraj odrealniony

„Kraj rozdarty i odrealniony”. Takim określeniem posłużył się francuski poseł, markiz de Paulmy, wyjaśniając powody, dla których w 1764 r. rozstawał się z Warszawą. Opuszczał kraj, w którym pojęcie racji stanu zastąpiły intrygi, konflikty i chorobliwe ambicje stronnictw. Kraj pozbawiony środka ciężkości, dewastowany przez porywy wzajemnej pogardy i nienawiści.

7 września 1764 r. odbyła się ostatnia wolna elekcja. Została ona – jak pisał w „Pamiętnikach” Jędrzej Kitowicz – przeprowadzona „w zgodzie, w spokojności i skromności od wieków w królestwie niepraktykowanej”. Święto trwało krótko – bardzo szybko w „króla Ciołka” uderzyła fala nienawiści. Część magnaterii nie uznawała monarszego majestatu, nie przyjmowała do wiadomości rezultatów elekcji.

Król nie mógł rozwinąć skrzydeł. „Łatwiej przychodziło Stanisławowi – odnotował Adam Zamoyski w pracy „Ostatni król Polski” – nawiązywanie kontaktów opartych na obopólnym zaufaniu i szacunku z cudzoziemcami niż z rodakami”. Stanisława Augusta otaczała pogarda – „patrioci” nie mogli mu wybaczyć grzechu pierworodnego, a więc namaszczenia z rąk Katarzyny. Azaliż, gdy jawiła się szansa, by mu zaszkodzić, sami bez wahania poddawali się woli rosyjskiej ambasady – tak było w 1767 r., kiedy to zawiano konfederację radomską. Całą inicjatywą zawiadywał pułkownik rosyjskiej armii Wasilij Karr. Nie przeszkadzało. Intryga była prosta: spełnić rosyjskie żądania dotyczące uznania praw dysydentów, odbierając jako zapłatę decyzję o usunięciu króla. Plan zawiódł, do detronizacji nie doszło. Niepocieszeni „patrioci” zawiązali konfederację barską. Oprócz obrony wiary planowali obalenie monarchy, w dramatycznej próbie uprowadzenia król omal nie stracił życia. Zegar samozagłady ruszył z miejsca.

No tak, była jeszcze Konstytucja 3 maja, którą przeciwnicy potępili jako rezultat zamachu stanu. Czyniąc to, zmięrzali prostą drogą w kierunku targowicy. Rzecz jasna, wszystko dla dobra Rzeczypospolitej. Co znamienne, w środowiskach narodowych sprzeciw trwał jeszcze w czasach II Rzeczypospolitej. Konstytucję traktowano jako owoc masońskiej intrygi – „projekt włoskiego przybłądy”, jak wywodził w rocznicowym odczycie z 1939 r. Adam Doboszyński, mając na myśli Scypiona Piattolego, królewskiego sekretarza.

Popatrzmy na czasy najnowsze. Pisowska pogarda wobec uchwalonej w 1997 r. konstytucji stała się początkiem

pełzającej anarchii. Społeczeństwo edukowano pod kątem braku szacunku dla ustawy zasadniczej. Rzeczpospolitą postanowiono odziać w łachmany urażonych ambicji, mściwości i nienawiści. To jest właśnie „miłość” do ojczyzny w wydaniu PiS. To ma być ten nowy „patriotyzm polski” – siermiężna szata nikczemności?

Fundamentem demokracji jest patriotyzm konstytucyjny, gdy go zabraknie, ostatnim słowem staje się przemoc. W naszym kraju przemoc doświadczyła sama konstytucja – pogwałcono ją wielokrotnie. Trybunał Konstytucyjny, KRS. Nie zapominajmy. Kolejną ofiarą stało się samo społeczeństwo – efektem negatywnej stymulacji jest stan wykolejenia, rozdarcie. Gen nienawiści i pogardy zakorzenił się na stałe, wdarł do przestrzeni życia publicznego. Kultura obywatelska została złożona na ołtarzu partyjnych ambicji. Mamy to, co mamy.

A zatem pytanie najważniejsze: czy naszą rzeczywistością jest nierzeczywistość? Wiele wskazuje na to, że po raz kolejny pogrążamy się w anarchii. Nowy prezydent snuje plany, zapowiada wielki czyn – mają się rozpocząć

Kultura obywatelska została złożona na ołtarzu partyjnych ambicji.

prace nad nową konstytucją. Pytanie, w jakim duchu. W duchu partyjnego odwetu? Prawo konstytucyjne to coś więcej niż katechizm zemsty. Popatrzmy na amerykańską konstytucję, jak

kie miała intelektualne i moralne zaplecze. Dzieło Ojców Założycieli trwa. A my? Ekskandydat „obywatelski” nie przejawia żadnej troski obywatelskiej. Nie usłyszeliśmy ani słowa o konieczności odnowy etosu obywatelskiego, o potrzebie pracy u podstaw, która położyłaby kres plemiennej nienawiści i pozwoliła odnowić wiarę w przyszłość Rzeczypospolitej. Zamiast tego pogarda, mściwa zawziętość, potrzeba poniżenia i wyszydzenia przeciwnika. A nowa konstytucja? Powstanie w próżni czy też w kadzi skańczonych ambicji?

Czasami w mojej głowie snują się echa amerykańskiej debaty konstytucyjnej. W Filadelfii cytowano Polibiusza i Monteskiusza. A u nas? Wciąż, tak jak w czasach Stanisława Augusta, potrzebny jest „ciołek”, którego można obrzucić błotem i poniżyć. A kultura moralna, intelektualna? Litości, lepiej o tym nie mówić. W szeregach tzw. prawicy prymitywny antykomunizm zastąpił (być może na zawsze?) potrzebę myślenia. Czasy się zmieniają, a tam patataj, patataj. Raz sierpem, raz młotem. To ma być nasza przyszłość? Wygląda na to, że kręcimy się wciąż wokół własnej osi – materia odrealnienia ulega zagęszczeniu. Kto wie, może Nobel z tego będzie? ■



Walka o ciszę

Polska przoduje w UE pod względem zanieczyszczenia hałasem

Kornel Wawrzyniak

Smog akustyczny może się wydawać określeniem abstrakcyjnym, jednak dane Europejskiej Agencji Środowiska dowodzą, że ta nazwa jest słuszna. Współczesny człowiek żyje w nieustającym hałasie. Liczne badania pokazują, że długotrwałe przebywanie w zbyt głośnym otoczeniu działa na nas równie destrukcyjnie jak wdychanie smogu. Tymczasem w Polsce mamy mniej restrykcyjne normy hałasu niż w innych krajach Europy.

Żeby to sprawdzić, postanowiłem przeprowadzić na sobie eksperyment i pisać wprost z centrum stołecznego hałasu (czyli z mojego domu). Niniejsze rozważanie

będzie więc przeplatane „dziennikiem ogłuszanego”.

Zabójczy hałas

„Według ustaleń Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) hałas jest drugą pod względem znaczenia przyczyną problemów zdrowotnych związanych ze środowiskiem, zaraz po zanieczyszczeniu powietrza”, twierdzi Eulalia Peris z Europejskiej Agencji Środowiska (EEA). Długotrwałe funkcjonowanie w hałasie znacząco pogarsza zdrowie człowieka, obniżając jakość i długość jego życia. Wbrew pozorom nie chodzi tylko o słuch. Hałas negatywnie oddziałuje na wszystkie układy organizmu, a także zakłóca prawidłowy rozwój dzieci i młodzieży.

Aby przeciwdziałać negatywnym skutkom hałasu, Unia Europejska wydała specjalną dyrektywę 2002/49/WE. Badacze twierdzą, że każdy dźwięk powyżej pewnego poziomu jest szkodliwy, niezależnie od naszego subiektywnego odczucia.

8.00 – niedawno usiadłem do pisania. Zaczyna się rytmiczne postukiwanie i szuranie. Na parterze robią remont. Dziś przywieźli kamienne płyty, które właśnie zaczynają docinać na podwórku specjalną piłą szybkoobrotową.

Dyrektywa definiuje m.in. pojęcie „hałasu w środowisku” jako niepożądane lub szkodliwe dźwięki generowane przez działalność człowieka na wolnym powietrzu. Do tej kategorii zalicza się hałas emitowany przez środki transportu, w tym pojazdy drogowe, kolejowe i lotnicze, a także dźwięki pochodzące z obszarów przemysłowych. Jednocześnie wyklucza się z tej definicji hałas emitowany przez samą osobę narażoną. W dokumencie 2002/49/WE zdefiniowano również, jak hałas należy mierzyć.

Monitorowanie stanu środowiska akustycznego realizowane jest co

roku poprzez opracowywanie map akustycznych zgodnie z ustalonymi wskaźnikami. Proces ten obejmuje kilka etapów i uwzględnia wszystkie istotne elementy infrastruktury badanego obszaru. Co najważniejsze, zdefiniowano poziomy hałasu w dzień i nocą. Według WHO dobową normą hałasu to 53 dB w dzień i 45 dB w nocy. Europejska Agencja Środowiska swoje normy określiła na 55 dB w dzień i 50 dB nocą.

8.30 – w podwórku są biura, więc zaczyna się pikanie domofonów, które słychać przy otwartych oknach, wszak jest 25 st. C w drugim tygodniu września. Walenie drewnianych, ciężkich drzwi od podwórka wieńczy charakterystyczne piskliwe „ti-di-pip”. Hałas pily tarczowej wgrzyzającej się w kamień jest teraz przeplatany kakofonią nerwowych dźwięków spóźnionych pracowników biurowych.

Ogłuchnąć w imię postępu

Od wielu lat polskie normy dotyczące hałasu nie są zgodne z zaleceniami ani Światowej Organizacji Zdrowia, ani Europejskiej Agencji Środowiska. W przeciwieństwie do limitów określanych przez WHO, skupiających się na ochronie zdrowia publicznego, w Polsce wyznaczanie norm opierało się przede wszystkim na kryteriach ekonomicznych. Pod koniec 2011 r. Ministerstwo Środowiska przedstawiło propozycję złagodzenia obowiązujących limitów hałasu, co oznaczałoby dopuszczenie wyższego poziomu dźwięków w otoczeniu.

Główną przyczyną tej zmiany była potrzeba obniżenia kosztów inwestycji drogowych, m.in. poprzez ograniczenie instalowania ekranów akustycznych. To przełożyłoby się na oszczędności w budowie i modernizacji infrastruktury drogowej. Tym sposobem od 2012 r. w Polsce mamy w dzień normy hałasu 68-70 dB, a w nocy 59-65 dB. To mniej więcej taki poziom głośności, jakby cały dzień słuchać wirującej pralki.

11.15 – na moment moje zszargane nerwy koi brzęczenie ekspresu do kawy. Być może dlatego, że chodzi o maszynę, którą włączyłem sam,

więc spodziewałem się zarówno efektu dźwiękowego, jak i samej kawy. Na podwórku dźwięki ciętego kamienia zamieniły się w rytmiczne rżenie wiertarek udarowych.

Dróg powstawało wtedy bardzo dużo, bo w 2012 r. organizowaliśmy do spółki z Ukrainą wielkie wydarzenia piłkarskie, mistrzostwa Europy. Ówczesny minister środowiska Marcin Korolec twierdził, że rozporządzenie wprowadzające nowe normy hałasu to pierwszy krok w walce z „plagą nieskutecznych ekranów akustycznych”.

Co ciekawe, kiedy Ministerstwo Zdrowia zapoznało się w ramach konsultacji międzyresortowych z proponowanymi normami hałasu, zaczęło bić na alarm. Według MZ dopuszczalne poziomy zaproponowane w rozporządzeniu Marcina Korolca były stanowczo za wysokie i określiło je mianem jeszcze bardziej szkodliwych niż poprzednie (przed 2012 r. dopuszczalne normy hałasu wynosiły w Polsce 60-65 dB w dzień i 55-60

Aż 91% mieszkańców miast powyżej 100 tys. skarży się na życie w uporczywym hałasie.

dB w nocy). To znaczy, że nad Wisłą jeszcze przed 2012 r. limity hałasu w nocy były wyższe niż granica dzienna w UE.

12.00 – wpadłem w trans wraz z rytmem wiercenia. Niestety, szybko zostałem z niego wybity. Ktoś uchylił okno w biurze obok. Słyszę polski „kołczing” w praktyce. Drafty, skany i haery – wszystko wykrzykiwane do słuchawki obok mojego okna. Ktoś ma jutro rozmowę o pracę, ale dzwoni już dziś, bo ma kilka pytań. Próbowalem się bujać w rytm wiertarek, ale trans nie powrócił.

Ministerstwo Zdrowia stanęło okoniem, ponieważ w rozporządzeniu sygnowanym przez Korolca nie wzięto pod uwagę kosztów zdrowotnych, które poniesie społeczeństwo. Jednak po tygodniu MZ nagle zmieniło zdanie. Zgodzono się na nowe normy z zastrzeżeniem, że powinny zostać w przyszłości zmienione. W obu

opiniach z resortu zdrowia podkreślano wagę konsekwencji zdrowotnych wynikających z oddziaływania hałasu. Porównano go nawet w sensie epidemiologicznym do cukrzycy lub chorób układu oddechowego.

I tak zostaliśmy z tymi normami do dziś – mija już 13 lat życia Polaków w huku, i to za przyzwoleniem kolejnych rządów. Badanie CBOS z 2009 r. pokazywało, że aż 91% mieszkańców miast o populacji powyżej 100 tys. skarży się na życie w uporczywym hałasie.

13.00 – pomiędzy dźwiękami kucia ścian i wiercenia zaczynam słyszeć wuwuzę i piszczalki. Zakładałam, że to protesty pod przychodnią aborcystą, które są tak głośne, że słyszę je, mieszkając na innej ulicy kilka podwojek dalej.

Co to ten decybel?

Jeśli zatem polskie normy jeszcze przed rozporządzeniem ministra Korolca dopuszczały taki poziom hałasu w nocy, którego Unia nie dopuszcza

nawet w dzień, to normy wprowadzone w 2012 r. są kompletną katastrofą. Mniej zorientowani w akustyce czytelnicy mogą sobie pomyśleć, że to histeryzowanie. Warto jednak pamiętać, że do pomiaru głośności dźwięku używa się skali logarytmicznej, w której każde 3 dB oznaczają dwukrotny wzrost natężenia dźwięku. Jeżeli więc porównamy normy WHO i polskie, np. te obowiązujące nocą, okaże się, że 65 dB względem 45 dB oznacza różnicę nie 44%, lecz aż 10 000%. Polak ma 100 razy głośniejszą nocą, niż zaleca WHO.

13.25 – hałas wuwuzel narasta, coś jest inaczej niż zwykle... Słyszeć okrzyki z megafonów. Zdaję sobie sprawę, że to nie mogą być antyaborcjniści, bo nie ma też puszczonego nagrania z płaczem dziecka. Sprawdzam w internecie. To protest Służby Więziennej. Musieli zdążyć przejść spod KPRM pod Sejm. Przerwywam pracę.

► **13.45** – na budowie poniżej nie ma przebaczyć. Ekipie protest SW nie przeszkadza, jednak budowlany „udar” napotkał problem i nie daje rady kuć powojennego zlepkę ścian. Dźwięk ledwo obracającej się wiertarki dociskanej do muru przypomina ryczącego jelenia z odruchem

Według Europejskiej Agencji Środowiska „długotrwałe narażenie na hałas w środowisku powoduje 12 tys. przedwczesnych zgonów i co roku w Europie przyczynia się do 48 tys. nowych przypadków choroby niedokrwiennej serca”.

Trudno też dziwić się Polakom, że mając dużo wyższe normy hałasu od zalecanych przez WHO, są tak często zestresowani i podenerwowani. Niestety, wiele wody w Wiśle upłynie, zanim coś się zmieni. Polacy nie są dostatecznie dobrze informowani o tym, że żyją w hałasie. Nie mamy rozwiązań urbanistycznych ani społecznych, które dążyłyby do zmiany tego stanu rzeczy. A jak wiadać po stanie prawnym, rządzący również nie przejmują się hałasem środowiskowym. Jest to sprzeczne z konstytucyjnym obowiązkiem państwa w zakresie ochrony zdrowia obywateli.

Długotrwałe przebywanie w zbyt głośnym otoczeniu działa na nas równie destrukcyjnie jak wdychanie smogu.

wymiotnym. Nasłuchuję, kiedy wiertarka znów się wkręci z całą siłą w beton. Nie wiedzieć czemu myślę, że przyniesie mi to ulgę.

Polska przoduje wśród innych państw UE pod względem zanieczyszczenia hałasem. Tylko Wielka Brytania i Niemcy mają wyższy wskaźnik ludności podatnej na hałas drogowy w aglomeracjach. Pewnie dlatego tak wiele osób mieszkających w naszych miastach chętnie ucieka w wakacje na łono natury.

Psycholodzy wskazują też, że długotrwała ekspozycja na hałas wpływa negatywnie na skupienie. Gdy dookoła jest stale głośno, robimy się również nerwowi. Przebywanie bez przerwy w 55 dB można porównać do dyskutującej grupki osób, która wszędzie za nami chodzi. W takich warunkach trudno się skupić.

14.25 – poddałem się. Przynajmniej ugotuję w przerwie obiad. Warkot wiertarek i wycie wuwuzel stłumiłem słuchawkami z aktywną redukcją hałasu.

16.37 – wyszedłem z domu i nadal słyszę wuwuzele. Protest zrobił się podejrzanie długi. Za rogiem okazuje się, że Służby Więziennej już nie ma. Na Wiejską przybyli antyaborcjonści i przejęli pałecz... wuwuzelę.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeгляд.pl

KATARZYNA FIGURA z Nagrodą im. Ireny Solskiej

W sobotę, 6 września 2025 r., w gościnnych progach Promu Kultury na Saskiej Kępie w Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia Nagrody im. Ireny Solskiej. Zarząd polskiej sekcji AICT/Klubu Krytyki Teatralnej Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej przyznał to doroczne wyróżnienie Katarzynie Figurze w uznaniu jej wybitnych osiągnięć aktorskich na deskach scenicznych.

Nagroda im. Ireny Solskiej została ustanowiona w 2010 r. przez polską sekcję AICT z intencją honorowania dorobku artystek teatralnych, które wywarły znaczący wpływ na formowanie warsztatu i etosu aktorskiego. Jej inicjatorką była red. Justyna Hofman-Wiśniewska. Patronka nagrody Irena Solśka należy do legend polskiego teatru, jej osiągnięcia i oddanie sztuce budziły podziw i respekt. Odwołanie się do jej osoby podkreśla wysoki pułap artystyczny brany pod uwagę przy wyborze laureatek.

Dotychczas Nagrodę im. Ireny Solskiej otrzymały w kolejnych latach: Danuta Szaflarska, Nina Andrycz, Emilia Krakowska, Anna Lutosławska, Halina Łabonarska, Anna Seniuk, Grażyna Barszczewska, Ewa Wiśniewska, Dorota Kolak, Danuta Stenka, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Irena Jun, Stanisława Celińska i Anna Polony. Katarzyna Figura jest 15. laureatką.



Nagrodę wręczył prezes polskiego oddziału AICT Tomasz Miłkowski, krótko przypominając historię tego wyróżnienia. Laudację wygłosił krytyk Łukasz Maciejewski, który nazwał Katarzynę Figurę „aktorką roślinną” – twórczynią ról powstających w pełnym zanurzeniu, z odwagą i bezkompromisowością: „Żyje z rolą kilka tygodni albo miesiąc. Wszystko dzieje się jak u rośliny – intensywniej, szybciej. Aktor roślinny jest w potrzasku, ale efekty mogą być nieoczekiwane”.

Katarzyna Figura od lat konsekwentnie buduje swoje miejsce w teatrze – od Współczesnego i Dramatycznego w Warszawie, przez Polonię, aż po najważniejsze kreacje w Teatrze Wybrzeże („Fedra”, „Bella Figura”, „Maria Stuart”, „Balkon”).

Rozmowę z laureatką poprowadził red. Jan Bończa-Szabłowski, który także dokonał wyboru wierszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Zebrani goście mieli okazję wysłuchać ich w sugestywnej interpretacji laureatki.

Dyplom zaprojektowany został przez artystę grafika Janusza Golika, członka honorowego AICT, który od lat jest autorem wszystkich projektów i oprawy graficznej (dyplomy, plakaty, afisze, logo, opracowanie wydawnictw okolicznościowych) towarzyszącej przedsięwzięciom polskiej sekcji AICT. (tm)



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Krezusy lizusy

O niemiały obserwowałem w telewizji fragment kolacji baronów z Doliny Krzemowej z Donaldem Trumpem. Nie wierzyłem własnym oczom i uszom. Oto grono władców nowych mediów prześciagało się w lizusostwie, kadząc prezydentowi Trumpowi. Było to żenujące widowisko, jako żywo przypominające akty wiernopoddanicze znane z innych krajów i innych ustrojów – autorytarnych czy wręcz totalitarnych. Wódz otoczony pochlebcami, władca odbierający hołdy, król łaskawie wysłuchujący pochwał dworu. I to gdzie? W Ameryce! Kraju, który zawsze szczycił się wolnością słowa, prawem do krytyki, do zachowania własnego zdania, nieufnością do władzy i gotowością do obrony swojego stanowiska wobec wszystkim i wszystkiemu. To przecież te zachowania, które można było zaobserwować w trakcie wspomnianej kolacji, były przedmiotem kpiny w amerykańskiej kulturze masowej, słusznie utożsamiającej je z ustrojami na poły feudalnymi lub zbudowanymi na strachu. To ona wylansowała bohatera szczycącego się niezależnością i gotowością do buntu. Piętnowała lizusostwo i oportunizm. No i proszę, bohaterowie Ameryki okazali się zastraszonimi lizusami, oportunistami, bezwstydnymi zabiegającymi o łaskę króla.

Nie sądziłem, że czegoś takiego dożyję. Pokazuje to jednak, w jakim miejscu jest obecnie Ameryka. Pozbawiona krytycznej czujności, dryfująca bezradnie, chaotyczna i zagubiona moralnie i politycznie. Piszę to z wielkim bólem jako ktoś, kto kocha Stany. Czuję żal i wściekłość. Tym bardziej że siły antyamerykańskie i antyzachodnie prezentują zdecydowanie i konsekwencję. Jak tak dalej pójdzie, ich triumf będzie jedynie kwestią czasu. Wspomniana kolacja obnażyła również mit o sile amerykańskiego kapitalizmu, wynikającej jakoby nie z relacji z państwem, ale z niezależności biznesu i wolności gospodarowania. To takie kraje jak nasz miały się cechować istnieniem oligarchów – bogaczy, którzy swoje majątki zawdzięczają interesom z państwem (w Polsce ich nie brakowało, wobec niektórych chwalcom naszej transformacji).

Patrząc jednak na baronów z Doliny Krzemowej, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że podstawą ich kalkulacji biznesowych jest zachowanie przychylności władzy, zupełnie tak samo jak onegdaj, a gdzieś tam i obecnie, w kapitalizmie z naszej części świata. Choć głoszą oni ideologię libertarianistyczną, której podstawą jest wiara w zbawczą moc anarchokapitalizmu, gdy przychodzi co do czego, zabiegają o łaskę władzy i państwa. Poza tym ewidentnie się boją. Zastraszenie okazało się zatem skuteczną bronią także w kraju, który od setek lat oficjalnie

je potępia. Jeśli dodamy do tego próby poddania nadzoru władzy instytucji, które z definicji mają być od niej niezależne, np. uniwersytetów, uzyskamy smutny obraz upodabniania się Stanów Zjednoczonych do krajów, które miały dlań stanowić negatywne odniesienie. Zdumiewające jest tempo tych niekorzystnych zmian, a także słabość obywatelskiego oporu.

Pokazuje to, że Ameryka, wobec swojej mitologii, głoszącej siłę obywateli potrafiących się przeciwstawić władzy w imię ideałów wolności, jest podatna na te same procesy, które spychały inne kraje w wewnętrzne zniewolenie (chęć dostosowania się, unikania kłopotów, zapewnienia sobie bezpieczeństwa ekonomicznego, bez oglądania się na innych). Obawiam się, że ten okres smuty w życiu Stanów Zjednoczonych pozostawi w nich trwałe ślady. Nie mówiąc już o tym, że przyczyni się do podważenia autorytetu tego kraju na arenie międzynarodowej i dewaluacji jego soft power. Na czym bowiem reszta świata miała by się wzorować?

Ten okres smuty w życiu Stanów Zjednoczonych pozostawi w nich trwałe ślady.

Gdy przedstawiam swoje obawy amerykańskim przyjaciółom, przekonują mnie, że w życiu codziennym nie widać gwałtownych zmian. Że wszystko pozostaje po staremu. Oby. Nadzieję daje oczywiście federalistyczna struktura Ameryki. Poszczególne stany mają często więcej władzy niż rząd federalny. Jednak i to bywa powodem do żartowania, jak obecnie, gdy władze Florydy postanowiły zrezygnować z obowiązkowych szczepień. Skutki tej decyzji muszą się okazać tragiczne. Unaocznia to jednak, jak wielką siłę oddziaływania ma Nowy Obskurantyzm, dewaluacja autorytetu nauki i pójście w stronę ignorancji. Przy czym nie jest to jedynie przypadek Stanów.

Zatrważające są dane Eurobarometru dotyczące wiedzy oraz postaw wobec nauki i technologii obywateli Europy, w tym Polaków. 32% z nas wierzy, że ludzie żyli w epoce dinozaurów, a 38% nie wierzy w teorię ewolucji! Wygląda to tak, jakby cały niemal Zachód postanowił się wyrzec swojego racjonalistycznego dziedzictwa i skierował się ku irracjonalizmowi. Nie widać podobnych procesów w krajach pozazachodnich, z Chinami na czele, które mają w kulturze zakodowany szacunek do wiedzy i nauki. Trudno zatem nie sformułować bolesnego przypuszczenia, że to one wyjdą ostatecznie zwycięsko z konfrontacji z Zachodem.

Jak wyjść z sytuacji bez wyjścia

USA będą uciekać się do wszystkich możliwych sposobów, aby psuć stosunki chińsko-rosyjskie

Grzegorz W. Kołodko

Kiedyś odpowiedzialni politycy w pierw uzgadniali stanowiska w poważnych sprawach, aby potem komunikować je publicznie. Teraz wpierw mizdrzą się przed kamerami telewizyjnymi i wypisują swoje mądrości na portalach internetowych, a dopiero potem zastanawiają się, jak wyjść z twarzą z bałaganu, który spowodowali. Kreml nie potrafiłby tak zaszkodzić członkom NATO, jak sami sobie szkodzą. Jakąż radość ten euroatlantycki zgłębek musi wywoływać w Moskwie.

Alaska to nie Jałta

Amerykański sekretarz obrony Pete Hegseth na lutowej konferencji w Monachium słusznie stwierdził: „Musimy zacząć od uznania, że powrót do granic Ukrainy sprzed 2014 r. jest nierealnym celem. (...) Dążenie do tego iluzorycznego celu tylko przedłuży wojnę i spowoduje więcej cierpienia”. Podzielanie takiej opinii jest oczywiście niepoprawne politycznie, ale niestety trzeba przyjąć do wiadomości, że Rosja dobrowolnie zajętych terytoriów nie zechce zwrócić, a Ukraina wraz z sojusznikami siłą nie jest w stanie jej do tego zmusić. Takie stanowisko Waszyngtonu przez wielu zostało zinterpretowane jako wręcz zdrada słusznej sprawy, ale przecież oznacza ono tylko tyle, że nie ma sensu toczyć wojny, która jest nie do wygrania. No, chyba że ktoś twierdzi, że jeszcze trochę, a się uda. Takich poglądów nie brakuje. Już kilka razy



słyszeliśmy, że jakaś następna ukraińska ofensywa przeprowadzana przy zagranicznym wsparciu wypędzi rosyjskich najeźdźców z zajętych ziem, łącznie z Krymem. Ile miałoby to „jeszcze trochę” potrwać? Kolejne trzy lata? A może 13 albo 30? Ile ofiar musiałoby to za sobą pociągnąć? Już bardziej realistyczne jest liczenie na to, że szybciej ktoś zastąpi władcę na Kremlu, bo Putin to nie geografia; nie jest wieczny. To historia, która przemija.

Natychmiast po amerykańskich deklaracjach odnośnie do zamiarów i sposobów zakończenia wojny rosyjsko-ukraińskiej w przestrzeni medialnej odezwały się głosy porównujące bardzo mgliste wtedy jeszcze konsekwencje propozycji przedstawionych w Monachium przez wiceprezydenta Vance’a oraz sekretarza Hegsetha

i Rubia do jakichś nasuwających się na myśl sytuacji z przeszłości. Jak to bywa w niecodziennych okolicznościach, w których nie za bardzo wiadomo, o co tak do końca chodzi, szuka się analogii w historii. I znajduje się je tam, nawet jeśli zbytnio nie grzeszą trafnością i przenikliwością. I tak w światowych mediach miliony razy pojawiły się Monachium z roku 1938 i Jałta.

Krymski syndrom

Swoją drogą to zastanawiające, że chyba nikt przy tej okazji nie zwrócił uwagi na fakt, iż Krym, na którym leży Jałta, był wtedy, w 1945 r., we władaniu Rosji stanowiącej trzon Związku Radzieckiego. Na omawiającej kształt powojennego świata konferencji, której gospodarzem był Józef Stalin, Franklinowi D. Rooseveltowi, prezydentowi USA, i Winstonowi Churchillowi, premierowi Wielkiej Brytanii, przez głowę nie mogła przejść myśl, że są na Ukrainie, a nie w Rosji. Dopiero w 1954 r. Krym został przekazany z Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej do Ukraińskiej SRR. Do dziś nie ma jednoznacznej opinii, dlaczego tak się stało. Wtedy wydawało się to nie mieć większego znaczenia; przecież i tak ten piękny kawałek nadczarnomorskiej ziemi należał do ZSRR, który miał trwać wiecznie... Gdyby ówczesny radziecki przywódca Nikita Chruszczow wiedział, że twór ten rozpadnie się po 37 latach, w roku 1991, ani chybi Krym pozostałby formalnie i legalnie rosyjski i nie musielibyśmy współcześnie głowić się, jak wybrnąć z głębokiego

impasu. W międzyczasie wiele się działo odnośnie politycznego statusu Krymu, zdecydowanie zdominowanego przez ludność rosyjską. Jeszcze pod koniec epoki ZSRR, 20 stycznia 1990 r., odbyło się tam referendum, w którym uczestniczyło 81,73% uprawnionych. Na pytanie: „Czy jesteś za odtworzeniem Krymskiej Autonomicznej SRR jako podmiotu ZSRR i uczestnika związkowej umowy?“, aż 92,26% odpowiedziało pozytywnie. Nie posłuchano głosu ludu.

Prawie dokładnie 35 lat później opiniotwórczy „The Economist” zadaje inne pytanie: „(...) Czy to, co nastąpi, będzie najbardziej przypominało inną konferencję, monachijską z 1938 r., kiedy Neville Chamberlain ugiął się pod ambicjami Adolfa Hitlera; Jałtę z 1945 r., kiedy Ameryka, Wielka Brytania i Związek Radziecki podzieliły Europę; czy coś lepszego. (...) Gdy rzeczywistość błyskawicznego ruchu prezydenta Trumpa dotarła do ludzi, niektórzy europejscy przywódcy zaczęli obawiać się, że prawdziwym porównaniem dla planów Ameryki może być Jałta i nowy podział Europy na zachodnią i rosyjską strefę wpływów”. Niestychanie naciągane są te analogie, bo obecnie sytuacja jest zgoła odmienna. Ale może ktoś jeszcze się odezwie, dopatrując się podobieństwa między spotkaniem

Trzy trójkąty

Czy krokiem prowadzącym w tym kierunku było nawiązanie przez amerykańskiego prezydenta kontaktu z rosyjskim prezydentem? To się okaże, bo przecież nikt – łącznie z samym Trumpem, który zatelefonował do Putina – tak do końca nie wie, ani o co tu chodzi, ani co z tego wyjdzie. „The Economist” okładkę z datą 22 lutego 2025 r. ilustruje rysunkiem, na którym

Naiwnością byłoby dawanie wiary, że USA dobrze życzą Rosji, a zwłaszcza Chinom.

tylko oni dwaj rozmawiają, siedząc za długim stołem, przy którym wszystkie pozostałe krzesła są puste. Wyeksponowany jest też krzyczący tytuł: „Najgorszy koszmar Europy”. Pod nawalaniem płynących z rozmaitych stron głosów przerażonych brataniem się Trumpa z Putinem wiceprezydent Vance usiłował wytłumaczyć postępowanie Białego Domu, pisząc: „Negocjujemy zakończenie konfliktu. To jest »ustępstwo« tylko wtedy, gdy ktoś uważa, że Ukraińcy mają wiarygodną drogę do zwycięstwa. Nie mają, więc to nie jest [ustępstwo]”.

Jednakże i tym razem sprawa jest dużo bardziej złożona. Podczas gdy w kontekście kontaktów Waszyngtonu z Moskwą uwaga komentatorów

Naiwnością byłoby dawanie wiary, że USA dobrze życzą Rosji, a zwłaszcza Chinom. Otóż obu im życzą źle. I dla urzeczywistniania tych życzeń będą się uciekać do wszystkich możliwych sposobów, aby psuć stosunki chińsko-rosyjskie. Im będą one gorsze, tym łatwiej Ameryka będzie Great Again! Już kiedyś, w latach 70., Waszyngtonowi udało się wbić klin między Pekin i Moskwę. Miało to daleko idące konsekwencje

geopolityczne sprzyjające wzmocnieniu światowej pozycji USA. Architektem tamtej strategicznej gry był Henry Kissinger, sekretarz stanu w administracji prezydenta Richarda Nixona. Problem w tym, że aktualny sekretarz stanu Marco Rubio ze swoimi publicznie demonstrowanymi skrajnie antychińskimi sentymentami to nie wysublimowany Kissinger z jego dyplomatyczną gracją.

Trumpizmowi, który pogrywa z Chinami i Rosją na zgoła różne sposoby, nie uda się ich skłócić. Przy wszystkich swoich wadach w Pekinie i Moskwie są na to za mądrzy. Z punktu widzenia amerykańskiego hegemonizmu waszyngtońska strategia okaże się chybiona. Koniec końców wrogi kurs USA wobec Chin ich nie osłabi, ponieważ pod jego wpływem modyfikują swoją politykę wewnętrzną i zewnętrzną w sposób, który z czasem je relatywnie wzmocni. Zarazem drastyczny zwrot, jakiego dokonała administracja prezydenta Trumpa, w porównaniu z postępowaniem jego poprzednika w stosunku do Rosji, już relatywnie Rosję wzmocnia. Zapewne nie uczyni to jej wielką znowu – great again! – na czym poza nią samą nikomu nie zależy, ale nie zapobiegnie kroczenia Chin do tego, że będą jeszcze większe, niż są.

Ludzie niech decydują

Kłębowisko sprzeczności ukraińsko-rosyjskich toczyć będzie się latami. Najważniejsze, aby toczyło

Niech mieszkający w Ukrainie ludzie sami zadecydują w referendum, w którym państwie chcą żyć.

najwyższych rangą dyplomatów amerykańskiego i rosyjskiego, Marca Rubia i Siergieja Ławrowa, w Rijadzie w lutym 2025 r. a poprzedzającym Jałtę szczytem w Teheranie na przełomie listopada i grudnia 1943 r.? Przecież Rijad i Teheran rozdzielają tylko kawałki pustyni i wody Zatoki – dla jednych Arabskiej, dla drugich Perskiej. A tak naprawdę od tamtych czasów dzieli nas szmat historii i zamiast szukać fałszywych analogii, lepiej skupić się na poszukiwaniu ścieżek prowadzących jak najkrótszą drogą do pokojowej przyszłości.

politycznych i medialnych skoncentrowała się na relacjach zachodzących w drugim wielkim geopolitycznym trójkącie, a mianowicie Stany Zjednoczone – Rosja – Unia Europejska (pierwszy to trójkąt Stany Zjednoczone – Chiny – Unia Europejska), Amerykanom może chodzić o coś innego, dla nich bardzo ważnego, a być może najważniejszego – o stosunki z Chinami. Ewentualne kontrolowane zbliżenie amerykańsko-rosyjskie należy postrzegać jako element gry w trzecim fundamentalnym trójkącie geopolitycznym: Stany Zjednoczone – Chiny – Rosja.

► się pokojowo. Gdy już przestaną strzelać, gdy przestaną latać drony i rakiety, gdy przestaną spadać bomby, najważniejsze będą kwestie terytorialne. Doświadczenia pokazują, że ich rozwiązywanie może ciągnąć się dekadami, jak tego doświadczali mieszkańcy Erytrei, Timoru Wschodniego, Kosowa czy Sudanu Południowego, zanim uzyskali państwową niezależność odpowiednio w 1991, 2002, 2008 i 2011 r. Zapytano ich wszakże w powszechnych głosowaniach, w refe-

uznania. Powinien tak uczynić, a inni powinni go poprzeć.

Co zaś do zajętych przez Rosję terytoriów formalnie stanowiących część Ukrainy, to należy tam powtórzyć referenda w sprawie autonomii bądź preferowanej przynależności państwowej. Tym razem powinny one odbyć się pod uzgodnioną przez zainteresowane strony kuratelą międzynarodową, a większościowe decyzje ludności zamieszkującej sporne terytoria – łącznie z ludnością, która stamtąd uszła ze względu na

współistnienia Rosji i Ukrainy w Związku Radzieckim.

Wszystkie powyższe myśli to dosłowny (bez przypisów, z dodanymi śródtytułami) fragment mojej książki „Trump 2.0. Rewolucja chorego rozsądku” opublikowanej na początku kwietnia przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Sądzę, że warto je przywołać przy okazji zamieszczenia, jakie wywołało bezpośrednie spotkanie prezydentów Trumpa i Putina w Anchorage na pięknej Alasce. Z tej dramatycznej sytuacji wszyscy chcą wyjść z twarzą. Cóż, tak generalnie i wszystkim to się nie uda, ale udać może się przynajmniej po części – we własnym kraju, w swoich kręgach. Najlepszy na to sposób to zaprzestanie śmiercionośnych walk, ogłoszenie rozejmu i pozostawienie sprawy państwowej przynależności terytoriów ukraińskich zajętych przez Rosję zamieszkującym tam ludziom. Niech oni zadecydują w referendum, w którym państwie chcą żyć. To jedyne sensowne – bo pokojowe i, wydaje się, możliwe do zaakceptowania przez wszystkie zaangażowane strony, w tym zwłaszcza przez Kijów i Moskwę – wyjście z sytuacji bez wyjścia.

Grzegorz W. Kotodko

Rooseveltwi i Churchillowi przez głowę nie mogła przejść myśl, że są na Ukrainie, a nie w Rosji. Dopiero w 1954 r. Krym został przekazany do Ukraińskiej SRR.

rendach, jakiej pragną państwowości. Poza Timorem granicznych problemów tam nadal nie brakuje, ale przynajmniej nie zabijają się masowo. Gdzie indziej politycznej niepodległości wciąż nie osiągnięto, m.in. w północnej części Cypru czy w Somalilandzie. Te sprawy teraz wrócą i wcale się nie zdziwię, jeśli akurat prezydent Trump popchnie do przodu kwestie ich niepodległości oraz międzynarodowego

toczone walki, a która powinna być uprawniona do udziału w głosowaniu – powinny być respektowane przez Rosję i Ukrainę oraz uznane w prawie międzynarodowym. Jeśli takie rozwiązanie udałoby się wynegocjować skonfliktowanym stronom przy udziale Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej, byłaby to wielka sprawa. Jeśli nie, to konflikt zostanie zamrożony i może trwać nawet dłużej niż 70 lat (1922-1992)

LIST

Ciężka choroba

Już nie tylko kraj, ale i świat widzi, że polski dwubiegunowy układ polityczny oznacza spychanie wiarygodności na płaszczyznę starcia ambigwalnego – względny merytoryczny ustępujący miejsca propagandowemu wmawianiu, że coś jest czyjaś zasługą. Celuje w tym zwłaszcza pałacowa świta. Jest tak dobrana, aby wielogłosowym chórem wynosić pod niebiosa osiągnięcia szefa, za każdym razem dyskwalifikując przy okazji rząd. To linia Kaczyńskiego, wymyślona nie pod kątem dbania o dobro Polski, z którejkolwiek strony by ono pochodziło, lecz jako element strategii odzyskania władzy. Polega ona na tym, aby bez ustanku sondować opinię w kręgach prawicowo-parafialno-narodowych i według bieżącej koniunktury nastawiać stery propagandowe. Już teraz widać wyraźnie, że spotkania międzynarodowe na wysokim szczeblu są tak wykorzystywane.

Z pozycji zewnętrznej musi to wyglądać tak: cokolwiek ci zrobię dobrego, wiem, że użyjesz tego do utwierdzenia swojej popularności. Nawet papież został postawiony w niezręcznej sytuacji, i chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo o nic innego w tej audiencji ze strony wizytującego nie chodziło. Inni będą teraz ostrożniejsi. Jaką ukrywaną pogardę musi budzić u Trumpa zachłystywanie się zauszników Nawrockiego, że to

prezydent doznaje większych łask niż jakiś tam premier czy minister spraw zagranicznych! Widzę, że zonglują mną w rozgrywkach wewnętrznych! Tego nikt nie lubi. Tak samo za życia Stalina ubiegano się o pierwszeństwo we względach dyktatora, a on sam miarkował nadmierną, aż po utratę godności, czołobitność.

Idzie to w złą stronę. Głos Polski będzie brzmiał coraz słabiej na arenie międzynarodowej, oceniany nie ze względu na autentyczne walory, szczerość i wiarygodność, ale przez pryzmat roli w politycznej dwubiegunowości na szczytach władzy. Skoro sami politycy licytują się na zasługi i wpływy, tasując pustkę, to dlaczego mamy widzieć to inaczej? Traci się autorytet w Europie, a Trójmorzem pałac jak nie potrafił pokierować, tak tym bardziej nie potrafi teraz – brakuje wiedzy, doświadczenia i poczucia sensu, co partnerzy od razu wyczują.

Nie wystarczy obietnica amerykańskiego gazu ziemnego, ileż książek trzeba przeczytać, żeby zrozumieć Balkany! A zarazem otwiera się pole dla zewnętrznej ingerencji: już my ich, nieświadomych swojej niepowagi, przechytzymy, zawsze to się w historii udawało, więc czemu nie ma się udać teraz?

Nawrocki, politycy wszelkiej maści oraz wyborcy, opamiętajcie się!

Andrzej Lam

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Pogadanka o nieśmiertelności

Coraz niechętniej oglądam polityczne obrazy płynące z Polski i ze świata. Mrocznieje nam krajobraz. Sroży się Rosja, niesie śmierć Ukraińcom i groźbę okupacji. Drony ze wschodu poszybowały do Polski. Nawrocki pieszczący się z Trumpem. Potem wielka parada wojskowa w Chinach, Putin, Kim Dzong Un i Xi Jinping w objęciach. Wzruszająca trójca. Wszystkich ich łączy głęboki humanizm, szczególnie zaś cechuje Kim Dzong Una, który na masową skalę morduje i dręczy obywateli, a Rosji dostarcza mięsa armatniego. Sojusz tej świętej trójcy robi ponure wrażenie. I to zupełne oglupienie ludzi, często mądrych i pełnych empatii, którzy zaczęli kochać Hamas i traktować go jako szlachetny ruch narodowowyzwoleńczy. W świecie, a też u nas, jest coraz podłej. Grozi nam rozmnożenie broni jądrowej i zbliża się katastrofa klimatyczna, w którą powszechnie się nie wierzy. Prezydent USA głęboko nie wierzy, podobnie nasz.

Jako przypis do spotkania w Pekinie, gdzie planowano nowy podział świata, Putin i Xi, nie wiedząc, że mikrofony nie zostały wyłączone, pogadali o nieśmiertelności. Wszyscy dyktatorzy mają problem ze śmiercią, śmierć to słabość i koniec władzy, a oni zasłużyli na wieczność jak egipscy faraonowie. „W przeszłości ludzie rzadko dożywali 70 lat, dziś mówi się, że w tym wieku wciąż jest się dzieckiem”, miał optymistycznie powiedzieć Xi. Putin dodał, że rozwój transplantologii pozwala mieć nadzieję na coraz dłuższe życie. Xi Jinping mówił, że część naukowców przewiduje możliwość wydłużenia życia człowieka nawet do 150 lat. Putin od lat interesuje się badaniami nad długowiecznością. W 2024 r. zlecił utworzenie centrum badawczego, którego celem jest walka ze starzeniem się organizmu. W jakimś sensie sam żyje już od kilku stuleci, powielając politykę carów i komunistów.

Ks. Andrzej Luter przesłał mi wywiad z moim ojcem Mieczysławem Jastrunem, przypomniany na portalu „Więzi”. O Bogu i wierze. Wzruszył mnie. Przy okazji znowu myśl, jak smutno, że ojciec został tak głęboko zapomniany jako pisarz i intelektualista. W tej rozmowie mówił: „To, co jest mi bliskie w chrześcijaństwie, to ewangelie. To jest najważniejsze, do czego człowiek mógł dojść w sferze moralnej. Nie mówię tu nic nowego, ale to mi wystarczy bez transcendencji typu teologicznego. Tak bym to powiedział. Mogę nie wierzyć, że Chrystus był Bogiem, ale wystarczy mi, że był człowiekiem, który stał się Bogiem poprzez swoją nadludzką. To, co mówił Norwid, że aby być człowiekiem, trzeba właściwie być nadludzkim. Chrystus dla mnie jest jak gdyby wskazówką, że człowiek może dojść do boskości. (...) Ewangelie mogę czytać stale”.

Do Warszawy (prosto z paryskiej dzielnicy La Défense) trafiła ponadczterometrowa rzeźba Igora Mitoraja „Tindaro” (nz.). Monumentalna głowa została ustawiona na placu Trzech Krzyży. Czekają na aukcję. Cena wywoławcza 4 mln zł. Mitoraj to jeden z najwybitniejszych polskich artystów drugiej połowy XX w. Mieszkał we Włoszech, w Polsce jest zaledwie kilka jego rzeźb, zwykle małych i w wiejskich miejscach, największa, niezwykle, na rynku w Krakowie, podarowana miastu przez rzeźbiarza. Oczywiście, że to Warszawa powinna kupić rzeźbę i postawić ją na którymś z placów stolicy. Za każdym razem,



gdy gdzieś w świecie widziałem jego rzeźby na ulicy, stawałem jak oniemiały. Pojechałem teraz do miasta, by ją zobaczyć: niezwykle! Od razu organizuje wokół siebie przestrzeń. Mógłby ją też nabyć jakiś multimilioner i podarować miastu.

W tym samym czasie trwa nagonka na ideę odbudowy pałacu Saskiego, że to ruski pałac i głupota jest go rekonstruować. Tak, pałac został przebudowany w latach 1839-1842, w stylu klasycyzmu, według planów Adama Idźkowskiego, na zlecenie rosyjskiego kupca Iwana Skwarcowa (to nie znaczy, że był carski). Nawet jeśli w chwili zniszczenia przez hitlerowców nie był to najpiękniejszy pałac, odtworzony wypełni plac Piłsudskiego i powiększy obszar Starego Miasta. A co lepszego w Warszawie niż Stare Miasto, też przecież odbudowane. Rekonstrukcja Zamku Królewskiego była krytykowana, a trudno sobie teraz wyobrazić Warszawę bez niego. Wzniesienie pałacu Saskiego powinni sfinansować Niemcy, można by tam rozpiąć zbiórkę na ten cel, innych reparacji nie uzyskamy, a taki dar od narodu niemieckiego to rzecz realna – podsuwam pomysł Trzaskowskiemu. ■

Przypominamy felieton Krzysztofa Teodora Toeplitza opublikowany w pierwotnie w „Przeglądzie” 18 września 2005 r., a teraz dostępny także w zbiorze „Dlaczego boli myślenie”.



**KRZYSZTOF
TEODOR
TOEPLITZ**

Godność?

Przewalała się już wielka fala obchodów 25-lecia Solidarności, w trakcie których Polacy poprawiali sobie samopoczucie jako naród, który zmienił losy świata, zabłysnął bohaterstwem i rozsądkiem równocześnie, a nawet był świadkiem, jak określił to prof. Geremek, „historycznego cudu”.

Psucie tego nastroju byłoby głupotą, zwłaszcza wobec pokolenia, które – jak opisał to w „Polityce” Jacek Żakowski – przeżyło wówczas swój „wielki karnawał”. „Za takimi chwilami tęskni się całe życie. Albo się na nie całe życie czeka”, powiada autor.

Lecz po „karnawale” musi przyjść pora na myślenie.

Warto więc przypomnieć, że władze PRL, cokolwiek by o nich sądzić, były na tyle przebiegłe, że uporczywie powstrzymywały się od publikowania lub choćby nawet cytowania

przedstawicieli rządu PRL i PZPR-owskiej monopartii. „Komuna” nie była więc wówczas jedynie czarnym ludem, szczerzącym w stronę strajkującej klasy robotniczej jedynie zęby i karabiny, lecz partnerem poszukującym kompromisu. Że ludzie ci nie robili tego dobrowolnie? Że nieprzymuszeni przez masowy ruch społeczny zwlekali by z przyjęciem postulatów robotniczych przez dziesięciolecia? Ależ oczywiście! Lecz „porozumienia gdańskie” nie były zburzeniem Bastylii, tylko porozumieniem, w którym występował jakiś partner, o którym dzisiaj pragnie się zapomnieć.

lecz także w jakim państwie walczyło. Wynika z niego, że działo się to oczywiście w „państwie niedoboru”, jak określił tak zwany realny socjalizm węgierski ekonomista, ale też w państwie egalitarnym, państwie pełnego zatrudnienia, państwie opiekuńczym. Państwie, które, zdaniem strajkujących robotników, dlatego było państwem złym, że nie było w stanie zapewnić tych dóbr.

Obraz III Rzeczypospolitej jest dziś równie daleki od 21 postulatów Solidarności, jak obraz PRL był daleki od Manifestu PKWN. Dzisiejszy bezrobotny marzy bowiem nie o krótszym czasie pracy, lecz o pracy w ogóle, dzisiejszy robotnik marzy nie o wyższym uposażeniu, lecz o uposażeniu najniższym, za które da się żyć, nie o dłuższych wczasach, lecz o wczasach w ogóle, a o uczeniu dzieci na wyższych uczelniach myśli coraz rzadziej.

To prawda, że obok „karnawałowych” wspominków, produkowanych – jak zauważył to trafnie Ludwik Stomma – przez coraz większą liczbę sierpniowych kombatantów, pojawiło się z okazji jubileuszu „panny S” kilka głosów wartych uwagi. Mam tu na myśli artykuł Adama Michnika W poszukiwaniu straconego sensu („Gazeta Wyborcza”, 27-28 sierpnia 2005), w którym autor pisze, porównując dzisiejszą rzeczywistość polityczną z marzeniami z roku 1980, że „tacy właśnie, poranieni, sfrustrowani, upapranii świętować będziemy 25-lecie rewolucji solidarnościowej”. Mam tu na myśli wywiad Kazimierza Kutza „Nie jadę do Gdańska” („Gazeta Wyborcza”, 26 sierpnia 2005), w którym autor mówi, że „25 lat Solidarności to

Po „karnawale” musi przyjść pora na myślenie.

Manifestu PKWN, będącego symbolicznym zaczątkiem nowego państwa. Działo się tak, ponieważ w Manifestie opisane zostało państwo demokratyczne, parlamentarne, wielopartyjne, oparte na trzech równoprawnych formach własności – państwowej, prywatnej i spółdzielczej. A więc państwo, do którego prawdziwa PRL była niezbyt podobna.

Spadkobiercy tradycji Solidarności z okazji 25-lecia starali się przypominać 21 postulatów strajkowych, które stały się symboliczną podstawą III Rzeczypospolitej. Zabrakło im jednak tej przebiegłości, którą wykazały władze PRL. W istocie bowiem owych 21 postulatów jest obecnie czymś ogromnie niezręcznym, a to z dwóch względów. Po pierwsze, dlatego – o czym milczy się dziś uporczywie – że zostały one zaakceptowane i podpisane przez

Zostawmy jednak ten drobiazg. Lektura 21 postulatów przynosi dziś bowiem znacznie większe zdumienie. To prawda, że mieści się wśród nich zbiór żądań politycznych, a więc wolne związki zawodowe, uwolnienie więźniów politycznych, wolność słowa, msza transmitowana przez radio. O tych postulatach mówi się obecnie dużo i triumfalnie, zapominając, że podstawową treścią dokumentu spisane na desce, która została uznana za zabytek ludzkości, są postulaty socjalne.

Robotnicy żądali więc krótszego tygodnia pracy, wyższych uposażeń, dłuższych urlopów wypoczynkowych, a także „punktów za pochodzenie” dla swoich dzieci przy naborze na wyższe uczelnie, nie mówiąc o kartkach na mięso, aby zapewnić sprawiedliwą jego dystrybucję. Ten wykaz uzmysławia nam nie tylko, o co walczyło,

święto tych, którzy najwięcej zyskali na przemianach – najcwańszych, inteligentnych, tych, co się odnaleźli w polskim drapieżnym kapitalizmie. Ci, którzy harowali na Solidarność, najwięcej stracili na zmianach”. Przypomniano także, tym razem w debacie międzynarodowej, dowcip byłego brytyjskiego premiera Harolda Macmillana, który nawiązując do rozmodlonej religijności sierpniowych strajków 1980 r., miał ponoć powiedzieć, że „miło jest wreszcie widzieć klasę robotniczą na kolanach”.

Wszystkie te jednak, nawet gorzkie, rozważania o „straconym sensie” wydarzeń sprzed 25 lat obracają się w sferze moralnej. Michnik ubolewa, że oto etos tamtych dni gubi się dzisiaj w ubeckich teczках i obrzydliwych porachunkach w obozie ówczesnych zwycięzców. Żakowski wspomina, że już wówczas, w czasach „karnawału”, nie brakowało podobnych akcentów. Nawet Jadwiga Staniszkis, tak wyczulona na biznesowo-aferyalny charakter wielu zdarzeń, mówi, że w czasach

Solidarności odbudowano ludzką godność. Nikt jednak nie mówi prostej prawdy, że zmieniono wówczas ustroj społeczno-gospodarczy Polski. Że ćwierć wieku temu klasa robotnicza przyczyniła się do wprowadzenia kapitalizmu, a więc systemu społeczno-gospodarczego, który przy wielu swoich pragmatycznych zaletach zamienił tę klasę po prostu w siłę

podstawowe paradygmaty życia społecznego. W kapitalizmie liczy się nie solidarność, ale przewaga jednych nad drugimi, osiągnięta w konkurencyjnej walce społecznej. Liczy się nie cnota ubóstwa, lecz atrybut bogactwa. Wolność jednostek nie jest wartością daną lub należną każdemu, lecz dobrem, które jednostka kupuje sobie za zdobytą pozycję majątkową.

O postulatach mówi się dużo i triumfalnie, zapominając, że treścią dokumentu są postulaty socjalne.

robotczą. Jest to zaś fakt podstawowy, ciągle omijany przez rocznicowe refleksje.

Można się wzruszać minionym czasem, można, idealizując go, ubolewać nad jego utratą. Myślę jednak, że prawdziwe zrozumienie tych faktów możliwe będzie tylko wówczas, kiedy zauważymy, że wraz ze zmianą ustroju, który przyjęliśmy zresztą w jego najgorszej, pierwotnej wręcz formie, zmieniły się także

Także godność, najwyższa wartość, jaką rzekomo odzyskało nasze społeczeństwo, zgina kark, gdy chodzi o chleb.

Wszystko inne, nad czym ubolewają krytyczni komentatorzy sierpniowej rocznicy, jest pochodną zmienionego paradygmatu społecznego. Połączenie tej zmiany z egalitarną, braterską legendą sprzed ćwierćwiecza wymaga nie lada wysiłku. I chyba nie może się już udać. ■

NOWA KSIĄŻKA „PRZEGLĄDU”



Inteligencja milczy w Polsce, bo zapomniała o swoim obowiązku nie tylko protestu, ale i twórczości opartej na wiedzy, tolerancji, tradycji rozumu i oświecenia.

KT

Pokazał, że ironia stać się może najwyższą formą odwagi i źródłem siły pozwalającej przewracać świat do góry nogami.

Prof. Stanisław Filipowicz

KT to fenomen. Był odrębny. Człowiek kultury najwyższej próby. Modelowy wręcz inteligent.

Jerzy Domański

59 zł

E-BOOK 29,90 zł

PREMIERA



Zamów na sklep.tygodnikprzeгляд.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Gambit królowej

Melania Trump to jedna z najbardziej nietypowych i niekonwencjonalnych pierwszych dam w historii Ameryki

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Gdy w czerwcu 2019 r. Donald Trump szykował się, by oficjalnie rozpocząć kampanię reelekcyjną, stacja CNN wyemitowała reportaż „Kobieta zagadka: Melania Trump”. Występujący w nim eksperci byli zgodni: Melania Trump to jedna z najbardziej nietypowych i niekonwencjonalnych pierwszych dam w historii Ameryki.

Bynajmniej nie dlatego, że jest pierwszą naturalizowaną i zaledwie drugą zagraniczną FLOTUS (First Lady of the United States) – pierwszą była urodzona w Anglii Louisa Adams, żona prezydenta Quincy’ego Adamsa, który urząd sprawował w latach 1825-1829. Fenomen Melanii polega na tym, że jako pierwsza dama trzymała się z daleka nie tylko od polityki, ale i od własnego męża.

Z taką samą determinacją nie odgrywała też żadnej roli tradycyjnie przypisywanej kobietom w jej położeniu: nie matkowała narodowi ani nie wykorzystywała swojej pozycji do podbijania zainteresowania społecznego wybranymi problemami.

W epoce Trumpa 2.0 Melania zdaje się robić wszystko, by udowodnić Amerykanom, że potrafi być jeszcze bardziej enigmatyczna i niekonwencjonalna niż do tej pory.

Mimo że w 2018 r. powołała do życia inicjatywę „Be Best” przeciw cyberprzemocy w szkołach, nie jeździła z jej programem po kraju, nie nagłaśniała jej w mediach, nie urządzała konferencji z udziałem liderów organizacji zajmujących się tą kwestią. Za swoje wystąpienia publiczne, jeśli już do nich dochodziło, pobierała sowe opłaty i raczej nie robiła od tego



Melania Trump otwiera drugą sesję zespołu Białego Domu ds. edukacji AI. Waszyngton, 4 września 2025 r.

wyjątków. W sferze życia publicznego Amerykanie odnotowywali jej obecność głównie przy okazji świąt oraz większych uroczystości i wizyt państwowych, szczególnie zagranicznych, bo Melania lubiła olśnić towarzystwo zjawiskową kreacją.

miejsce w Białym Domu może być tylko dla jednej z nich.

Mimo wszystko, jak wynikało z konkluzji reportażu, nie można wykluczyć, że Melania po prostu działa zakulisowo i dopiero w przyszłości dowiemy się, jaki był jej faktyczny wpływ na kształtowanie polityki męża, a co za tym idzie i świata. Na pewno jest osobą, której po mistrzowsku udaje się stawiać opór rzeczywistości, w jakiej żyjemy, i zachowywać pełną kontrolę nad swoim wizerunkiem oraz nad tym, kiedy i jak mają być na nią kierowane światła reflektorów.

Sześć lat później...

...śmiało można powiedzieć, że gdyby CNN teraz wyemitowała tamten reportaż, mało kto zorientowałby się, że materiał nie dotyczy czasów obecnych. Jeśli coś się zmieniło, to tylko tyle, że w epoce Trumpa 2.0

Luźny grafik tłumaczyła obowiązkami macierzyńskimi. W dniu pierwszego zaprzysiężenia ojca na prezydenta Barron Trump miał niecałe 11 lat i był w piątej klasie podstawówki. Ponieważ Trump swoją główną doradczynią uczynił w 2017 r. córkę Iwanę, popularność zyskał argument, że macocha i pasierbica nigdy się nie lubiły, dlatego



Prezydent Trump z pierwszą damą podczas obchodów Dnia Niepodległości. Waszyngton, 4 lipca 2025 r.

Melania zdaje się robić wszystko, by udowodnić Amerykanom, że potrafi być jeszcze bardziej enigmatyczna i niekonwencjonalna niż do tej pory. Jedynym wywiadem, jakiego udzieliła od stycznia tego roku, była kilkunastominutowa rozmowa przeprowadzona w programie „Fox & Friends”, promocja filmu dokumentalnego o jej życiu, realizowanego od grudnia ub.r. przez studio filmowe Amazona – projektu, za który zgarnęła 40 mln dol.

Do Białego Domu tym razem nawet się nie wprowadziła. Zastąpiła się studiami syna na Uniwersytecie Nowego Jorku i pozostała w swoim apartamencie w Trump Tower. Ci, którzy liczą, donoszą, że przez pierwsze 200 dni drugiej kadencji Donalda Melania spędziła w Waszyngtonie niecałe trzy tygodnie, do Mar-a-Lago również zbyt często nie zagląda, a u boku męża błysnęła zaledwie kilkanaście razy. Opustoszałe wschodnie skrzydło Białego Domu, gdzie znajdują się pomieszczenia przeznaczone na biura sztabu pierwszych dam, ekipy budowlane już od jakiegoś czasu przerabiają na salę balową. Nie wiadomo nawet dokładnie, ile osób Melania zatrudnia jako FLOTUS. Wgląd w księgowość

Białego Domu pozwala sądzić, że to góra pięć osób zatrudnionych w niepełnym wymiarze godzin. Dla porównania: Jill Biden i Michelle Obama zatrudniały na cały etat 25 osób, Laura Bush, Rosalynn Carter i Jackie Kennedy – 18, Hillary Clinton i Barbara Bush po 15.

Zwiastuny gambitu

16 sierpnia, dzień po spotkaniu Trumpa z Putinem w Anchorage na

Alasce, świat obiegnęła jednak elektryzująca wiadomość. Oto podczas spotkania Trump wręczył rosyjskiemu dyktatorowi list od swojej żony. Nie mówiąc niczego wprost, pisząc jedynie o odpowiedzialności dorosłych za to, by nie odbierać dzieciom nadziei na przyszłość i lepszy świat, Melania jednoznacznie odnosiła się do kwestii wojny w Ukrainie i apelowała o jej zakończenie.

Czyżby pierwsza dama zdecydowała się stanąć po właściwej stronie? Czy jej milczenie jest tylko zastoną dymną, a ona angażuje się od dawna, wywierając wpływ na politykę męża, tak jak sugerowali w 2019 r. dziennikarze CNN? Miesiąc wcześniej Donald Trump, rozmawiając w Gabinetie Ovalnym z szefem NATO Markiem Ruttem, zaprezentował istotną zmianę kursu, podejrzewając, że Putin nie dąży jednak do zakończenia wojny. Trump tak uzasadniał swoją nową optykę: „Wracam do domu i mówię pierwszej damie: wiesz, rozmawiałem dziś z Władimirem. To była wspaniała rozmowa. A ona na to: naprawdę? Właśnie zbombardował kolejne miasto”.

Po wydarzeniach w Anchorage Melania odmówiła jakichkolwiek komentarzy. Ale w Ameryce zawrzało. Tygodnik opinii „The Week” już 16 lipca w artykule „Interwencja Melanii Trump w sprawie Ukrainy” („Melania Trump’s intervention on Ukraine”) donosił, że to dzięki żonie Trump wznowił na początku lipca ▶



Porozrywane Stany

Błyskotliwa analiza „amerykańskiej duszy” i politycznych wyborów

Eliza Sarnacka-Mahoney,
dziennikarka i pisarka
związana z Polską i USA



58 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nieregistrowanym Poczta Polska.

► program dostarczania Ukrainie broń, wstrzymany po dramatycznym spięciu z Zełenskim, do którego doszło w Białym Domu pod koniec lutego. Tuż przed szczytem na Alasce w amerykańskim wydaniu brytyjskiego dziennika „The Guardian” można było przeczytać: „To z nią trzeba się liczyć. Rosnący wpływ Melanii na Donalda Trumpa” („She’s the one that matters. The growing influence of Melania on Donald Trump”, 8 sierpnia 2025 r.).

Dwa tygodnie później CNN wyemitowała zaś specjalny reportaż „Prywatnie wpływowa, publicznie nieobecna, w tej kadencji Melania Trump uważnie wybiera, w co chce się zaangażować” („Privately influential but publicly absent, Melania Trump is picking and choosing her moments this term”, 23 sierpnia 2025 r.). Eksperti wystąpili w nim z rewelacją, że Melania konsekwentnie przekierowuje uwagę męża na sprawy dotyczące dzieci. Dowodem na to jest nie tylko jej list do Putina, ale także inauguracja ledwie kilka dni później nowego programu edukacyjnego „Presidential AI Challenge”, dotyczącego przygotowania dzieci na wyzwania związane z rozwojem sztucznej inteligencji i do odpowiedzialnego korzystania z technologii.

Gambit od podszewki

Zaangażowanie Melanii na rzecz dzieci, zwłaszcza tych, które cierpią przez wojnę, jest rzeczą chwalebną i powinniśmy jej za to dziękować, trzymając się jednocześnie nadziei, że w przeciwieństwie do męża nie zmieni zdania i pozostanie orędowniczką ukraińskiej racji stanu w Waszyngtonie. Zanim jednak otrąbimy zwycięstwo, warto zadać sobie kilka

Przez pierwsze 200 dni drugiej kadencji Donalda Melania spędziła w Waszyngtonie niecałe trzy tygodnie.

pytań i spojrzeć na szerszy kontekst wydarzeń wstrząsających obecnie Białym Domem.

Pierwsza i najważniejsza rzecz to afera wokół tzw. listy Epsteina, opisywana na łamach „Przeglądu” kilka tygodni temu. Mimo szeroko zakrojonej akcji z wykorzystaniem absolutnie wszystkich chwytów dotąd sprawdzających się w świecie Trumpa – a więc brutalnych ataków na przeciwników w mediach, prób bagatelizowania sprawy i przekierowywania uwagi publicznej na inne rzeczy – skandal nie przycicha. Demokraci właśnie rozpoczęli akcję ujawniania materiałów zebranych w czasie procesu Epsteina.

I okazało się, że sławetny „list urodzinowy” Trumpa do Epsteina jak najbardziej istnieje. Trump miesiącami zarzekał się, że to wytwór chorych umysłów jego wrogów, i nawet pozwał Ruperta Murdocha, właściciela „The Wall Street Journal”, który to dziennik jako pierwszy opisał temat. Czy okaże się, że „nieistniejąca” lista też jednak istnieje? Do tego z figurującym na niej nazwiskiem urzędującego prezydenta?

Rzecz druga to sypiący się wizerunek Trumpa jako politycznego cudotwórcy, przed którym drżą narody. Nawet w środowisku MAGA coraz trudniej znaleźć argumenty za tym, że to Trump rozgrywa Putina, a nie na odwrót. Wybrzmiewają za to głosy, że Trump jest zakładnikiem Putina, a relacje obu panów definiują jakieś niewygodne, prywatne układy, w tym być może informacje na temat przyjaźni obojga państwa Trumpów z Epsteinem, którymi dysponuje Putin.

Jeśli tak jest w istocie i Trump ma ograniczone pole manewru, nie dziwią coraz bardziej rozpaczliwe próby wyjścia z sytuacji, w której niechybnie czeka go utrata twarzy. Jak mógłby ją ocalić? Przekuwając rozczarowanie MAGA jego widoczną nieudolnością w gniew skierowany wyłącznie przeciw Putinowi. To z kolei najłatwiej osiągnie, grając cierpieniem dzieci. Dlaczego? Bo sensem istnienia ruchu MAGA jest ich dobrostan i tępienie pedofilii.

Wróćmy do obudzonej w Melanii aktywistki społecznej. Czy jej troska o małych Ukraińców, na których Putin zrzuca bomby, nadal wygląda na niezwiązaną z problemami męża? Czy przypadkowy jest także fakt, że gdy Trump zaczyna publicznie przywoływać rozmowy z żoną o Putinie, podkreślając jednocześnie, jak wspaniałą matką jest Melania, w kręgach konserwatywnych influencerów, dotąd entuzjastycznie powtarzających rosyjską dezinformację o wojnie, też dokonuje się zmiana? W czwartym roku

BAJIT CHADAŚZ
SPOTKANIA Z KULTURĄ ŻYDOWSKĄ
(1996-2025)

DZIEDZICTWO, PAMIĘĆ
WSPÓLNOTA OBYWATELSKA
WRZESIEŃ - LISTOPAD 2025



32 LATA
CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ
(1993-2025)

31-058 Kraków, ul. Meiselsa 17,
tel. (12) 430-64-49, www.judaica.pl
facebook.com/judaica.krakow info1@judaica.pl

Współorganizator programu Bajit Chadasz:
Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Urzędu Miasta Krakowa

Sponsorzy:













Patronat medialny:





Zbiór program:  Współopracowanie: 

walk amerykańska prawica „odkrywa ze zgrozą”, że Rosja systemowo porzywa i rusefikuje ukraińskie dzieci. Larry Provost, popularny prawicowy komentator i trumpista współpracujący z konserwatywnym think tankiem Hoover Institution, deklaruje wręcz, że to wystarczający powód, by USA całkowicie odwróciły się od Rosji, potępiły Putina i z całych sił wsparły Ukrainę („Should the USA support Ukraine”, podcast „History in the Making”, 10 lipca 2025 r.).

Rola Melanii w majstersztyku zwanym „utrwalić w MAGA pozytywny wizerunek Trumpa żeby nie wiem co” jest szczególna. Podziw i szacunek dla niej to przecież fala pozytywnych emocji, w których Donald się obmyje. I o to chodzi.

Gambit „grifterki”

Jeśli Melania pozwoli nam kiedyś poznać się bliżej, może dostarczy dowodów na to, że jej aktywizm płynie z serca. Na razie jednak musimy się zadowolić tym, co mamy. A mamy – na jej życzenie – niewiele. Wydana w zeszłym roku autobiografia to bukoliki stworzone na potrzeby

Wolffa (autora kilku biografii Donalda Trumpa), głoszącego, że to znajomy Epsteina przedstawił Melanię Trumpowi, jak i jej przyjaciółki, w tym Stephanie Wolkoff, autorkę książki o ich znajomości, a nawet przyjaźni, „Melania and Me”.

Istotny dla rozmowy o jej ewentualnych ambicjach społecznych i politycznych jest w końcu też fakt, że nie utrzymuje ona właściwie żadnych kontaktów z rodzinną Słowenią. I to bynajmniej nie z braku chęci ze strony Słowenii. Ten fenomen opisała niedawno słoweńska pisarka i publicystka Ana Schnabl w eseju dla „Guardiana” zatytułowanym „Melania Trump nie wykazuje żadnego zainteresowania swoją ojczyzną – jestem jej za to wdzięczna” („Melania Trump shows no interest for her homeland Slovenia – for that I am thankful”, 18 marca 2025 r.).

Rozważań na temat powodu interwencji Melanii w obronie słabszych i cierpiących nie można nie zakończyć pytaniem, dlaczego – jeśli jej list powstał z potrzeby serca – nie zajęła dotąd oficjalnego stanowiska ani w sprawie Ukrainy, ani – skoro już jesteśmy przy temacie cierpienia

Gambit a MAGA

W ostatecznym rozliczeniu, jeśli gambit Melanii rzeczywiście jest tylko gambitem, nie ma znaczenia, czy działa ona z własnej woli, czy pod dyktando męża. Jej zadaniem to zmanipulować MAGA, a zdaniem ekspertów ma na to duże szanse, bo prawicowa Ameryka pozostaje nią zauroczona. Jak bardzo, najlepiej świadczy fakt, że ta sympatia pozostała nienaruszona nawet wtedy, gdy Melania przedstawiła się w autobiografii jako osoba pro-choice.

Fenomen ten wyjaśnia prof. Katherine Jellison z Uniwersytetu Ohio, prowadząca wykłady z zakresu „First Ladies Studies”: – Oddziaływanie Melanii Trump na bazę MAGA jest dwojakie. Po pierwsze, wydaje się ona antytezą ostatnich pierwszych dam demokratów, takich jak Hillary Clinton, Michelle Obama czy Jill Biden, które postrzegano jako zbyt zaangażowane politycznie karierowiczki, za ambitne i sięgające za daleko. W przeciwieństwie do nich, szczególnie w drugiej kadencji, Melania Trump przedstawia się jedynie jako żona i matka. Jest wiarygodna, bo nie występowała wcześniej z żadną znaczącą kampanią reform i generalnie pozostawała w cieniu męża i wydarzeń w Białym Domu. Po drugie, najważniejszą cechą bazy MAGA jest lojalność wobec Donalda Trumpa. Ci ludzie na jego życzenie otoczyliby wciąż każdą kobietą, która byłaby jego żoną, niezależnie od tego, jaką byłaby osobą i co by sobą reprezentowała.

Podobno ludzie się zmieniają. Podobno zdolni są do tego szczególnie wtedy, gdy zaistnieją okoliczności pozwalające im poznać samych siebie z innej strony. Czy Melania Trump jest zdolna do takiej zmiany? Czy wbrew temu, co o niej wiemy, jednak nas zaskoczy i zdecyduje się wykorzystać swoją popularność nie tylko do krycia przestępstw męża? Czy jej gambit może, mimo wszystko, pchnąć ją na ścieżkę działań na rzecz realnej zmiany na świecie? Podobno nadzieja też umiera ostatnia.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Czyżby pierwsza dama zdecydowała się stanąć po właściwej stronie?

trzeciej kampanii prezydenckiej Donalda, z innych zaś dzieł, zwłaszcza takich jak „The Art Of Her Deal. The Untold Story of Melania Trump” Mary Jordan (2020), dowiadujemy się głównie tego, że zawsze była osobą wyjątkowo ambitną i zdeterminowaną. Z tym tylko, że zorientowaną nie na ulepszanie świata, a raczej na luksusowe życie w USA. Pomysł, by Donald startował w wyborach prezydenckich, też ponoć wspierała już 20 lat temu. Znowu jednak nie do końca mamy jasność: czy dlatego, że sama chciała zostać pierwszą damą, czy na zasadzie schlebiana mu – a to zachowanie typowe dla każdej „grifterki” (naciągaczki), za jaką niestety uważają Melanię ci, którzy znają ją bliżej.

Mamy w tym gronie zarówno legendę amerykańskiego dziennikarstwa i literatury faktu Michaela

– Gazy, gdzie prócz bomb dzieci zabija głód. Ana Navarro, dziennikarka współprowadząca w stacji ABC popularny program publicystyczny „The View”, nazwała spoteczne przebudzenie Melanii „taką hipokryzją, że aż trudno uwierzyć”. „Może powinna się odwrócić i powiedzieć dokładnie to samo swojemu mężowi, bo w Ameryce też są dzieci, które płaczą, cierpią, idą spać w strachu, wracają do domów opuszczonych i pustych, nie wiedząc, czy dostaną następny posiłek, a wszystko z powodu działań jej męża!”, apelowała do Melanii na swoim koncie instagramowym pod koniec sierpnia.

I wisienka na torcie: gdy Trump ogłosił w 2023 r. ponowny start w wyborach prezydenckich, Melania nie raz, lecz dwa razy przeniegocjowywała swoją intercyzę małżeńską.

Nadzieja na zmianę czy groźba chaosu?

Francja stoi w obliczu bezprecedensowego kryzysu politycznego

Sarah Bomba

Korespondencja z Francji

Pogłębianie się niestabilności politycznej nad Sekwaną budzi niepokój. Prezydent Emmanuel Macron w czerwcu ub.r. rozwiązał Zgromadzenie Narodowe, licząc na silniejszą większość, ale efekt tego ruchu był zupełnie inny – decyzja zapoczątkowała sekwencję działań, które przyczyniły się do zdestabilizowania sytuacji na niespotykaną skalę. Po długo wyczekiwanym zaprzysiężeniu premiera rządu mniejszościowego okazało się, że był to najbardziej efemeryczny rząd V Republiki – przetrwał nieco ponad trzy miesiące. Później nastąpiło zaprzysiężenie premiera Bayrou, którego mimo kilku wcześniejszych sukcesów politycznych często określano mianem „wójta z aspiracjami”.

Dziś na skutek liberalnej polityki byłego już rządu obywatele Francji borykają się z ogromnymi problemami, przede wszystkim natury egzystencjalnej. Ubóstwo osiągnęło najwyższy poziom od 30 lat, instytucje publiczne są niewydolne, kadra nauczycielska traci pracę, a nad systemem zdrowia zawisła groźba prywatyzacji. 10 września Francuzi zamienili swoje niezadowolenie. Były to prawdopodobnie największe od czasu żółtych kamizelek protesty społeczne.

Mocny podział w Zgromadzeniu Narodowym od miesięcy destabilizuje kraj. W obliczu pogarszającej się sytuacji geopolitycznej, pogłębiających się konfliktów w Ukrainie i na Bliskim Wschodzie oraz nadużyć ze strony Stanów Zjednoczonych kapitulacja strategiczna Francji, jej militarne wycofanie się wynikające



Jednym z miast, gdzie ruch „Bloquons tout” (zablokujmy wszystko) protestował przeciwko rządowi i nowemu premierowi, była Tuluza. 10 września 2025 r.

z potrzeby koncentracji na problemach wewnętrznych, może zwiastować kolejne osłabienie zjednoczonej Europy i odbić się także na Polsce. Aby jednak zrozumieć ten proces, należy odnieść się do wydarzeń, które do kryzysu doprowadziły.

Droga do upadku

W grudniu 2024 r. prezydent Macron powołał François Bayrou na premiera rządu mniejszościowego, który od początku miał kłopoty z uzyskaniem trwałej większości. Przy każdej niewygodnej ustawie premier może uruchomić konstytucyjną procedurę opisaną w art. 49 par. 3, pozwalającą na pominięcie parlamentu. Bayrou uniknął dzięki niej kryzysu na zaledwie kilka miesięcy, narzucając drastyczne cięcia budżetowe, ale sprzeciwiając się opodatkowaniu

najbogatszych. Były już premier podczas dyskusji na temat projektu ustawy Zucmana, przewidującej nałożenie na najbogatszych 2% podatku od fortuny, oburzał się, podkreślając, że preferuje inne sposoby redukcji deficytu, np. zamrożenie świadczeń socjalnych czy optymalizację wydatków publicznych zamiast „nakładania ciężaru wyłącznie na najbogatszych”.

Latem tego roku Bayrou przedstawił plan oszczędnościowy na rok 2026, przewidujący ok. 44 mld euro cięć i blokadę wydatków, w tym zamrożenie płac w sektorze publicznym, ograniczenie świadczeń socjalnych i, co może było najbardziej kontrowersyjne, likwidację dwóch dni świątecznych: Poniedziałku Wielkanocnego i Dnia Zwycięstwa. Według obozu rządzącego taka decyzja miała przynieść budżetowi państwa 4,2 mld euro dodatkowych wpływów. Te dwa

dni, których likwidacja zmniejszyłaby liczbę dni świątecznych we Francji do dziewięciu, dołączyłoby do już wcześniej przekształconego poniedziałku Zesłania Ducha Świętego w tzw. dzień solidarności (journée de solidarité). To specjalny dzień pracy wprowadzony w 2004 r. po fali upałów z 2003 r., kiedy wiele starszych osób z braku opieki zmarło na skutek gorąca. Pracownicy nie dostają za ten dzień wynagrodzenia, pracodawcy zaś płacą specjalną składkę (Contribution solidarité autonomie), która trafia do funduszu wspierającego działania na rzecz osób starszych i z niepełnosprawnościami.

„Pracownicy nie otrzymają dodatkowego wynagrodzenia za te nowe godziny pracy”, podkreślał rząd w dokumencie programowym przesłanym na początku sierpnia organizacjom związkowym. „W zamian pracodawcy z sektora prywatnego uiszczą składkę, która zasili budżet państwa”, dodano, nie precyzując jednak, jaka będzie jej wysokość. O ile w przypadku osób starszych rozwiązanie to wydaje się rzeczywiście solidarnościowe, o tyle „solidaryzowanie się z budżetem państwa” ma zupełnie inny wydźwięk.

Ograniczanie praw pracowniczych w imię oszczędności budżetowych okazało się politycznie ryzykowne i trudne do obrony. 8 września 2025 r. Zgromadzenie Narodowe przeprowadziło głosowanie nad wotum zaufania dla rządu François Bayrou, które zakończyło się wynikiem bezprecedensowym w najnowszej historii politycznej Francji: 364 posłów opowiedziało się przeciw, 194 zagłosowało za, a 15 wstrzymało się od głosu. Był to pierwszy przypadek w dziejach V Republiki, gdy gabinet został obalony w wyniku takiego głosowania. W konsekwencji Bayrou, zgodnie z obowiązującą procedurą konstytucyjną, złożył formalną dymisję na ręce prezydenta Macrona.

Co istotne, jeszcze przed tymi wydarzeniami ogłoszono, że na 10 września planowana jest ogólnokrajowa mobilizacja, podczas której ruch „Bloquons tout” (zablokujmy wszystko) ma zmanifestować sprzeciw wobec planowanych cięć i ograniczeń socjalnych, przedstawiając je

jako atak na elementarne prawa pracownicze i fundamenty solidarności społecznej.

Mobilizacja generalna i jej skutki

We Francji od lat obserwuje się stopniową prywatyzację poszczególnych gałęzi sektora publicznego, czego następstwem jest rosnące ubóstwo. Tymczasem fortuny najbogatszych nie przestają się powiększać. 10 września Francuzi chcieli przede wszystkim wyrazić przekonanie, że spłata długu publicznego jest powinnością nie ludzi pracy, lecz tych, którzy latami konsekwentnie wymigują się od płacenia podatków.

Obok wezwań do blokowania dróg i zakładów pracy pojawił się w mediach społecznościowych pomysł rezygnacji z kart płatniczych i płacenia

We Francji od lat obserwuje się stopniową prywatyzację poszczególnych gałęzi sektora publicznego, czego następstwem jest rosnące ubóstwo.

wyłącznie gotówką. Jeśli 10 mln Francuzów zastosowałoby się do tego przez miesiąc, banki i pośrednicy finansowi straciliby – jak ogłaszają promotorzy inicjatywy – ponad 15 mld euro prowizji. Niektóre restauracje posuwają się nawet o krok dalej, oferując 10% zniżki tym, którzy płacą gotówką. Praktyka ta jest legalna, jak wskazuje rządowy portal Légifrance, pod warunkiem że informacja o tym jest publicznie podana.

Ta formalnie obywatelskiego oporu szybko przerodziła się w bardziej bezpośrednie starcia na ulicach. W ubiegłą środę doszło do zamieszek w największych miastach Francji. W całym kraju zebrano się ok. 200 tys. protestujących, 675 osób zatrzymano, a 549 aresztowano. Władze postawiły w stan gotowości ponad 80 tys. funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa, którzy usuwali barykady, a w kilku miejscach użyli armatek wodnych przeciwko demonstrującym.

Gdy trwały manifestacje, prezydent Macron mianował premierem ministra obrony narodowej Sébastiena Lecornu. Jest on najbardziej prawicowym ministrem w „obozie

macronii”, co potwierdza starą zasadę, że liberałowie prędzej oddadzą władzę faszystom, niż pozwolą na prospołeczne reformy.

Brak stabilności politycznej nie jest tylko wewnętrznym problemem Francji – dotyczy w pewnych aspektach całej Europy. Kryzys rządowy zwiększa ryzyko utraty stabilności finansowej – już w dniu głosowania rynki obligacji oceniły Francję jako kraj bardziej ryzykowny. Ponadto wydarzenia te mogą osłabić znaczenie Francji w Unii Europejskiej czy NATO, a tym samym zwiększyć rolę hegemonu amerykańskiego.

Dzień po upadku francuskiego rządu rosyjskie drony naruszyły przestrzeń powietrzną Polski. Polaków szczególnie powinna martwić niestabilność Francji, będącej największą potęgą militarną w Europie.

Dla Polski powinien to być jednak sygnał do wzmacniania współpracy z Paryżem, a nie pogłębiania serwilizmu wobec Stanów Zjednoczonych, które same przechodzą proces radykalizacji politycznej.

Niestabilność wewnętrzna Francji przekłada się zarówno na politykę międzynarodową, jak i na nastroje społeczne. Obecna sytuacja powinna być przestrożą dla obywateli państw byłego bloku wschodniego, które zdają się zachłystywać „wolnością ekonomiczną” po 1989 r. i nie dostrzegać zagrożeń wynikających z systemu kapitalistycznego.

Warto zwrócić uwagę na symboliczny wymiar kryzysu, z jakim zmaga się Francja. Pomysł odbierania dni wolnych budzi szczególne emocje – dla części Francuzów to sygnał, że rząd wybierze każdą formę oszczędności, nawet kosztem komfortu życia obywateli.

Choć Polska jest w zupełnie innej sytuacji gospodarczej i ma własną walutę, nadużycia ze strony najbogatszych i brak krytycyzmu rządzących wobec ideologii neoliberalnej i tutaj mogą okazać się zgubne. ■

Namibia jest kobietą

Rządy prezydent Netumbo Nandi-Ndaitwah

Piotr Czarnyszewicz

21 marca 2025 r. Namibia świętowała 35 lat państwowości. Była kolonia niemiecka (Deutsch-Südwestafrika) to pustynna kolebka pierwszych populacji ludzkich w Afryce, czyli ludów Khoi, San, Damara i Nama. Znana również jako Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia oraz South-West Africa. Od stuleci krzyżowały się tam wpływy wielu obcych państw i grup, poczynając od napływowych plemion Bantu z Afryki Środkowej (XIV w.), które utworzyły królestwa na terenach północnej Namibii. Przełom XIX i XX w. to kolonizacja niemiecka. Od 1915 r. – okupacja wojsk Związku Południowej Afryki, będącego w stanie wojny z Niemcami. Od 1920 r. kraj stanowił mandat Ligi Narodów powierzony ZPA, późniejszej RPA. Na terenach oddanych pod „opiekę mandatu dekolonizacyjnego” ustanowiony został system apartheidu, z którym walczyła i na którym wyrosła w 1990 r. niepodległa Namibia. Cztery lata wcześniej niż nowa demokratyczna RPA pod przywództwem Nelsona Mandeli.

72-letnia Netumbo Nandi-Ndaitwah, pierwsza kobieta zaprzysiężona na głowę państwa, objęła urząd prezydencki po ciężkich bojach politycznych, nie tyle z opozycją, która w Namibii jest słaba i rozczłonkowana, ile wewnątrz macierzystej partii SWAPO, rządzącej nieprzerwanie od 1990 r. Meme Netumbo (Pani Netumbo), zwana NNN, cierpliwie czekała na swój moment. Mimo silnych

72-letnia Netumbo Nandi-Ndaitwah objęła urząd prezydencki po ciężkich bojach politycznych.



sprzeciwów wewnątrzpartyjnych frakcji skutecznie przeprowadziła swoją kampanię pod hasłem „One Namibia, One Nation” (Jedna Namibia, jeden naród). Nie miała łatwo z powodu animozji plemiennych, osobistych ambicji liderów oraz różnych wizji rządzenia krajem.

Ciekawy jest jej życiorys. Urodzona w 1952 r. w Onamutai w regionie Oshana na północy kraju, jako jedna z trzynastorga dzieci pastora anglikańskiego, NNN od najmłodszych lat była aktywna politycznie. Jako

publicznej (1987). Na Keele University studiowała stosunki międzynarodowe i dyplomację (1989). W polityce reprezentuje doktrynę SWAPO: jedna partia – jeden kraj. Niestety, rzeczywistość oddala się od tej wizji. W dużej mierze z powodu korupcyjnych praktyk głęboko zakorzenionych w sercu systemu. I właśnie walka z korupcją była jednym z głównych elementów kampanii wyborczej Netumbo Nandi-Ndaitwah. To z nią wiązały się nadzieje wielu wyborców, w tym młodzieży.

**Prezydent Netumbo objęła urząd w strugach deszczu.
W nękanym suszą kraju uznaje się to za błogosławieństwo.**

liderka Ligi Młodzieżowej SWAPO w regionie prowadziła kampanie przeciw publicznemu biczowaniu oponentów politycznych przez władzę apartheidu.

W 1973 r., w wieku 17 lat, została uwięziona na kilka miesięcy. Na emigracji, w latach 1978-1980, była członkinią komitetu centralnego SWAPO i przedstawicielką ruchu oporu w Lusace (Zambia), a następnie w latach 1980-1986 reprezentantką SWAPO na Wschodnią Afrykę, w Dar es Salaam.

Meme Netumbo kształciła się m.in. w Glasgow College of Technology, ma dyplom z administracji

W trakcie bogatej kariery politycznej obecna prezydent sprawowała wiele funkcji, w tym minister ds. kobiet i dzieci, ds. informacji, ds. środowiska i turystyki oraz spraw zagranicznych. Była również wicepremierką. Gdy zmarł prezydent Hage Geingob, została mianowana na wiceprezydentkę kraju.

W 1983 r. mężem Netumbo został Epaphras Denga Ndaitwah, wówczas jeden z liderów zbrojnego ramienia SWAPO – PLAN (People's Liberation Army of Namibia). Emerytowany już gen. Ndaitwah dowodził Siłami Obronnymi Namibii od 2011 do 2013 r., gdy przeszedł w stan

spoczynku. Dla wielu Namibijczyków, w tym młodzieży, obecna prezydent jest nie tylko matką, ale i babcią narodu. To o tyle ważne, że w Namibii babcie wychowują wnuki wielu zapracowanych lub młodocianych matek i często nieobecnych ojców.

Prezydent Netumbo objęła urząd w strugach deszczu, co w pustynnym, nękanym suszą kraju uznaje się za błogosławieństwo. Według Namibijczyków ulewy zmywały też pokłady negatywnych wspomnień po dwóch niedawno zmarłych poprzednikach. W lutym 2025 r., w wieku 95 lat, odszedł bowiem Sam Nujoma, ojciec założyciel i pierwszy prezydent kraju.

Deszcz „koronacyjny” pani prezydent zmył także główny most łączący stolicę, Windhuk, z południem kraju. I tutaj nowa administracja pokazała szybkość działania. Mimo utrzymujących się opadów i długiego świątecznego weekendu w ciągu 24 godzin zabezpieczono prowizoryczny objazd, a tymczasowe rozwiązanie dwupasmowe zakończono w ciągu miesiąca. Nowy most ma być wybudowany do końca roku. Kontrakt realizowany jest przez firmę chińską, gdyż Chiny są w Namibii de facto monopolistą na rynku infrastruktury, nie tylko drogowej.

W wyniku reform administracyjnych zmniejszono liczbę ministerstw z 21 do 14 (redukcja o 30%). Kluczowy sektor ropy i gazu od teraz zarządzany jest bezpośrednio przez urząd prezydenta. Pani prezydent mianowała osiem kobiet na kluczowe stanowiska, w tym wiceprezydenta. Premier zaś pochodzi z regionu Okavango. To nowość na namibijskiej scenie politycznej. Pierwsza sesja Zgromadzenia Narodowego wybrała na stanowisko marszałka byłą premier, konkurentkę NNN w prawyborach SWAPO do kampanii prezydenckiej.

Zdymisjonowany został minister z plemienia Herero. Media nagłośniły skandal obyczajowy z jego udziałem – pozamążelński związek z młodą dziewczyną, usuwanie ciąży. To nagminne sytuacje w Namibii. Na jego miejsce pani prezydent mianowała kobietę, również wywodzącą się z plemienia Herero, które było ofiarą



Pustynny krajobraz Namibii.



Przewodnik z plemienia San.

niemieckiej administracji kolonialnej na początku XX w.

Za rządów Netumbo Nandi-Ndaitwah odnotowano radykalne przyspieszenie działań antykorupcyjnych. Aresztowano 10 osób oskarżonych w tzw. aferze paliwowej, a sześcioro w związku z praktykami korupcyjnymi w przetargach w służbie zdrowia.

O Namibii usłyszymy także w czasie wyborów Miss Universe, gdyż tegoroczna miss tego kraju, Johanna Swartbooi, wywodzi się z grupy Herero, posługującej się językiem Nama.

Namibia ma niewielu mieszkańców – w 2024 r. ponad 3 mln. Była więc drugim po Mongolii najrzadziej zaludnionym krajem na świecie.

Jej atlantyckie wybrzeże o długości ok. 1,5 tys. km obfituje w ryby mimo rabunkowej gospodarki wodnej. Tam też rozwinęły się największe ośrodki miejskie (poza stolicą, leżącą w głębi kraju): Swakopmund – turystyczne miasteczko o niemieckich korzeniach, Lüderitz, którego okres rozkwitu związany był z gorączką diamentową, oraz Walvis Bay stojące przed perspektywami rozwoju na bazie niedawno odkrytych złóż ropy i gazu.

Centrum i południe kraju, graniczące z RPA, to strefy suche, z bogactwem minerałów, w tym miedzi, obecnie uranu, gdzieś tam przypominające krajobrazy księżycowe, co zauważył już przemysł filmowy (m.in. kręcono tu sceny do filmu „Mad Max”).

Wschodnie obszary to głównie pustynia Kalahari, dzielona z Botswaną, ale też wielki akwen podziemny Stampriet, obecnie zagrożony skażeniem w wyniku prób odpompowania uranu poprzez tzw. ługowanie *in situ* (odwierty wypełniane m.in. kwasem siarkowym).

Przy północnej granicy z Angolą i Zambią znajduje się strefa najbardziej zaludniona, jak również najbardziej zagrożona (Okavango Wschodnie i Okavango Zachodnie) oraz opustoszałe nadbrzeżne Kunene, zamieszkane przez plemiona kozownicze.

Minimaliści i rekordziści

Po sukcesach kadry, przed startem Ligi Mistrzów

Wojciech Kuczok

Jeszcze mecz się nie zaczął, a już było zabawnie – nie mogłem namierzyć przed Stadionem Śląskim białego baraku, do którego mnie kierowano po akredytację, albowiem jedyne białe pudło, które przyuważyłem, z dała wabiło napisem *toi toi*, a mnie się do toalety nie chciało. Nie wpadłem na to, żeby po dziennikarską wejściówkę tam zajrzeć. Błąd – okazuje się, że firma produkuje nie tylko przenośne sławki, lecz także kontenery biurowe.

Zabrakło mi wyobraźni, ale nie brakło jej naszym piłkarzom, gdy konstruowali akcje w meczu z Finlandią. Przez godzinę graliśmy jak z nut – optycznie przewaga Polaków była miażdżąca, trzy gole były udokumentowaniem, a na miano zawodnika meczu zapracował sobie w tym czasie Jakub Kamiński, który – jak w Rotterdamie – biegał dużo, ale w przeciwieństwie do meczu z Holandią również z sensem.

Pierwszy gol padł po jego kapitalnym odbiorze i mądrej asyście, przy trzecim poprawił Roberta Lewandowskiego, najszybciej dopadając do odbitej przez bramkarza piłki. Wszędobylstwo jest cechą charakterystyczną Kamińskiego, on sam sobie szuka pozycji na boisku, dobrze się czuje jako „wolny elektron” – pozostaje się cieszyć, że tej jesieni młody śląski napastnik wystrzelił formą zarówno w Bundeslidze, jak i w kadrze. Zwłaszcza że nieubłagane zbliża się koniec kariery naszego najlepszego strzelca w historii i trzeba już raczej dla Lewandowskiego szukać nie tyle partnera w ataku, ile następcy.

Sam Lewy wreszcie się doczekał królewskiej obsługi: mistrzowski cross Piotra Zielińskiego pozwolił mu znaleźć się sam na sam z bramkarzem i trafić do siatki. To pewnie

jeden z ostatnich już takich momentów, kiedy widzimy na telebimie Roberta jako zdobywcę gola dla reprezentacji i fetujemy go przy pełnym stadionie, tym bardziej trzeba docenić moc tej chwili. Do zdobycia gola Lewandowski był bowiem najbardziej niemrawym piłkarzem drużyny. Widać, że nieprzypadkowo w Barcelonie stał się ostatnio rezerwowym.

Pełnię radości ze zwycięstwa popsuła koszmarna końcówka – Polacy stanęli, zaczęli tracić piłkę i bramki, na szczęście jednej sędzia nie uznał, negatywnie też zwarował potencjalny karny przeciw nam. Wyglądało to, jakby nasi wypili o tyk za mało cudownego eliksiru i zesła z nich energia. Zamiast świętować pewne zwycięstwo, zastanawialiśmy się, dlaczego

zwycięstwa są kosmiczne, ale nie absurdalne: Norwegowie wygrali 11:1, bo nie przestało im się chcieć strzelać – zwłaszcza Haalandowi, który trafił w tym meczu pięciokrotnie. Mimo że grają na co dzień w topowych klubach europejskich, jakoś nie przyszło im do głowy oszczędzanie się, choć zwycięstwo było przesądzone już do przerwy. Minimalizm naszych futbolistów irytuje nie od dziś, za jego przyczyną nie awansujemy bezpośrednio na mundial, choćbyśmy wygrali wszystkie pozostałe mecze, w tym z Holandią. Pomarańczowi ograli bowiem Maltę ośmioma golami, a myśmy musieli słuchać Probiezera zadowolonego z dwubramkowego zwycięstwa i odwiecznego frazesu, że „nie ma już słabych drużyn”.

Do zdobycia gola Lewandowski był najbardziej niemrawym piłkarzem drużyny.

kadra zagrała ostatnie pół godziny jak za późnego Probiezera i Santosa. Skądinąd skalę pomyłki Cezarego Kuleszy przy decyzji o powołaniu Portugalczyka obrazuje fakt, że właśnie zwolniono go ze stanowiska selekcjonera Azerbejdżanu, gdzie w ciągu ponad roku nie wygrał nawet jednego z 11 kolejnych spotkań... Jan Urban musi popracować nad mentalnością polskich piłkarzy, którzy zamiast spokojnie pyknąć jeszcze parę goli i dobić rannego przeciwnika, pozwolili mu wstać i wrócić do walki. Trzy punkty zdobyte, ale niesmak pozostał.

Braku litości dla „napoczętych” rywali moglibyśmy się uczyć od Norwegów, wyjątkowo rozpędzonych w tych eliminacjach. Do kompletu zwycięstw dołożyli wygraną z Mołdawią – chciałoby się rzec: „zawsze groźną”, której nie potrafiliśmy pokonać w drodze na Euro ani za Santosa, ani za Probiezera. Rozmiary

Tymczasem wraca Liga Mistrzów, jak zwykle bez polskiego klubu i ze śladowym udziałem Polaków. Lewandowski nie jest obecnie dziewiątką pierwszego wyboru trenera Flicka, Wojciech Szczesny także w Barcelonie musi się pogodzić z rolą bramkarza rezerwowego. Na grę w podstawowym składzie mogą liczyć za to Nicola Zalewski w Atalancie Bergamo oraz Mateusz Kochalski jako bramkarz Karabachu Agdam. Pierwszy będzie miał okazję pokazać sportową klasę na największych arenach Europy (już w środę zapewne wybiegnie w Paryżu przeciw PSG). Drugi będzie mógł potwierdzić renomę polskich golkipierów – na pewno sporo goli wpuści, ale i tak ma szansę zostać bohaterem meczów z Chelsea, Liverpooliem czy choćby Napoli. Piotr Zieliński gra w Interze ogony i niewiele wskazuje, by miało to się zmienić w najbliższym czasie.



Jakub Kamiński i Robert Lewandowski podczas meczu Polska-Finlandia na Stadionie Śląskim w Chorzowie. 7 września 2025 r.

Szóstym Polakiem w Champions League z nikłymi szansami na występy jest nastoletni Dominik Sarapata z FC Kopenhaga. Arkadiusz Milik od dawna, zamiast grać, leczy kolejne kontuzje, a Juventus chce się go pozbyć tak bardzo, że pojawiła się nawet myśl, aby go opchnąć Rosjanom. I to wszystko – ósmy pod względem demograficznym kraj Europy będzie w 36-zespołowej Lidze Mistrzów reprezentowany w najlepszym razie przez sześciu piłkarzy. I to, a nie nasza rekordowo liczna obecność w rozgrywkach Ligi Konferencji, jest realny, choć przykry obraz wartości naszej piłki.

Co szósty uczestnik tej edycji Champions League jest z Anglii, teoretycznie więc możliwe, że po cząwszy od ćwierćfinałów, Liga Mistrzów zamieni się w Premiership z niewielką domieszką klubów z kontynentu. Trudno się dziwić, skoro liga angielska jest nie tylko najbogatsza na świecie, ale też coraz bardziej odjeżdża finansowo całej reszcie: kluby Premier League wydały latem na transfery ponad 3 mld funtów. Czyli więcej niż liga hiszpańska, niemiecka i włoska razem wzięte. Tyle że, jak głosi maksyma przytaczana ostatnio

przez naszego selekcjonera, za pieniądze można sobie kupić łódkę, ale nie sen. Anglikom znowu mogą pokrzyżować szczyki Real, Barcelona, obrońca tytułu PSG lub jak zwykle mocny Bayern. Wśród czarnych koni stawiałbym na Atalantę, której tak czy owak będziemy kibicować z uwagi na Polaka w podstawowym składzie.

Najgłośniejszych transferów właśnie zamkniętego okienka w Europie dokonali oczywiście Anglicy – hitowe jest zwłaszcza przejście prawdopodobnie najlepszego bramkarza świata, Gianluigiego Donnarummy, z Paryża do Manchesteru City. Do Floriana Wirtza, największej obecnie gwiazdy niemieckiej piłki, ściągniętego latem do Liverpoolu z Leverkusen, w ostatniej chwili dołączył Alexander Isak, szwedzki snajper z Newcastle, co istotnie wzmacnia i tak nadzwyczaj silną ofensywę The Reds.

Arsenal kupił z lisbońskiego Sportingu króla strzelców ligi portugalskiej, Viktora Gyökeresa, a także Martina Zubimendiego z Realu Sociedad. Chelsea, która zachwyciła w czerwcu i lipcu na klubowym mundialu, zebrała tego lata nadzwyczajną paczkę następców – to zwłaszcza młodzieńki

Estêvão, João Pedro, Alejandro Garnacho i Jamie Gittens.

I choć wartość rynkowa zawodników Newcastle, czyli najbiedniejszego z angielskich uczestników LM, dwukrotnie przekracza wartość wszystkich piłkarzy zarejestrowanych w rozgrywkach naszej Ekstraklasy, w Polsce też pobito tego lata rekord transferowy. Nasze kluby uzbroiły się jak nigdy dotąd, kupowały lub wypożyczały zawodników z Serie A (Urbański z Bologny), Premier League (Sam Greenwood z Leeds) i Bundesligi (Noah Weißhaupt z Freiburga) oraz faceta, który zagrał ponad 100 razy w La Liga (Alex Pozo, nowy nabytek Jagiellonii).

Cieszy zwłaszcza, że zaczęli do nas wracać gracze reprezentacyjni: Kacper Urbański, Kamil Piątkowski, Damian Szymański, Mateusz Klich, Arkadiusz Reca, Kamil Jóźwiak.

Królową okienka okazała się mimo wszystko Legia, choć przed sezonem kibice nawet zastrajkowali z powodu rzekomej opieszałości transferowej. Ekstraklasa przestała być ligą kabaretową, dostarczycielką memów i hitowych filmików z kiksami naszych graczy – pnie się w górę w rankingach, rośnie jakościowo i cieszy oko. ■

Piosenka fajna, ale smutna

Polacy lubią się zabawić przy muzyce, która korzeniami sięga do tego, przy czym tańczyli ich dziadkowie

Rozmawia Anna Wyrwik

„Wszystko jak leci. Polski pop 1990-2000” nie ma narratora, przez historię polskiej muzyki lat 90. prowadzą nas wypowiedzi bohaterów. To pomysł zaczerpnięty z „Please kill me. Punkowej historii punka” Legsa McNeila i Gillian McCain?

– „Please kill me” to arcydzieło. Z takim stylem pisania spotkałem się już wcześniej, w biografii Stonesów „Według The Rolling Stones” Dory Loewenstein i Philipa Dodda, która zrobiła na mnie wielkie wrażenie. W taki też sposób Neil Strauss napisał biografię Mötley Crüe „Brud”. Nie cierpię tego zespołu, ale książka jest wybitna. Stwierdziłem, że tak właśnie chcę pisać o muzyce. Zrobiłem w ten sposób książkę „Zagrani na śmierć. Mroczne ścieżki polskiego undergroundu”, wydaną w 2022 r. Spodobało się, więc „Wszystko jak leci...” również tak napisałem.

Postawiliś głównie na wypowiedzi twórców pierwszych polskich firm fonograficznych, wydawców, menedżerów, dziennikarzy, a mniej na muzyków. Dlaczego?

– Chciałem opowiedzieć, jak w Polsce budowano coś, co stworzyło soundtrack do naszego życia. Dotąd opowiadali o tym muzycy. Jednak to jednostronne spojrzenie trochę zniekształca obraz całości. Można odnieść wrażenie, że nagle pojawia się geniusz i strzela seriami świetnych piosenek. A ja chciałem pokazać, jak doszło do tego, że te świetne piosenki zostały nagrane.

Andrzej Puczyński, szef PolyGramu (dziś Universal Music Polska), mówi: „Byliśmy trochę oszołomami:



TOMASZ LADA

– autor książki „Wszystko jak leci. Polski pop 1990-2000” (Czarne)

skoro mamy nowe czasy i wszystko jest możliwe, to robimy”. Jak wyglądały te szalone początki?

– Można powiedzieć, że to była aktualizacja „Ziemi obiecanej”: nie mieli nic i zbudowali fabrykę. W 1990 r. PRL-owski rynek muzyczny upadł. I kilka osób zaczęło działać. Bez żadnych biznesplanów. To

była jedna wielka improwizacja. Start z kapitałem typu tysiąc dolarów, pożyczanie kasy od kumpli, którzy robili jakieś biznesy, handel z Zachodem, zbieranie na wynagrodzenia dzięki sprzedaży płyty z magazynów, zastawianie samochodów...

Myślę, że oni nie mieli wielkich planów, tylko: będzie, jak będzie. To zagrało, bo choć nie posiadali środków, mieli zapał i czuli muzykę. Poza tym mieli odwagę, bo wtedy to było potężne ryzyko. W 1990 r. inflacja sięgała kilkuset procent, dziewięć na dziesięć sprzedanych kaset było pirackich, więc naprawdę ci ludzie nie mieli podstaw, by myśleć o sukcesie.

Przypomina mi to końcówkę lat 70. w Wielkiej Brytanii, kiedy koncerty

nie chciały wydawać zespołów punkowych, więc entuzjaści założyli własne wytwórnie. Polscy wydawcy z lat 90. byli mentalnymi punkami. Mam wrażenie, że byli większymi idealistami niż muzycy, którzy często krzyczeli tylko: hajs, hajs, hajs!

Jaka była rola mediów w początkach polskiego rynku muzycznego?

– To mogłoby nie wybuchnąć, gdyby nie grupa zapaleńców z programu „Bum” w radiowej Trójce. Grzegorz Miecugow, ówczesny dyrektor tej stacji, chciał odświeżyć antenę i zatrudnił młodych ludzi, którzy puszczali nowe rzeczy. Uciekaliśmy ze szkoły, by ich słuchać. „Bum” był armatą, z której to wszystko wystrzeliło.

Potem pojawiły się radia komercyjne. Symboliczną postacią jest Piotr Metz, o którym wielu mi mówiło, że wtedy był królem. Wydawcy i menedżerowie pielgrzymowali do niego na kopiec Kościuszki w Krakowie, by puścić jakąś piosenkę. Radia komercyjne miały większe pieniądze na promocję i mogły sobie pozwolić na akcje w stylu występu Varius Manx na dachu kiosku, który sprzedał najwięcej ich płyt w dniu premiery, czy koncertu Kasi Kowalskiej na szkolnym boisku podczas długiej przerwy.

Które wydarzenia z lat 90. są najważniejsze dla polskiego rynku muzycznego?

– Nic by nie było bez „Brumu”. Krokiem milowym była decyzja Andrzeja Wojciechowskiego z MJM Music PL (później Sony Music Polska) o wydaniu debiutanckiego albumu Wilków „Wilki”. To było wielkie ryzyko, bo nikt ich nie znał. Kolejnym takim ruchem było wydanie debiutanckiego albumu zespołu Hey „Fire”. Zadziałał instynkt Katarzyny Kanclerz i Andrzeja Puczyńskiego z Izabelin Studio, bo gdy podjęli tę decyzję, zespół był tak naprawdę projektem pobocznym i miał tylko cztery utwory.

Myszę, że ważnym momentem stało się też wydanie „Białej drogi” Urszuli. Ta płyta stworzyła rynek w dzisiejszym kształcie.

Czyli w jakim?

– Nazwałbym to festiwalowym rockiem, skrojonym pod telewizyjne festyny. Nikt nie chciał wydać tej płyty, wszyscy uważali ją za obciach i coś nieaktualnego. Zdecydował się w końcu Marek Kościkiewicz z Zic Zac, zamęczony ciągłymi telefonami ówczesnego męża Urszuli, Stanisława Zybowskiego. To był strzał! Gdyby nie „Biała droga”, nie byłoby „Takiego tanga” Budki Suflera i tych pseudorockowców produkujących się dziś w telewizjach.

Ważnym wydarzeniem była też płyta Grzegorza Ciechowskiego „ojDADAna”, która otworzyła rynek na

Ważnym wydarzeniem była płyta Grzegorza Ciechowskiego „ojDADAna”, która otworzyła rynek na muzykę etniczną.

muzykę etniczną. Kontynuacją tego była płyta „Kayah i Bregović”, a potem takie zespoły jak Golec uOrkiestra. Bracia Golcowie to wykształceni muzycy, którzy grali w jazzowym zespole Alchemik, razem z Marcinem Mateckim czy Grzegorzem Piotrowskim. Zobaczyli, że z jazzu nie będzie kasy, więc poszli w cepeliadę.

Jest coś takiego jak polski gust muzyczny? Marek Kościkiewicz mówi: „Polska jest krajem ballad. To właśnie one stawały się u nas najczęściej wielkimi przebojami”.

– Trafiał w sedno. Przecież u nas największymi przebojami były piosenki w stylu „Autobiografii” Perfectu. Wóda, palce pożółkłe od papierosów, straszny świat i użalanie się nad sobą. Nie chcę nikogo obrazić, ale to taka trochę ruska duchowość. Nasz problem polega na tym, że uważamy się za część Zachodu, ale jeśli chodzi

o gust, bardzo się od tego Zachodu różnimy. Prócz wielkomiejskich baniek trendy zachodnie się u nas nie przyjmują.

Za to przyjmuje się granie, które – cytując ciebie – „świetnie współgra z polską tendencją do picia na smutno i rozdrapywania ran”.

– Doskonale podsumowała to Biljana Bakić, Serbka przysłana z Nowego Jorku do Polski, żeby zarządzać BMG, która powiedziała, że w Polsce nawet jeśli piosenka jest fajna, to jest smutna.

Ma to również odzwierciedlenie w tekstach?

– Tak, bo przecież wszyscy, chcąc nie chcąc, wywodzimy się z poezji romantycznej, którą katowali nas od podstawówki. Wszystko jest smutne, przegrane i rozdzieramy koszule.

Rządzi poczucie krzywdy, więc jeśli przegrywamy, to dlatego, że jesteśmy przez wszystkich nielubiani, inni nas oszukują i dlatego mają lepiej od nas. **Piotr Metz powiedział, że zmiana na polskim rynku muzycznym nastąpiła po tym, jak „wieże stereo wyszły poza duże miasta”, a ich nowi użytkownicy szukali „muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej, umilającej czas, a nie wymagającej”.**

– Polacy lubią się zabawić przy muzyce, która korzeniami sięga do tego, przy czym bawili się na weselach ich dziadkowie. Możemy to nazwać muzyką weselną, pseudoludową, jarmarczną, muzyką remizy; przaśną, ludyczną.

Których wykonawców zaczynających w latach 90. uważasz za największych beneficjentów tamtego okresu?

– Z tych, o których piszę, najdalej zaszła Kayah. Potrafiła skonsumować sukces płyty „Kayah i Bregović”. Podczas pisania książki byłem na jej koncercie i widziałem, jak ludzie bawią się przy jej funkowych kawałkach, a gdy zagrała te z płyty „Kayah i Bregović”, zaczęli tańczyć. Wyzwolili się też z kontraktu z dużą wytwórnią i założyła własną – Kayax, ▶

Tomasz Lada – (ur. w 1968 r.) dziennikarz, redaktor, krytyk. Członek Akademii Fonograficznej w sekcji muzyki rozrywkowej. Publikował w prasie muzycznej, m.in. magazynach „Tylko Rock” i „Bum”, oraz portalach poświęconych kulturze popularnej. Autor biografii zespołu Apteka – „Psychodeliczni kowboje. Kawałki o zespole przeklętym” (2020) oraz książki „Zagrani na śmierć. Mroczne ścieżki polskiego undergroundu” (2022).

► która przez lata dostarczała nowego, ciekawego popu.

Swoją szansę wykorzystał Hey, który z dobrego, popularnego zespołu stał się wyjątkowym zjawiskiem. Ostatnio usłyszałem „Bezruch”, singiel z ich nowej płyty, i wyskoczyłem ze skarpet. Katarzyna Nosowska z wystraszonej dziewczyny stała się świadomą siebie, wybitną artystką. Wszystko, co dziś robi, czy to muzyka, książka czy felieton, jest istotne.

Bracia Golcowie to wykształceni muzycy. Zobaczyli, że z jazzu nie będzie kasy, więc poszli w cepeliadę.

A których określiłbyś mianem niewykorzystanego potencjału?

– Niewykorzystany potencjał to dla mnie Edyta Bartosiewicz. Była świetna, ale wydawała za dużo i za szybko. Nie miała chwili oddechu i, mam wrażenie, wypaliła się wraz z końcem dekady. Kolejna niewykorzystana szansa to Big Day, który po nagraniu swojego największego hitu „W dzień gorącego lata” stracił kontrakt. Nie rozumiem, dlaczego się ich pozbyto. Tak samo nie rozumiem, dlaczego pozbyto się zespołu Golden Life, który był wówczas blisko szczytu.

Lata 90. w każdej dziedzinie, również w muzyce, były polską pogonią za Zachodem i mityczną Ameryką.

Czy któryś z naszych muzyków zrobił jakąkolwiek karierę na Zachodzie?

– Nie. Najbliżej była Edyta Górniak. Miała wsparcie bogatego menedżera Wiktora Kubiaka, wytwórni Pomaton (później EMI, a dziś Warner Music Poland), która zatrudniła jej menedżera zespołu Queen, załatwiła wsparcie męża Tiny Turner... Ale Edyta nie dała rady, także ze względów charakterologicznych.

Drugą osobą blisko międzynarodowej kariery była Edyta Bartosiewicz, która jednak była wtedy zmęczona, o czym mówiłem wcześniej, poza tym padła ofiarą łączenia koncernów – powstał Universal Music, dla którego ten projekt nie był już ważny. W efekcie wycofała się na wiele lat.

Dlaczego nie poradziliśmy sobie muzycznie na Zachodzie?

– Na Zachodzie jest inny stosunek do show-biznesu. Tam muzyka jest traktowana jak praca. U nas zaś romantycznie tworzymy wielką sztukę, zapominając o tym, że show-biznes to codzienne zapieprzanie, mordercze trasy, rok, dwa lata... Dla wielu ludzi jest to nie do przejścia, zwłaszcza dla tych, którzy w Polsce mają status gwiazdy i poukładane życie. Nasi twórcy wtedy jeszcze nie dorośli do takich poświęceń.

No i istniała bariera językowa. Tylko Bartosiewicz znała angielski.

Czym różni się rynek muzyczny lat 90. od dzisiejszego?

– W latach 90. kładziono większy nacisk na lansowanie całych gwiazdzbiorów i sprzedaż milionów płyt. Dziś to niemożliwe. Płyty nie idą. Teraz tak naprawdę mamy jedynie dwie wielkie gwiazdy, Dawida Podsiadłę i Sanah, którzy koszą wszystko. Do tego dochodzi Taco Hemingway, a z tych młodszych Mata. Jest też paru wykonawców, m.in. Krzysztof Zalewski, Mery Spolsky, Daria Zawiałow czy ostatnio Kaśka Sochacka, którzy stoją wysoko, a jednak piętro

i doskonale definiuje najlepszą muzyczną stronę polskich lat 90.

Po całości tykam pierwsze cztery płyty Myslovitz. Może trochę mniej „Sun Machine”, ale „Myslovitz”, „Z rozmyślań przy śniadaniu” i „Miłość w czasach popkultury” to płyty wybitne. Wybrałbym też „Sen” i „Dziecko” Edyty Bartosiewicz, „Kamień” i „Zebrę” Kayah. Na pewno nie wybrałbym nic Varius Manx. Wówczas byli najwięksi, ale mocno się zdezaktualizowali.

Na końcu piszesz: „Dla państwa artyści wciąż są interesujący tylko na akademiach. Prace nad ustawą o statusie artysty zawodowego trwają dłużej niż podchody pod ustawę o prawie autorskim i prawach pokrewnych w latach 90.”. Coś się zmieniło w podejściu rządzących do artystów?

– Nie. Jesteśmy krajem europejskim, a próbujemy stosować system amerykański, czyli „znajdźcie sobie sponsora”. System wspierania twórców jest nieczytelny i nic dziwnego, że nieustannie budzi wątpliwości. Przez to wielu ludzi nie daje rady i musi iść do roboty, a nie bawić się w sztukę.

Problemem Polaków jest to, że nie traktujemy piosenki ani sztuki jako elementu biznesu. Tu nigdy nie pojawiły się żadne krajowe pieniądze, nie

Największymi przebojami były piosenki w stylu „Autobiografii” Perfectu. Wódka, straszny świat i uzalanie się nad sobą.

niżej. Ale muzycznie jest równie ciekawie. Tylko że w tym zalewie nowości do najciekawszych trudniej dotrzeć. Żeby znaleźć to, co wartościowe, trzeba poświęcić czas na poszukiwania w odmętach internetu. **Kto z „Wszystko jak leci. Polski pop 1990-2000” znalazłby się na twojej playlistie z lat 90.?**

– Na pewno wybrałbym pierwszy album Wilków, który się nie zestarzał, bo to była świetna robota producenta Leszka Kamińskiego. Wybrałbym także „Dziewczynę szamana”, choć moim zdaniem to płyta Grzegorza Ciechowskiego, a Justyna Steczkowska jest tu jedynie wykonawczynią. To wciąż bardzo nowoczesny album

było dużej – prywatnej czy państwowej – inwestycji w przemysł rozrywkowy. Zresztą każdą dziedzinę sztuki traktuje się w Polsce po macoszemu.

Dlatego mam wielki szacunek dla Tomasza Kopcia za stworzenie Polskiej Fundacji Muzycznej, która jako jedna z nielicznych interesuje się losem artystów. Wszyscy ronią łzy, że Elżbieta Dmoch z 2 plus 1 jest chora i samotna, media piszą o tym po kilkakrotnie, ale tylko PFM faktycznie jej pomaga.

A jeśli chodzi o ustawę o statusie artysty zawodowego, od ilu już lat jest ona tworzona? Od czterech. I w tym roku na 99% jej nie uchwalą.

Anna Wyrwik

KURTYNA W GÓRĘ

Liza Minnelli na Targówku

W nowy sezon wprowadził warszawiaków postrzelony kabaret offowego Teatru Papahema, który w gościnnych progach Klubu Tragediowego Rampy przedstawił spektakl „Sally, Adolf i cała reszta”, osnuty wokół legendarnego filmu „Kabaret” i powieści Christophera Isherwooda „Pożegnanie z Berlinem”.

Teatr założyli 11 lat temu Paulina Moś, Helena Radzikowska, Paweł Rutkowski i Mateusz Trzmiel, absolwenci białostockiego Wydziału Sztuki Lalkarskiej Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie. Mają za sobą niemal 20 premier, a w tej najnowszej mierzą się ze swoją dotychczasową drogą, oczekując na przybycie Lizy Minnelli, która miała obiecać uczestnictwo w tym zwariowanym przedsięwzięciu. Gwiazda jednak się spóźnia, papahemowcy wobec tego improwizują i przedstawiają zawczasu opracowane scenki, nawiązujące do wspomnianego filmu, powieści i siłą rzeczy do naszego życia powszedniego.

Polor surrealizmu, trochę czarnego humoru i paradoksalnego seksu (popisowa scena rozpusty) oraz polityki z udziałem lalek tyranów XX w.; piosenki, ruch, zaczepianie publiczności – słowem wszystkie smaki kabaretu.



„OFF-KABARET PRZEDSTAWIA: Sally, Adolf i cała reszta”, tekst Helena Radzikowska, reżyseria zespół Fundacji Teatr Papahema, premiera w Klubie Tragediowym Teatru Rampa, 3 września 2025

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jon Fosse

Nowe imię. Septologia VI-VII

tłum. Iwona Zimnicka

ArtRage, Warszawa 2025

W końcu trzeci tom opus magnum laureata Nagrody Nobla z 2023 r. Asle, malarz i wdowiec, wiezie samotne życie w swoim domu w Dylgja. Jego codzienność przenika cisza, którą od czasu do czasu przerywa obecność dwóch ludzi: sąsiada, rybaka Åsleika, oraz Beyera – właściciela galerii w Bjørgvin, mieście odległym o kilka godzin drogi na południe. Tam właśnie żyje drugi Asle – sobowtór, cień, a może

inna możliwość tego samego losu. Jeden z nich odnalazł wiarę, porzucił alkohol i zaznał spełnienia, drugiemu przyszło zmagać się z cierpieniem i porażką.

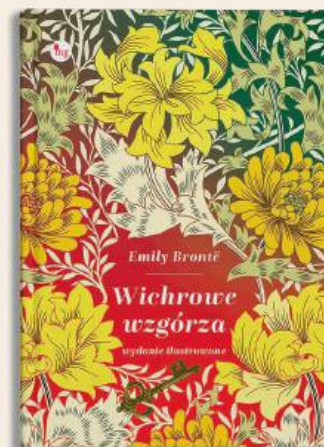
W ostatniej części „Septologii” poprzez nurt wspomnień splatają się dzieje obu mężczyzn u progu dorosłości. „Nowe imię” jawi się jako monumentalna, hipnotyzująca powieść metafizyczna o miłości i sztuce, o Bogu, przyjaźni i przemijaniu – o wszystkim, co najistotniejsze i najtrudniejsze do wypowiedzenia.

Rafał Pikula

Nawet jeśli czasem przydałyby się nożyczki, całość wypada z wdziękiem, a niekiedy z dość ostrą przestrogą przed powtórką z historii. Bardzo obiecujący, miejmy nadzieję, początek twórczego romansu Rampy z kolorowym zespołem Papahema.

A co z Lizą Minnelli? Czy w końcu przybyła, można się dowiedzieć, wybierając się na spektakl.

Tomasz Miłkowski



www.wydawnictwomg.pl

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Historia kultury to historia kolekcji

Kolekcjonerzy nadają przedmiotom nowe znaczenia

Rozmawia Aleksandra Koperda

Jednym z obszarów pani zainteresowań naukowych jest zjawisko kolekcjonowania. Poświęciła pani temu tematowi dwie publikacje. Czy w ostatniej dekadzie, może dwóch, zauważyła pani jakieś istotne zmiany w tej praktyce?

– Od czasu, w którym prowadziłam badania, niewiele się zmieniło w stosunku kolekcjonerów do świata rzeczy, motywacji kolekcjonerskich. Kolekcjonerzy nadają przedmiotom nowe znaczenia, wartościują je, używają ich do tworzenia swojej tożsamości. Sporo jednak uległo zmianie, jeśli chodzi o sposób pozyskiwania przedmiotów i wiedzy o nich, prezentowania tego, co się ma, oraz kontaktowania się pomiędzy sobą. To oczywiście zasługa internetu.

Nie liczba świadczy o kolekcji, raczej jej profil. Przecież nie da się zbierać wszystkiego.

Kiedy prowadziłam badania nad kolekcjonowaniem, spotykałam się z kolekcjonerami, którzy w ogóle nie zaglądali do sieci, i z takimi, którzy dopiero zaczynali korzystać z Allegro, eBaya, z serwisów, na których można było licytować przedmioty albo sprawdzać ich wartość, ale to były wyjątki.

Dziś sporo osób właśnie w internecie szuka nie tylko przedmiotów, ale również informacji o tym, co już posiada i co warto zbierać. Bywa, że kiedy ktoś zaczyna kolekcjonować, nie bardzo wie, jaką wartość finansową mają interesujące go przedmioty. Trzeba nabyć pewnych umiejętności

DR HAB. RENATA TAŃCZUK

– kulturoznawczyni, profesor w Instytucie Kulturoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego, autorka książek poświęconych kulturowym aspektom kolekcjonowania: „Ars colligendi. Kolekcjonowanie jako forma aktywności kulturalnej” oraz „Kolekcja – pamięć – tożsamość. Studia o kolekcjonowaniu”.

i kompetencji, żeby się rozeznąć w rynku kolekcjonerskim. Mówimy tutaj o aspekcie ekonomicznym, który przecież nie jest bez znaczenia. Niezależnie od tego, czy kolekcjonerzy zbierają rzeczy bardzo cenne, czy niemal nic niewarte, najczęściej muszą za nie zapłacić. Do wyjątków należą sytuacje, kiedy płacą za produkt, a nie za to, co zbierają. Myślę tutaj choćby o kolekcjach opakowań po czekoladkach czy innych artykułach. Pamiętam pana, który na swojej stronie internetowej prezentował

internetu, np. YouTube’a. Kiedyś działało się to tylko w realnych przestrzeniach: muzeach lub klubach kolekcjonerskich.

Dlaczego temat kolekcjonowania zainteresował panią na tyle, by prowadzić badania dotyczące tego zjawiska?

– Z całą pewnością mogłabym wskazać kilka takich powodów. Jeden sięga okresu dzieciństwa. Jako mała dziewczynka miałam okazję wędrować po domu mojej babci i jej sióstr w moim rodzinnym mieście, Koźminie Wielkopolskim. Spośród innych domów wyróżniał się tym, że był urządzone meblami z przełomu XIX i XX w., wypełniony pięknymi i ciekawymi przedmiotami. Pozostałe, które znałam, wyposażano w nowy sprzęt, będący świadectwem pozyskiwanego statusu majątkowego i awansu społecznego. W ten sposób stałam się miłośniczką tego, co stare, co jest wehikułem czasu. Wiele lat później, kiedy obroniłam doktorat, nieżyjąca już koleżanka z mojego macierzystego instytutu, dr Ewa Kofin, zaproponowała grupie pracowników temat badawczy, który miał dotyczyć różnych form uczestnictwa w kulturze. Wtedy pomyślałam, że napiszę o kolekcjonerstwie, rozwijając krótki tekst o kolekcjonowaniu opakowań, który opublikowałam nieco wcześniej w książce „Świat opakowany”. Projekt zainicjowany

zebrane wieczka po jogurtach. Jeden z moich studentów przeprowadził rozmowę z kolekcjonerem małych etykiet naklejanych na bochenki chleba z informacją o piekarni, z której pochodziły. Zwracał on uwagę na to, że małe piekarnie przestają funkcjonować i że chleb jest symbolicznym produktem, bez którego nie ma życia. Jeżeli ta kolekcja nadal istnieje, być może pozwoliłaby na stworzenie mapy polskich piekarni, które już nie działają. Zbiór ma więc walor dokumentacyjny.

Zmienił się też sposób prezentowania kolekcji. Kolekcjonerzy często się nimi dzielą za pośrednictwem



Zbiór metalowych tac okolicznościowych produkowanych przez kombinat nowohucki (kolekcja Grzegorza Ziemiańskiego).



Sprzęt audio (kolekcja Janusza Wójca).



Porte bouquets, uchwyty na bukiety, Francja, lata 1850-1880 (kolekcja Hanny Szudzińskiej).

Drangien – narodowy instrument Bhutanu (kolekcja Eulalii Gajewskiej-Lizak).



przez dr Ewę Kofin nie został sfinalizowany, ale ja zostałam przy kolekcjonowaniu.

Wtedy zaczęłam organizować ze studentami obozy badawcze profilowane na tę problematykę. Wszystko, co mogłam w tamtym czasie przeczytać na ten temat w polskiej literaturze, dotyczyło historii znamienitych kolekcji muzealnych. Brakowało opracowań poświęconych np. kolekcjonerom rzeczy, które wydają się nieznaczące, a dla niektórych są wręcz śmieciami.

Wyjechałam na stypendium do Lejdy w Holandii i tam znalazłam literaturę, do której w Polsce nie miałam dostępu. Po jakimś czasie powstała moja pierwsza książka – próba opracowania tego zjawiska z perspektywy kulturoznawczej.

Czym różni się kolekcjonowanie od zbieractwa?

– Kolekcjoner dąży do zgromadzenia pewnej całości. Do zebrania obiektów w wyznaczonych przez siebie ramach. Można zbierać np. płyty winylowe ilustrujące rozwój polskiej muzyki popularnej w latach XX w. Oczywiście taka kolekcja może na

różne sposoby się rozwijać, bo obok głównego wątku w postaci płyt winylowych mogą się pojawić plakaty piosenkarzy i zespołów muzycznych. Zasadą obowiązującą w kolekcjonerstwie jest też zbieranie przedmiotów różniących się od siebie. Jeżeli w kolekcji pojawią się duplikaty, to raczej dlatego, że kolekcjonerowi udało się pozyskać przedmiot lepszej jakości niż ten, który już miał. Wtedy ten pierwszy może zostać wymieniony lub sprzedany.

Kolekcja nie jest dla jej twórcy towarem. Wszystkie przedmioty mają wymierną wartość finansową, ale kolekcjonerzy często podkreślają, że nie tworzą zbioru jako inwestycji. Nawet jeśli czasami zdarza im się uzasadniać bliskim swoją praktykę w sposób inwestycyjny i tłumaczyć: „Nie przejmuj się, to ma swoją wartość”. I choć kolekcje mają wartość finansową, a te znaczące, np. artystyczne, osiągają na rynku niewyobrażalne ceny, to w moim przekonaniu kolekcjoner nie zbiera dla zysku.

Kolekcja nie jest też zbiorem pamiątek, co nie oznacza, że nie ma ▶



Klocki Lego i inne kolekcje
(zbiory Artura Wabika).

– Wydaje się, że mężczyźni są nadreprezentowani w świecie kolekcjonerskim. Jeśli patrzymy na to zjawisko historycznie, nie ulega wątpliwości, kto odgrywał przewodnią rolę. To głównie o kolekcjach budowanych przez mężczyzn powstawały opracowania. Natomiast, jak pisała Susan Pearce, zbiory kobiece miały trochę inny charakter, często mimo znacznej wartości były niedoceniane także przez same kolekcjonerki. Być może dziś, gdybyśmy przeprowadzili badania, okazałoby się, że kolekcjonuje tyle samo mężczyzn co kobiet. Istotnym czynnikiem jest to, że współczesne kobiety dysponują większą swobodą finansową niż ich przodkinie.

ponują większą swobodą finansową niż ich przodkinie.

Czy pani coś kolekcjonuje?

– Próbowałam zbierać, ale być może nie mam natury osoby bardzo systematycznej i upartej w zdobywaniu tego, co mnie zainteresowało. Obiektów w moim zbiorze – celowo unikam określenia „kolekcja” – jest sporo. To ok. 300 obrazków dewocyjnych. Jego początkiem był zbiór z domu moich dziadków. Składały się nie niego obrazki otrzymywane podczas kolędy, z okazji różnych ceremonii religijnych oraz jako upominki. Było ich ok. 100 sztuk. Potem stopniowo sama zaczęłam dokładać do tego zbioru kolejne. Niektóre kupiłam, inne dostałam od znajomych, a jeszcze inne – podczas kolędy.

300 sztuk to już całkiem pokaźna kolekcja.

– To nie liczba świadczy o kolekcji. Raczej jej profil. Kolekcje się profiluje, żeby ją ograniczyć, nałożyć jakieś ramy. Bo przecież nie da się zbierać wszystkiego. Kiedy zbieramy wszystko, jesteśmy raczej w sytuacji patologicznego niepanowania nad pragnieniami, prawda?

Fragmenty książki Aleksandry Koperdy *Kolekcje dizajnu. Historie rzeczy znanych i mniej znanych*, fotografie Michał Lichtański, Znak Koncept, Kraków 2025

▶ potencjału bycia nośnikiem pamięci indywidualnej, wspomnień kolekcjonera. Wiele osób, z którymi rozmawiałam, mówiło o tym, że kolekcjonowanie zaczęło się od upominku otrzymanego od kogoś bliskiego i że przedmiot, który zapoczątkował kolekcję, cały czas w ich zbiorze jest i stanowi cenną pamiątkę.

Z każdym przedmiotem łączy się jakaś kolekcjonerska opowieść. O tym, jak został zdobyty, czy udało się go kupić okazjnie, do kogo należał wcześniej, jaką ma biografię. Te opowieści bardzo się od siebie różnią, a kolekcjonerzy uwielbiają je snuć. Kolekcja to też zbiór, który się eksponuje, którym się dzieli. Choć trzeba powiedzieć, że kolekcje bywają też chowane. Nie wszystko się pokazuje i stoją za tym rozmaite przyczyny. Może to być obawa przed kradzieżą lub ujawnieniem (niekoniecznie legalnych) sposobów pozyskania przedmiotów.

Susan Pearce w książce o badaniu współczesnego kolekcjonerstwa napisała, że trudno określić, kiedy mamy do czynienia z kolekcją, i uznała, że wystarczy jej deklaracja: „Jestem kolekcjonerem”. Ja natomiast czuję się przywiązana do rozróżnienia między zwykłym zbiorem a kolekcją.

Dlaczego ludzie kolekcjonują?

– Powodów można by wymienić bardzo wiele, ale najczęściej, kiedy ta przygoda się zaczyna, jest on dość

nieokreślony. Coś nam się po prostu spodobało. To, dlaczego kolekcjonujemy, może mieć więc uzasadnienie estetyczne. Coś uwodzi nasze oko. Ale może to być też kwestia uwiedzenia ciekawą historią, obiekt z różnych powodów stał się dla nas intrygujący i kolekcjonując, pogłębiając swoją wiedzę. Kolekcjonowanie ma więc jedno ze swoich źródeł w pragnieniu przebywania wśród przedmiotów, które są dla nas piękne i wyjątkowe. Kolekcjonerzy przedmiotów mało dla mnie ciekawych, którymi niekoniecznie chciałabym się otaczać, często pokazywali mi, jak niezmiernie interesujący jest ich zbiór. I muszę przyznać, że udawało im się mnie przekonać.

Kolekcjonowanie to też próba zachowywania tego, co bezpowrotnie ginie, co jest świadectwem minionego czasu. Wiele osób kolekcjonuje przedmioty, które przestają być używane, lądują na śmietniku.

Warto podkreślić, że kolekcjonerzy to pasjonaci, którzy są w stanie na swoje hobby poświęcić bardzo dużo czasu. Na szukanie informacji, spotkania, wyjazdy. To pasja, która bardzo angażuje.

Czy jesteśmy w stanie stwierdzić, czy kobiety i mężczyźni kolekcjonują równie często?





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczek

Lękowy pęd owczy

Rosja na Polskę gerbery nastała? Czyli testuje już coraz bezczelniej, czy szeregowiec z Oklahomy w razie czego będzie gotów zginąć za Suwałki, czy jednak Trump w końcu oficjalnie ogłosi, że to nie jego sprawa. Nie po to żołnierze amerykańscy rozwijali czerwony dywan pod nogami szlachetnego gościa z Kremla, żeby mu wypowiadać wojnę, czyli Putin ma prawo domniemać, że cały ten art. 5 NATO to tylko blef.

Kiedy w pierwszej chwili, jeszcze ze sklejonymi snem oczami, na widok alarmujących nagłówków pomyślałem, że może u nas także zaczęła się wojna, przyszło mi do głowy najpierw to, że wszyscy nieuczciwi pracodawcy, którzy wykręcają się od wypłacenia należności, będą mieli nowe tłumaczenie dla swoich pracowników – „ruscy ojczyznę atakują, jak można się w takiej chwili upominać o wypłatę?!”. A zaraz potem znowu przypomniał mi się fragment „Sezonu na słoneczniki” Igora Miecika, wybitnego reportażu z wojny o Donbas, w którym jeden z cywilów przeczekujących w piwnicy bombardowania odbiera telefon i okazuje się, że to bank upomina się o zaległą ratę.

Biednym wiatr w oczy wiać nie przestanie. I jeszcze tylko przemknęło mi przez myśl, czy warto w czwartek oddawać felieton, skoro w piątek zaczyna się manewry Zapad, a zatem prawdopodobieństwo wybuchu wojny pełnoskalowej, a nawet pozaskalowej, III światowej po prostu, wzrosło niepomniernie, czyli „Przegląd” już może w poniedziałek się nie ukazać. I żal mi się zrobiło, bo w sobotę Antek miał startować w Białymstoku w finałowych zawodach lekkoatletycznych nadziei olimpijskich. Choć on sam pewnie by się ucieszył z ich odwołania, bo mówi, że chce być piłkarzem, lekko nie cierpi, dopiero na bieżni i skoczni instynkt urodzonego zwycięzcy okazuje się silniejszy, więc zalicza kolejne podia od niechęcenia w sensie ścisłym.

A potem pomyślało mi się, o czym w obliczu ruskiej prowokacji debatują na Nowogrodzkiej, i od razu przyszło do głowy, że pewnie o tym, jak PiS to może wykorzystać politycznie. I jak ludowi pisowskiemu ze ściany wschodniej, któremu na łby pospadały szachidy, wytłumaczyć, że to wina Tuska, a prawdziwe zagrożenie czai się na granicy zachodniej, której przed uchodźcami dzielnie strzegą dziarscy chłopcy. Czyli najlepiej grać sopockie molę, gdzie Putin z Tuskiem ustalali czwarty rozbiór Polski. A przy okazji patrzeć na samozaoranie konfiarzy, skoro Mentzen twierdzi, że zestrzeliwanie ruskich dronów nad Polską jest nieekonomiczne, a ten stary wariat Korwin-Mikke to już w ogóle z daleka wali onucą i powtarza,

że nie ma dowodów, że to ruskie, w końcu z Ukrainy przyleciały.

Bo kaczyści nie są tak zatroskani o to, czy wróg ojczyznę najedzie, jak o to, by wrócić do władzy. Wróg wewnętrzny jest najważniejszy, jeśli Polska nie będzie kaczystowska, i tak nie ocaleje. Szlag by trafił, już pół felietonu mi zeszło na pisanie o tym, o czym i tak wszyscy napiszą, czyli ten lękowy pęd owczy jest nie do odparcia, prowokacja się udała. A przecież chciałem wspomnieć o powrocie do „Gnoju” za sprawą braci Sadowskich: Kornel wyreżyserował lalkowy monodram Miłosza, panowie zaprosili mnie na rozmowę po gościnnym występie w teatrze gliwickim i tam jęli podpytywać o książkę, którą adaptowali na scenę. Sęk w tym, że „Gnój” pisałem z grubszą przed ćwierćwieczem, jeździć z nim na spotkania autorskie definitywnie przestałem z 15 lat temu i zaprawdę myli mi się już, co napisałem w powieści, co w scenariuszu „Pręg”, a co autorzy spektaklu sami dopisali.

Kaczyści nie są tak zatroskani o to, czy wróg ojczyznę najedzie, jak o to, by wrócić do władzy.

Prowadzący rozmowę Kornel zapytał o scenę, w której ojciec demonstruje synowi, „jak się zęby myje porządnie, aż krew leci”. Faktycznie, to jedno z moich dziecięcych wspomnień, które jeden do jednego przeniósłem na papier. I nagle przyszło mi do głowy, że może stary nie chciał w ten sposób synowi zdechłakowi zademonstrować swojej twardości, tylko dostał gdzieś w mieście po głębie i poszła mu jucha z ust, a przytłapany przeze mnie niechący w łazience musiał jakoś z tego wybrnąć, więc sięgnął po szczoteczkę. Żeby syn nie zapamiętał widoku ojca, który krwawi, bo go pobili. I przyszło mi do głowy, że „Gnój” byłby książką pełną, gdybym tę historię napisał jeszcze z perspektywy starego K., a także matki bohatera – i każda postać te same fakty interpretowałaby zupełnie inaczej, każda własną wersję „prawdziwej historii” opowiedziałaby, tak jak to uczynił Akira Kurosawa w swoim arcydziele „Rashomon”, Max Frisch w genialnej mikropowieści „Sinobrody” czy ostatnio Hirokazu Koreeda w niezłym filmie „Monster”. I pomyślało mi się: nic straconego, mogę przecież te brakujące części dopisać po latach, teraz, kiedy już sam jestem w wieku starego K., kiedy rodzice poumierali, a „Gnój” zdążył pożółknąć. Tym bardziej byłoby szkoda, gdyby ta cholerna wojna miała wybuchnąć akurat teraz, kiedy mi się znowu pisać zachciało. ■

M{a}STO/a
GwiaZd

czyli
InterdySCYPlinarny
FESTiwal
SzTuk



EDUKACYJNY
FESTIWAL
SZTUKI
artnoble.pl

2025
ŻYRARDÓW
18-20
września



2025
RADOM
12 września
2025



Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej
ELEKTROWNIA

17
EDYCJA

Partner artNoble

za'KS
sprzyjamy wyobraźni



Kto ma Sz SZTUKę?



Stowarzyszenie
Filmowców
Polskich



Fundacja
PPL



POWIAT
ŻYRARDOWSKI

PATRONAT HONOROWY:



Marszałek
Województwa Mazowieckiego

ŻYRARDÓLS
www.zyrardow.pl

Projekt współfinansowany
ze środków budżetu Miasta Żyrardowa



Mazowsze.
serce Polski

Projekt współfinansowany
ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego



TVP
KULTURA

POLSKIE RADIO
RDC



Canon

Geotermia
Mazowiecka S.A.

WDK
GROUP

Wysp kotów w Japonii jest kilka, ale to Aoshima (prefektura Ehime) z najliczniejszą rozmruczaną społecznością jest celem pielgrzymek kociarzy z całego świata. Czy słusznie? Kto spodziewa się miejsca do szpiku *kawaii*, poczuje ułkucie zawodu. Bolesne. „Aoshima, znana szerzej jako wyspa kotów, to prawdziwy raj dla wszystkich miłośników mruczających czworonogów. Niektórym trudno w to uwierzyć, ale populacja futrzaków kilkadziesiąt razy przewyższa liczebnością mieszkających tam ludzi”, tego pokroju rewelacje regularnie publikują polskie media. Sęk w tym, że tak o Aoshimie może pisać tylko ktoś, kto nie postawił na niej stopy.

Pierwsze wrażenie wyspa faktycznie robi imponujące. Rozmuczone towarzystwo wita już w porcie. Koty, choć półdzikie, nie boją się ludzi, chętnie się bawią. Lubią być pieszczone, a najbardziej karmione. Ale im dalej od przystani, tym mniej powodów do entuzjazmu. Potrzeba różowych okularów, by zignorować fakt, że Aoshima to na wpół opuszczona wyspa w stanie agonii. Podtrzymywana przy życiu tylko przez garstkę wiekowych mieszkańców i odwiedzających ją kociarzy. Od przywożonego przez turystów pokarmu zależy byt półdzikich, pozbawionych opieki weterynaryjnej kotów. (...)

Na wyspie nie ma samochodów (zresztą nie miałyby dokąd jeździć, bo nie ma też dróg), sklepów, stoisk z pamiątkami i karmą dla zwierzków, nie ma miejsc noclegowych (...). Wodę pitną przywozi się z lądu. Jedyne udogodnienie to mikroskopijna poczekalnia w porcie. Nie brakuje na wyspie natomiast opuszczonych domów. To wyspa kotów i duchów.

Skąd się wzięły koty na wyspie kotów? Sprowadzono je, by rozprawiły się z myszami niszczącymi rybackie łodzie. Koty polowały równie chętnie, jak się rozmnażały. Na Aoshimie nic i nikt im w tym nie przeszkadzał, toteż populacja rozrosła się do niekontrolowanych rozmiarów. W tym czasie z wyspy



Japońska Aoshima jest celem pielgrzymek kociarzy z całego świata

znikali ludzie. W latach 40. XX w. populacja wyspy liczyła niespełna 900 osób. Sporo jak na samotny skrawek lądu o obwodzie 4 km. Nigdy wcześniej ani później Aoshima nie miała więcej mieszkańców. Dorosli wypływali na połów sardynek, dzieci wspinęły się na wzgórze do szkoły. Zamknięto ją w 1976 r.

Osiem lat później na wyspie mieszkali już tylko 102 osoby, wśród których nie było ani jednego dziecka. (...) Strone zbocza Aoshimy nie nadają się do uprawy, a połowy nie wystarczały, aby zwiadczać koniec z końcem, od kiedy rybołówstwem zainteresowały się wielkie koncerny. Na wyspie zostały dziesiątki opuszczonych domów w różnej fazie rozkładu i pochłaniania przez wszędobylską przyrodę. W 2019 r. tylko trzy były zamieszkane. Rok wcześniej policzono koty. Rachowanie było efektem ubocznym masowej akcji sterylizacyjnej, zakończonej zresztą częściowym sukcesem. Kilka naście zwierzków przed skalpelem ukryto. Z szacunków wynika, że na sześciu mieszkańców Aoshimy przypadało ok. 220 kotów. Ponad 30 mruczków na człowieka.

Aoshima nie jest wyjątkiem, ale potwierdza regułę. „[W] tym raju mieszkali już wąż: kaso (wyludnienie). Zaczęło się w 1964 roku (...). W tymże roku brak równowagi

między dochodami w mieście i na wsi przekroczył punkt krytyczny i rolnicy z całej Japonii uciekali ze wsi. (...) Dziś cała prowincja japońska sprawia wrażenie wielkiego domu starców”, pisze Alex Kerr w „Japonii utraconej”. (...) Migracja do wielkich miast i depopulacja prowincji są chorobą od dekad toczącą Japonię. (...)

Japońscy naukowcy szacują, że jeśli przyrost naturalny utrzyma się na obecnym (historycznie niskim) poziomie, do 2100 r. populacja kraju spadnie o niemal połowę i wyniesie 63 mln. Wyspa kotów już nawet nie jest domem starców, na to za późno. Ale mogłaby zagrać w postapokaliptycznym filmie. Scenograf nie miałby zbyt wiele pracy. Domy pozostawiono, by niszczały wraz z dobytkiem.

Dalszy los wyspy kotów jest niepewny. Pasażerska łódź dwa razy dziennie dobiega do portu na Aoshimie, ale lokalne władze zapowiadają, że po śmierci ostatniego mieszkańca rejsy zostaną zaniechane (w 2024 r. łódź jednak nadal kursowała). Już teraz bywają odwoływane bez zapowiedzi z powodu nieodpowiednich warunków atmosferycznych lub wysokich fal.

Fragment książki Zofii Jurczak *Japonia. Kraj możliwości, Bezdroża, Gliwice 2025*





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- Proudhon, Bakunin lub Kropotkin
- Louis, autor „Dzwonów Bazyli”
- bliskowschodni trunek o anyżowym smaku
- rzymska bogini słońca
- od nich nazwa spodni z niskim stanem
- Natalia Kukulska
- dla Anny Jantar

- dawniej ozdobna kapa, dziś potnik jeździecki
- informacje na dysku komputerowym
- para śpiewaków, tancerzy, łyżwiarzy
- Nawrocki od wyborów do zaprzysiężenia
- i podlec, i gwarowo żywy inwentarz

- ciężarki z uchwytem na dłoń do ćwiczeń
- ukryta drwina, utajone szwyderstwo
- sygnał zwarcia lub efekt tarcia
- mała poduszka pod głowę
- „...ciemności” Conrada
- czule o pożywieniu
- od ich habitu nazwa włoskiej porannej kawy
- na jedno się przyklepa
- paciorek z rały
- używana przez Indian do zatrucia strzał
- znów ekranizowana powieść Prusa
- tam płyną kutry rybackie
- gliniana misa do ucierania
- statek Amundsena jak królowa Norwegii
- puszek na brzoskwini

- gdy wieje latem, przynosi ulewę
- określenie pozycji statku, lokalizacja obiektu
- nakłanianie do czegoś
- z niego pianka dla surfera
- znak w tekście kierujący do objaśnienia
- muzealny lub zdrowia
- z podmiotem w zdaniu
- miasto na wyspie Honsiu
- tnąca krawędź
- prądawny superkontynent
- łamigłówka lub wróżba z kart
- gruby sznur
- ...Ministrów, czyli rząd
- kilkusetkowy wyścig samochodowy
- faceci w nich w tytule filmu Brooksa
- uroczyście przemarsz pasterzy ze stadami owiec
- ustanowiony najlepszy wynik
- pieczywo o sierpowatym kształcie

- imię piosenkarki Węgiel
- ...Schneider, zagrała Sissi
- wrzucić coś na niego – przekąsić
- dawna polska ciężarówka
- wieś przestarzała lub książkowo
- dawna polska ciężarówka
- budynek gospodarski na słomie, siano
- nagraniowe lub pracownia fotografia
- zagadka w formie wiersza
- ptak lub maść konia
- określony sposób leczenia
- miasto nad Tagiem
- z muzeum El Greca
- książki, hrabiowski lub egzekucyjny
- strój, odzież
- zawór dętki
- kontrolowany dokonywany przez służby
- świątynia protestancka
- cyfra jak nic

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązanie samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1239”. Do rozlosowania książki „Bóg odszedł z poczuciem winy” ufundowane przez Wydawnictwo Prószyński Media. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 21 września 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1236” z nr. 35: Jedno kłamstwo rodzi kolejne. Nagrody otrzymują: Renata Osierda z Kęt, Waldemar Wardencki z Gdańska, Edward Wojtuściszyn ze Świebodzina.

Dziwni ludzie

Bartosz Cichocki, były ambasador w Kijowie, komentował w mediach sprawę rosyjskich dronów. Lamentował przy tym, że Polska jest rozbita w wyniku wojny na górze i traci wiele mocnych punktów, m.in. ambasadora przy NATO, którym był Tomasz Szatkowski. I że w związku z tym ileś spraw w kwatery głównej w Brukseli nie zostało załatwionych. Czyżby? Skąd ta fantazja?

Oczywiście można przyjąć, że Cichocki wychwala kolegę, razem przecież spędzili długi czas w rządzie PiS. Cichocki był podsekretarzem stanu w MSZ w latach 2017-2019, Szatkowski podsekretarzem stanu w MON, zaczynał u boku Antoniego Macierewicza, kończył, w roku 2019, już za Mariusza Błaszczaka. Obaj również mniej więcej w tym samym czasie wyjechali na placówki – Cichocki do Kijowa, Szatkowski do Brukseli, do NATO.

Nawiasem mówiąc, jego wyjazd do Brukseli bardzo się przeciągał. Podczas pierwszego podejścia kandydatura Szatkowskiego została w Sejmie, w Komisji Spraw Zagranicznych, odrzucona. To była wielka sensacja, bo PiS miało wtedy wszystko: prezydenta, premiera, szefa MSZ, większość w Sejmie i w Komisji Spraw Zagranicznych. Tymczasem pisowski kandydat w komisji głosowanie przegrał. I dopiero parę miesięcy później, przy drugiej prezentacji, Szatkowski otrzymał pozytywną rekomendację.

A czy potem w Brukseli błyszczał? Z jakiegoś powodu premier Tusk i minister Sikorski wycofali go do kraju, i to w nie najlepszej atmosferze... ABW wszczęła sprawdzające go postępowanie kontrolne. Media pisały, że sprawa dotyczyła badań wariografem. A ówczesny szef MSWiA i koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak mówił o nim, że nigdy nie powinien zostać

ambasadorem Polski przy NATO i jak najszybciej musi wrócić do Warszawy. Naprawdę trudno w takiej sytuacji bronić tezy, że Szatkowski to była gwiazda. Zwłaszcza że ta ambasada była jego pierwszym zetknięciem z MSZ i z dyplomacją.

Spójrzmy, kogo wystano na jego miejsce. Otóż wysłano Jacka Najdera. To zawodowy dyplomata, pracował na placówkach w Islamabadzie i Seulu, był dyrektorem Departamentu Azji, ambasadorem w Afganistanie, potem podsekretarzem stanu w MSZ, a później, w latach 2011-2016, ambasadorem przy NATO. I w roku 2024 znów został wysłany do Brukseli. Jakkolwiek na to patrzeć, Najder ma lepsze papiery niż Szatkowski. Ale najwyraźniej nie w oczach Cichockiego.

Drugą „gwiazdą”, której Cichocki broni, jest Sławomir Cenckiewicz, obecny szef BBN. Cichocki uważa, że Cenckiewicz jest krzywdzony, bo do tej pory nie otrzymał od ABW poświadczenia dostępu do tajemnic państwowych.

To są rzeczy ciekawe, i to dwojako. Po pierwsze, skąd Cichocki wie, że postępowanie sprawdzające ABW nie ma żadnych podstaw, jest polityczną złośliwością? Po drugie, Cenckiewicz przez długi czas był pracownikiem MSZ i miał dostęp do wielu ważnych dokumentów. Był zatrudniony w archiwum, tam działał, a efektem tej działalności był telewizyjny serial „Reset”. Jedni twierdzą, że grzebał w dokumentach, aby zrobić film propagandowy atakujący poprzedników. Drudzy, że pod pretekstem prac nad filmem przeskanował działalność polskiej ambasady w Moskwie i całe aktywa polskiej dyplomacji na Wschodzie.

Dziwne to wszystko, prawda?

Attaché

Efemeryczne dzieło Banksy'ego na jednym z budynków Royal Courts of Justice w Londynie. Pojawiło się dwa dni po zatrzymaniu 890 osób podczas protestu przeciw delegalizacji grupy Palestine Action. Najpierw zostało zakryte, potem usunięte, gdyż budynek jest wpisany na listę zabytków, jak zaznaczył rzecznik Royal Courts.





press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Przez większość życia ludziłem się, że pokolenie moich rodziców jest ostatnim, które zna słowo wojna nie z gazet ani filmów, lecz z własnych doświadczeń. Dziś to słowo odmieniane jest w mediach przez wszystkie przypadki. Słyszymy o wojnie codziennie. W tych doniesieniach brakuje refleksji, za to niemal zawsze wieje grozą. Dziennikarze straszą, zamiast rzetelnie informować i przygotowywać nas na nieprzewidziane wydarzenia. Ilu z nas wie, jakim sygnałem syreny ogłaszane jest zagrożenie lotnicze (trzyminutowy sygnał modulowany), a jakim zagrożenie skażeniem (trzyminutowy alarm: 10 sekund dźwięku i przerwy co 25-30 sekund)? Kto potrafiłby wskazać najbliższy schron w okolicy domu lub pracy? Bo o tym, że schronów wystarczy dla niespełna 1% populacji, media informowały szeroko. W straszaniu są naprawdę dobre. W edukowaniu – zdecydowanie gorsze.

ANGORA

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA,
PRZEŁOŻONA WSPÓLNOTY CHLEB ŻYCIA

Mamy dziewięć domów dla ludzi bezdomnych, mieszkam w jednym z nich w małej wiosce Zochcin koło Opatowa; wybudowaliśmy je dzięki wielkiemu wsparciu sponsorów. Są tutaj bezdomni, w tym starsi Polacy, mamy rodziny z Ukrainy, samotne matki, chorych, także psychicznie. Jestem odpowiedzialna za całą wspólnotę, za wszystkie domy w całej Polsce, więc mam sporo na głowie. (...) Miałam pięcioro dzieci, ja, siostra zakonna – ale spokojnie, niech nikt nie rozbudza swojej wyobraźni, wszystkie przybrane. Każde z nich, w związku z moim życiem z ludźmi bezdomnymi, stało kiedyś przede mną jako dziecko i pojawiło się pytanie, czy odesłać do bidula, niektórych do sierocińca poza Polską, czy też odważnie powiedzieć: No dobra, spróbujemy być rodziną, ja będę pełnić rolę matki, a ty mojego dziecka. Wszystkie, oprócz niepełnosprawnego Artura, skończyły szkoły, niektórzy pracują w naszych domach.

VIVA!

JULIUSZ MACHULSKI,
REŻYSER

Reżyser czasem powinien wałnąć pięścią w stół. A ja mam często wątpliwości: może tak, a może inaczej? Upieram się w rzadkich momentach, kiedy wiem, że mam rację. Nie chcę narzucać swojej woli tylko dlatego, że mam rację. Nie chcę narzucać swojej woli tylko dlatego, że jestem reżyserem. Nie mam dyktatorskich zapędów. Niektórzy wyzywają się na planie filmowym, uwielbiają rządzić ludźmi. Czują się prawie Bogiem. (...) To poczucie władzy często nieznośne dla innych. I kabotyzm, który przyszedł do nas ze Wschodu poprzez teatr. Gdybym jako aktor doznał od reżysera przemocowego zachowania albo usłyszał coś poniżającego, powiedziałbym: „Sp...” i zszedł ze sceny. I pewnie musiał zmienić zawód.

zwierciadło

MAJA OSTASZEWSKA,
AKTORKA

Odnoszę wrażenie, że coraz częściej mamy kłopot z czytaniem metafory, ironii. Trywializujemy pojęcia, nadużywamy ich w absurdalnych kontekstach. Jakiś czas temu słuchałam rozmowy Katarzyny Kasi z Olgą Tokarczuk, która w pewnym momencie powiedziała, że nie może już słuchać słowa „czułość”, odmienianego przez wszystkie przypadki. Nadaje się mu znaczenia zupełnie sprzeczne z tym, o które jej chodziło w słynnej noblowskiej mowie. Wszystko jest dzisiaj czułe. W co drugiej reklamie pada to słowo.

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Friedrich Nietzsche.



MAŁŻEŃSTWA BYWAJĄ NIESZCZĘŚLIWE NIE Z BRAKU MIŁOŚCI, ALE Z BRAKU PRZYJAŹNI.



Aby język giętki...

MARIAN BANAŚ O PROKURATURZE

W praktyce Ziobro wciąż rządzi prokuraturą, bo ci ludzie zakładają, że PiS zaraz wróci do władzy, i chcą się wykazać.

SZCZEPAN TWARDOCH O ELITACH

Elity, czy to w Polsce, czy w Ameryce, są absolutnie niezdolne do autorefleksji i do zmiany. Dyskryminacji mogą zostać oduczone, i to przemocą.

EWA WRZOSEK O WALDEMARZE ŻURKU

Wiem, że mu się uda, bo bardzo trudno pokonać kogoś, kto nigdy się nie poddaje.

NINA TERENTIEW O CHARAKTERZE

Dla mnie walkower nie istnieje. Tak mam charakter. A telewizja mnie dyscyplinuje. Tu wiem, dokąd płynę i po co.

ŻANNA NIEMCOWA O OPOZYCJI

Wpływ rosyjskiej opozycji na sytuację w Rosji oceniam na bliski zeru.

EWA WIŚNIEWSKA

O OSOBACH TOKSYCZNYCH

Unikam ich, bo mam takie archaiczne podejście, że taka osoba rzuci na mnie jakąś niemoc.

MARTA NIERADKIEWICZ

O SCENACH EROTYCZNYCH

Dzisiaj, gdy gramy stosunek płciowy, wszystko podlega kontroli. Są specjalne poduszki, zasłonki, które budują dystans.

ARTUR ANDRUS O ZDJĘCIU PSA

Ktoś mi powiedział, że nazwał psa imieniem Andrus. I nawet przysłał zdjęcie. Bardzo sympatyczny z pyska.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl
listy@tygodnikprzeгляд.pl

tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzół i.morzol@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyrski, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator do spraw promocji i reklamy:

Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeгляд.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeглядzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Krystyna Piotrowska. Prosto w oczy

Wystawa prowadzi widza przez najważniejsze etapy twórczości artystki: od grafik i prac malarskich, przez instalacje i projekty wideo, aż po najnowsze cykle portretów, takie jak „Prosto w oczy”, z którego pochodzą reproduktowane tu obrazy. To opowieść o sztuce, która wyrasta z osobistych doświadczeń – emigracji do Szwecji, powrotu do Polski, odkrywania żydowskich korzeni i poszukiwania języka dla tematów trudnych – pamięci o Holokauście czy kobiecej perspektywy w sztuce.

Krystyna Piotrowska jest mistrzynią grafiki warsztatowej, autorką portretów wykraczających formatem i sposobem ujęcia

poza kanony gatunku. Tworzy obrazy na blasze aluminiowej, litografie na tkaninach, instalacje wideo i instalacje z ludzkich włosów. Podczas wernisażu została odznaczona srebrnym medalem Gloria Artis.

Galeria Opera
Warszawa, Teatr Wielki – Opera Narodowa
do 30 listopada



RÓBREGG RÓB CZŁAD

im. Roberta Brylewskiego

BILETY: 75 zł/90 zł



**THREE DEATHS
METRO
GOLD ROCK BAND**
(GOŚCINNIE: MALEO, TOMASZ LIPiŃSKI
MIREK SZATKOWSKI, VIENIO)
**DREADZONE (uk)
VAVAMUFFIN**

20/09/2025
start 17:30
**PALLADIUM
WARSZAWA**



KONFRATERNIA
ROBREGG



partner



biloty.pl

eprasa.pl 7999799bca

ZAZ

2 LUTEGO 2026
COS TORWAR
WARSZAWA



BILETY:
TICKETMASTER.PL
LIVENATION.PL

LIVE NATION

© 2025 Live Nation. All rights reserved.